

OLGA SCHERER

# W CZAS MOROWY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

Bardes Leighy's kresang: Vandeie

W CZAS MOROWY

i v kaidy iny

Olgc

5. III. 67



BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM CXLI

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

OLGA SCHERER

# W CZAS MOROWY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967



## I

Nie pamiętam, czy w dzień przyjazdu Cioci ściana w kuchni koło pieca była jeszcze zupełnie biała i gładka; nie wiem, czy lśniła nadal takim połyskiem, że rura biegająca od podłogi do sufitu, prosta właśnie jak rura, strzeliła i metalowa jak rura, odbijała się w jej tafli promieniając — ale przypuszczalnie tak. Mówię p r z y p u s z c z a l n i e — bo rysę, i to nawet całkiem wyraźną, dążącą wzdłuż rury po ścianie, najpierw zupełnie pionowo od podłogi, odchylającą się potem koślawo w lewo i zbiegającą się znowu z rurą u samej nasady sufitu, spostrzegłam dopiero w momencie, gdy Ciocia podskoczyła żywo z fotelika i wykrzyknęła: „Ach! Ach!” — co mnie do tego stopnia wzburzyło, że ruszyłam do kuchni, aby przez chwilę ochłonać w samotności. Może scyzorykowatość okrzyku Cioci przecięła pokost ściany, a może pęknięcie miało miejsce nieco wcześniej, ale wiem na pewno, że gdy rzuciłam okiem na piec, rysa już była.

Trudno mi obecnie dociec, co bezpośrednio doprowadziło do okrzyku. Tyle pamiętam, że po przybyciu z Ciocią do mieszkania i po pewnych wstępnych urządzeniowych zabiegach związanych z naszym przyszłym współżyciem, nie wiedząc co robić dalej, a może z innych przyczyn, sadzam Ciocię w foteliku i tak, na chybił trafił, podaję jej srebrną miskę, tę samą, która w swoim

czasie przypadła do smaku Artyście; z boku wyryty był monogram, oczywiście nie mój, bo któż w dzisiejszych czasach posiada srebrną miskę z własnym monogramem? W misce kilka chudych czekoladek, twardych wewnątrz a omszałych od zewnątrz, z takich co to zwykle pozostają, gdy wszystkie dobre się zjadło, a pudło wyrzuciło. Trafiłam! Ciocia bierze miskę do ręki, ogląda monogram i wzdycha. Odstawia miskę na stolik i wtedy okazuje się, że Ciocia miała kiedyś taką samą, czy też większą lub mniejszą, z wyrytym na niej monogramem, naturalnie Cioci własnym, i że misek było dwanaście, potem nawet dwadzieścia cztery, a teraz... Ciocia wzdycha.

Ja — szczęśliwa, że mi się powiodło — podaję Cioci jeszcze raz miskę, częstując serdecznie. Leżące na dnie czekoladki wydały mi się nawet w tej chwili mniej omszałe, całkiem, rzekłbyś, jadalne. Ciocia bierze czekoladkę — widzę ją, jak bierze — ugryzła czekoladkę do połowy i odkłada na stolik pozostałość, potem poprawia jej pozycję na stoliku i zaczyna o czekoladkach: że na wsi to i owo było, między innymi czekoladki, że moja przyszywana jakaś stryjeczna czy wujenna, teraz zresztą odpruta, bo już nie żyje, zrobiła kawał na Prima Aprilis: wypróżniła czekoladkę z ananasa i wypełniła ją cebulą po to, żeby ją z kolei Babulka zjadła i krzywiła się. Była kupa śmiechu. I ja się śmiałam niewyraźnie, choć nieco hałaśliwie, ale Ciocia jak gdyby zadowolona.

Wobec tego ja już na całego i lekkomyślnie, nie myśląc o bliskiej przyszłości, kiedy czekoladek zabraknie, jeszcze raz łapię za miskę, może zbyt obcesowo, ale natychmiast łagodniej i podaję przymilając się:

— No to może czekoladkę, Ciociu!

Ciocia wyrwała mi z ręki miskę, spojrzała ponownie na monogram, nastroszyła brew i odstawiła intrygujący ją przedmiot na stolik. Myślała zapewne (i słusznie), że kupuję srebrne miski, którymi już ktoś się posługiwał. „Używane miski! Fe!” — myślała. Potem wstała i wtedy właśnie wyskoczyło z niej to „Ach! Ach!”.

Zamiar zaproszenia Cioci powzięłam idąc za przykładem drugich: kto miał rękę i nogę — a dopiero potem się orientował, że głowę stracił — zapraszał z Kraju kogo tylko podejrzewał o posiadanie tychże części ciała. Zamiar urzeczywistniłam dopiero wtedy, gdy moja sprzątacza z sercem wielkim jak Sycylia, z której była rodem, nie zmrużyła ku zgrozie swego męża oka przez całą noc, myśląc o tym, że znajdzie mnie kiedyś martwą w mieszkaniu, zamordowaną lub zmarłą w sposób naturalny, i że nikt o tym wydarzeniu się nie dowie aż do następnych jej cotygodniowych u mnie czynności, które w imię zgody i ja nazywałam sprzątaniami. Może nie byłaby mnie tak usilnie namawiała do zerwania z samotnością, gdyby była przeczuła, że z chwilą przyjazdu Cioci straci u mnie wcale intratne zajęcie. (Intratne, bo robiła mało, sprzątała niedokładnie i wcale nie prasowała bielizny; za to ja prałam sama, a do jej szczupłych resortów nie wtrącałam się wcale). Bo Ciocia nazajutrz po przyjeździe wzniesiła miotłą tumany kurzu zapowiadając, że co dzień będzie podobnie czynić. Rychło poniosły ją teatry i koncerty. Miotła leżała w końcu odłogiem, ale ponieważ ciasne pomieszczenie nie zniosłoby, nawet raz na tydzień, zakrzątanej wokół siebie obecności trzech osób, jedna musiała ustąpić. Zredukowałam, rzecz jasna, Sycylijkę. Popłakałyśmy się obie w chwili rozstania, a ja długo potem tęskniłam za jej opowieściami, z których jedna zwłaszcza utkwiała mi w pamięci. Była w niej mowa o malcu, który podczas zabawy w sklep zapchał sobie do nosa kulki świeżego grochu. Po kilku dniach groch zaczął kiełkować i zielone pędy wydobywać się z nosa. Obcinało mu je potem codziennie nożyczkami.

Otóż poszłam na komisariat, gdzie potwierdzono mi dosyć niechętnie zaproszenie wystosowane odręcznie przeze mnie a potrzebne Cioci w Kraju do rozpoczęcia formalności paszportowych i wizowych.

— Ma pani szczęście, że podstemplowaliśmy — rzekł policjant pieszcząc z lubością mokrą jeszcze pieczętkę —



bo od pewnego czasu nasze konsulaty w tamtych krajach już tego nie wymagają, i my wobec tego nie potwierdzamy zaproszeń.

— Skoro nie wymagają, to...

— No tak, ale zawsze lepiej z pieczętą — upierał się policjant, tak jakby mu się coś należało za to moje szczęście.

Zresztą, czy to było szczęściem? Na razie czym prędzej wysłałam Cioci owo policyjnie potwierdzone zaproszenie do Warszawy pod adres Sputników 2, gdzie mieszkała z siostrą, z mężem jej i swoim.

Nie dała na siebie długo czekać. Już w sześć tygodni później stałam przed wejściem na peron Dworca Północnego pod matowym sklepieniem, przez które przeświecały sproszkowane promyki październikowego słońca. Kciukiem wyobcowanym z tłumu podnieconych przechodniów wodziłam po chłodnych ogniach żelaznego łańcucha odgradzającego osoby bez peronówek od świata Orient-Expressów, tak samo jak kiedyś, dawno, gdy nad tymi samymi ogniwami... ale mniejsza z tym. Każdą smukłą panią z głową owiniętą w krucze sploty obserwowałam bacznie, aż jednej z nich rzuciłam się na szyję z okrzykiem:

— Ciociu!

Pani zachwiała się, postawiła na ziemi pakunki, którymi była obciążona, i gwałtownym ruchem głowy uwolniła szyję od mojego uścisku:

— *Une folle!* — powiedziała.

Gdy tylko zdziwione spojrzenia kontrolerki, kilku pasażerów i przygodnych gapiów zmieniły moją osobę na inne obiekty, zaczęłam znów wypatrywać Cioci, której jedyną fotografię, pochodzącą zresztą z minionego okresu błędów i wypaczeń, więc pewnie mało miarodajną, zgubiłam. Wtem poczułam w okolicach serca ukłucie, ten najpewniejszy znak, że krew nie woda, i na widok osoby, która ukłucie to samą swą bliskością spowodowała, szłam już tym razem na pewniaka. Z ponownym okrzykiem:

„Ciociu!” rzuciłam się w czyjeś objęcia i zaraz wiedziałam, że we właściwe, bo te, pod burym misiem, nabrzmiały były wędzoną polędwicą wieprzową, czekoladkami 22 lipca, a przede wszystkim emocją. Same objęcia, niezależnie od zawartości, utrzymywały jeszcze sens swej definicji, ale były w miarę zwiędłe i dostatecznie już rozmiękłe, bym mogła się w nich poczuć podopiecznie, jak to zwykle nakazuje, zwłaszcza sierotom, przebywanie w objęciach osób starszych. Na klapie bardzo solidnego podróżnego kostiumu, którego uszycie — jak potem się dowiedziałam — kosztowało tyle, ile wynoszą pensje męża i szwagra razem wzięte, przypięta była broszka. Na broszce coś dyndało jak na końcu długiego nosa, może perełka. Ale Ciocia nos miała krótki, rysy twarzy regularne, takie, jakie dawniej — wtedy, gdy Ciocia była młoda — nazywano pięknymi, co zaobserwowałam, gdy w końcu oderwałam twarz od przytulnych jej piersi. W młodości była zapewne ładna, ale w ten niebezpieczny sposób, który pod pozorami nieśmiałości kryje wyniosłość, pogardę dla erotyki, i powoduje przedwczesne starzenie. Twarz Cioci poświęcała urodę wartości nadrzędnej, jaką w okresie międzywojennym był tzw. wyraz, co w wypadku wielu pań nie opłacało się wcale, ale Cioci było do twarzy z tą twarzą.

— Kochanie! — szepnęła. Przez ramię miała przewieszzone poźółkłe popielice.

— Ciociu, ja strasznie Ciocię kocham — powiedziałam namiętnie, bo nagle wyobraziłam sobie, że istotnie takie żywie dla niej uczucie. Ostatecznie, byłam samotna, a tu, z łezką wzruszenia u klapy, wyrastała przede mną wizja owianego czułością powrotu do domu. Nakryty stół, gorąca herbata... — Będzie Cioci gorąco w tym mi-siu — powiedziałam. — Zmieniła Ciocia fryzurę — rzekłam następnie, mało ryzykując, bo zapomniana fotografia i tak niewiele znaczyła.

— Ależ gdzie tam, Kochanie! — rzekła Ciocia, a głos miała polski, pełny, taki jakim się mówi, jeśli przez

całe życie mówi się po polsku. — Gdzie mnie fryzury, modne uczesanie! W naszych warunkach!

I tak się zaczęło.

— Paryż, Paryż — szeptała Ciocia upojona, gdy prowadziłam ją przez bramę łuszczącej się kamienicy, najpierw w pierwsze podwórze, raczej szpetne, potem w drugie, nieco brudniejsze, przy końcu którego pociągnęłam ją wraz z dwiema walizkami wąskimi, krętymi schodami do mojego mieszkania na pierwszym piętrze.

Byłam bardzo przejęta przejściem Cioci przez próg. Zaraz też oprowadziłam ją drogą rur po mieszkaniu. Ach rury! Najpierw biegną zgodnie ścianą pod sufitem wzdłuż długiego korytarza — jedna pękata, inne dwie jednakowo cienkie, czwarta trochę grubsza ale smuklejsza od pękatej, piąta grubsza od trochę grubszej ale cieńsza od pękatej. I wiadomo że dokładnie tyle ich być musi i że takie, a nie inne, być powinny — jedna pękata, dwie cienkie, czwarta grubsza nieco ale smuklejsza od pękatej, piąta grubsza od nieco grubszej, cieńsza zaś od pękatej — a wszystkie mądre, celowe, nabrzmiałe świadomością swych nośnych funkcji i pewnością wzorowego ich spełniania. Wiedzą, dokąd dążą i zdumiewają po drodze doskonałym wzajemnym porozumieniem. I tak na przykład ta, którą jedynie dla porządku nazywam piątą (mimo że przecież ona właśnie pierwsza rozgrywa swą rolę do końca), jeszcze przed dotarciem do ujścia korytarza wpada nagle półobrotem w mur i tam bezpowrotnie ginie. Reszta pędzi naprzód przebijając gzyms nad wolnym przejściem do Pokoiku, małego kwadratowego pomieszczenia. Wtem jedna z cienkich odskakuje od pozostałych, spiesząc — zresztą, bynajmniej nie najkrótszą drogą — ku kaloryferowi, w który wbija się z jednego boku po to, żeby drugim wytrysnąć, i szybko mknąc w górę, dogonić swe towarzyszki pod sufitem, a potem wraz z nimi podążyć przez ścianę nad drzwiami do pomieszczenia, które — jak zrządził miejscowy folklor — zwane było Pokojem. Nie trudno im potem w mgnieniu oka go

obiet, przy czym awanturnicza rura cienka, znana już ze swych eskapad, znów odrywa się od zespołu, by przeciąć swym pędem jeszcze jeden kaloryfer. Powracają zgodnie przez Pokoik nad oknami, następnie przemierzwszy jeszcze jedną jego ścianę suną z kolei drugim bokiem korytarza. Tam ginie na zawsze rura pękata. Dwie cienkie i trochę grubsza prują teraz do łazienki, okrążają ją sumiennie i rzucają się pod wannę. Spod wanny wychodzą już tylko dwie, trochę grubsza i jedna z cienkich, ta, która od wytyczonej trasy dotychczas się nie oddaliła; przedzierają się teraz przez tynk i cegłę do kuchni, gdzie obok zlewu, pod licznikiem gazowym, trochę grubsza nagle odchodzi w dół po to, by pod kątem ostrym załamać się, odpocząć. Przesiaduje na własnym siedzeniu, rzekłbyś chwilowo, jak piesek, który służy grzecznie ale wyczekująco, niecierpliwie, w każdym momencie gotowy do skoku. Po tym ukłonie trochę grubsza wyrzuca z siebie krótką odnogę i wpija ją w licznik, a sama, wraz ze swą najwierniejszą towarzyszką, rwie dalej wzdłuż sufitu. Dopiero nad piecem wpadają obydwie raptownie w mur. I tak się kończy jeszcze jedna francuska mistyfikacja. Opodal stoi inna, jedyna w mieszkaniu rura pionowa, niczym pozornie z tamtymi nie powiązana; biegnie, jak już wiadomo, prosto i niezależnie od podłogi do sufitu odbijając dumnie swą zgrabną sylwetkę w lśniącej białości ścianie. To znaczy biegła — jeszcze do niedawna.

— Sama dałam zainstalować ogrzewanie, kuchnię, łazienkę — mówiłam. — Wszystko jest nowe. Wszystko oprócz wanny, którą odkupiłam od poprzednika.

— A to szkoda — rzekła Ciocia — bo to nieprzyjemne.

— Co takiego?

— No to, że kto inny się w niej kąpał.

— Ale nie bardzo często — odparłam przypominając sobie żałobne paznokcie i brudny kołnierzyk pana Zwierciadło, który ze względu na geograficzną bliskość

naszych miejsc urodzenia policzył mi tylko o dwadzieścia procent więcej, niż mieszkanie było warte.

Ciocia spojrzała w lustro nad umywalką i prędko wciągnęła nabrzmiałe policzki. Sieć zmarszczek, którą pokryta była twarz Cioci, tym samym zgęstniała.

— Ja całe życie, to znaczy przed wojną, bardzo często się śmiałam i dlatego... — rzekła przybliżając się do swego odbicia.

— Który z tych pokoi Ciocia chce dla siebie? — zapytałam wyciągając ją z łazienki przez korytarz do Pokoiku.

— Ach, to wszystko jedno. Bylebyś ty, Kochanie, miała jak najmniej kłopotu. — Jasny jej głos, polski i własny, zabrzmiał jęklwie.

— To jest Pokoik, trochę większy, a tu Pokój — rzekłam dobitnie.

— Mnie wystarczy Pokoik, Kochanie. Mnie wiele nie trzeba. Ja przycupnę gdzieś w kącu, o tu, na tej kanapeczce — rzucała metodycznie. — Ja chcę jak najmniej miejsca zajmować. Więc najlepiej Pokoik. Pokoiczek nawet.

— Ciociu, Pokoik jest większy — argumentowałam niegościnnie. — Tak się złożyło, że Pokój jest malutki, a Pokoik troszeczkę większy, chociaż także, jak Ciocia widzi, niewielki — mówiłam wpadając od czasu do czasu w Ciocine zdrobnienia. — Tak się złożyło, że większy. Przypadek — tłumaczyłam się.

— Dla mnie nic nie trzeba większego, tylko Pokoik, właśnie Pokoik w sam raz — powtarzała uparcie. — Zresztą, tu już, jak widzę, stoją moje walizeczki.

I rozgaszcza się w Pokoiku z tym burym swoim miśsiem.

— Ach, jak przytulnie! — wykrzykuje rozdygotana. — Ja lubię właśnie pokoiki. Mój Boże! Amfilady! Ambasady! Gdzie te czasy?

Na razie nie dostrzegałam jeszcze różnicy między do-

tychczasową moją egzystencją a tą, której pierwszy etap otwierał się właśnie. Zgiełk był, ruch i bałagan. Dwie walizki, niekształtne, bo zbyt wysokie jak na swą szerokość i długość, zastawiły prawie całą wolną przestrzeń Pokoiku i sprawiały szczególnie dotkliwie wrażenie nieładu, ja zaś jestem obdarzona nikczemnym jakimś poczuciem porządku: tylko gdy mam pewność, że jest on obecny, umiem cierpieć z innych przyczyn.

— Ja mam mało rzeczy — gawędziła dalej Ciocia. — Widzisz, Kochanie? Tylko dwie walizeczki, z tego jedna puścusienska. No prawie. Bo nie miałam mniejszej.

No tak: zawsze się chwala, że podróżują z lekkim bagażem, a innym zarzucają jego nadmiar. Większy rozmiar walizki, rzekomo zbyt wielki, zawsze usprawiedliwiają brakiem mniejszej, a przecież każdą mają zawsze po brzegi wypchaną. I czego się tu wstydzić? Przecież wszystkie lubimy łąchy, a Ciocia była szczególnie kobieca.

Cioci walizki otwierały się z głośnym, suchym trzaskiem. Z jednej wyciągnęła kilka długich naszyjników z bursztynów, które wyglądały jak brunatny żwir nanizany na sznurek. Zagrzechotała nimi najpierw z daleka i po kolei jeła zarzucać mi je na szyję. Poczułam się jak lądujący na Hawajach amerykański turysta z plakatów, którego miejscowe dziewczyny, piękne jak marzenie, zarzucają na powitanie sznurami świeżych kwiatów. W ręce wpychała mi bursztynowe kółko, które było bransoletą, bursztynowe kolczyki, broszkę bursztynową i bursztynowe spinki. Wiedziałam, że każdy gram bałtyckiego kruszcu — to zapłata za jakąś jednostkę czasu, którą będzie mierzony jej pobyt w krainie brylantów. Tylko jaką: godzina, dzień, doba? A może tydzień, skoro była już połędwica, suszone grzyby, flaszka Wyborowej, 22 lipca?

— To tylko tak — mówiła Ciocia. — Takie nic. Bo cóż my możemy tu przywieźć z naszego biednego Kraju? Ale... — i tu schyliła się do drugiej walizki — przywiozłam ci coś, co ci przypomni dzieciństwo.

I zaczęła wykladać na kanapkę serdak haftowany w

ceglaste parzenice, skórzane kierpce i zakopiański piórnik.

— Pamiętałam, że jesteś urodzona w Zakopanem — powiedziała z dumą. (Skąd ona to wie?) Co prawda — mówiła Ciocia dalej — urodziłaś się tam przypadkowo: twoi rodzice przypuszczalnie byli na wakacjach.

— Wcale nie przypadkowo — odrzekłam uczciwie. — Rodzice mieszkali w Zakopanem. Tatuś uczył tam w gimnazjum.

— Co? — zawołała Ciocia.

— Matematyki — odparłam.

— Nie mówi się *co*, tylko *czego*.

— No to czemu Ciocia mówi *co*? — denerwowałam się już wyraźnie, nie pojmując o co chodzi.

— Bo nie słyszałam — odpowiedziała Ciocia, a w głosie jej obok polskości przebijało teraz oburzenie — żeby ktoś w rodzinie był profesorem gimnazjalnym, i to w Zakopanem. — Pięknie drgało *r* w ustach Cioci, samogłoski były pełne, krótkie i otwarte do końca.

Odłożyłam bursztyny, które miałam w ręku, i grzechocząc pozostałymi na dekolcie, posadziłam Ciocię w foteliku. Poczułam się tak szczerze obdarowana, że chcąc się odwdziżyć — przynajmniej teraz mi się wydaje, że dlatego — spojrzałam na srebrną miskę w nadziei, że coś na jej dnie jeszcze się znajdzie. Nie można się przecież z miejsca rzucać na przywiezione przez Ciocię 22 lipca.

Wiadomo już co miało miejsce potem. Wiadomo też że o dalsze tematy do rozmowy nie było znów tak łatwo, zwłaszcza jeśli zważymy, że „Ach! Ach!” nie powtórzyło się więcej.

Odkryta na kuchennej ścianie rysa nie dawała mi spokoju, tym bardziej że Ciocia, wbrew swemu okrzykowi, siedziała układnie w foteliku a walizki stały jak przedtem. Wyciągnęłam więc z szafki flaszkę *whisky* kupioną za grosze w samolocie podczas mojej ostatniej podróży do Londynu, *whisky* szkockiej, można rzec, odrzutowej. Pa-

miętam Anglika, który w samolocie, zaraz po zajęciu miejsca, zapytał stewardess'ę z niepokojem i po francusku o *whisky*. Niektórzy w ogóle po to podróżują samolotami, by kupować tanie trunki i papierosy. Ponadto przywozi się do Francji koszulkę *made in Belgium*, kupioną w Anglii za 19 szylingów i 11 pensów, bo taka sama, fabrykowana w Szwajcarii, kosztuje u Lafayette'a o dwa franki więcej i jeszcze taksówkę trzeba doliczyć. Ach podróże! I nie jeździmy już teraz *za granicę*, nie zwiedzamy *krajów* — my, rozpodróżowani Europejczycy, o wspólnych miastach, wspólnych wybrzeżach, wspólnych trunkach i rynkach. Nie udajemy się już do Anglii, lecz do Londynu; urlop spędzamy w Rimini lub Viareggio, nigdy we Włoszech. Aparat fotograficzny przywieźliśmy z Monachium, nie z Niemiec; tej zimy nartowaliśmy w Zermatt, bez udziału Szwajcarii w całej tej imprezie, a na wiosnę zwiedzimy muzeum w Rotterdamie, nie pamiętając nawet, że znajduje się ono w samym sercu Beneluxu. Jeszcze może uboga — a więc i daleka — Hiszpania występuje w rozmowach jako kraj czy państwo, ponieważ nie czujemy, by do nas należała, a jeśli ktoś wybiera się do Kielc, Krakowa lub nawet do Warszawy, wówczas nieodmiennie zapowiada, że jedzie do *Polski*.

Co odnosi się również do przybywających: Ciocia przybiera w foteliku pozę przyjezdnej z Polski; spuszcza głowę i strzela spojrzeniem to w jedną stronę, to w drugą. Natomiast mój sąsiad w samolocie — pamiętam — z europejska ubrany Hindus, podniósł głowę znad angielskiej gazety i zwrócił się do starszej Angielki siedzącej po jego drugiej stronie, zaraz za przejściem:

— Wielkiej Brytanii świetnie się powodzi.

— Czy tak piszą w gazecie? — odpowiada grzecznie Angielka, która dwadzieścia lat spędziła w Indiach z mężem, ongiś wysokim urzędnikiem Green Tea Company, obecnie nieboszczykiem.

Za nami Amerykanin nosi w klapie trójramienny zna-



czek Mercedesa, a w klapie siedzącego obok niego syna wpięte są aż dwa takie same znaczki, nie wiadomo dlaczego.

— *Do you speak English?* — zagrzewa mnie Hindus.

Ja, oczywiście, ani w ząb, choć wiele rozumiem, ale przyrzekam, że się nauczę, bo jakże tu istnieć bez *lingua franca*? Co prawda w samolocie Anglicy czytają francuskie gazety, ale za to Francuzi — angielskie.

— Czy Ciocia umie mówić po angielsku?

Nie pamiętam, co odpowiedziała, ale żeby już skończyć z tym samolotem, trzeba by jeszcze dodać, że tuż przed odlotem zdążyła wpaść do kabiny nie umalowana niewiasta z dwojgiem dzieci i usiadła z nimi na fotelach przede mną i Hindusem. Uroczystą tę chwilę pojawienia się macierzyństwa u progu kabiny reszta pasażerów powitała z zapartym tchem. Kilka osób siedzących przed rzeczonymi fotelami rzuciło się szybko ku nadchodzącej Matce usuwając jej z drogi przeszkody, których, zresztą, nie było, pomagając w usadowieniu dzieci, uśmiechając się do nich, podlizując się im, strojąc miny przy udziale palców, chusteczek, krawatów. Dzieci, małego choć nierównego wzrostu, natychmiast gdy po odlocie zezwolono na odpięcie pasów bezpieczeństwa, rozpoczęły nieuzasadnione harce wzdłuż przejścia, wydając przy tym wysokie i nieustanne piski, z wbudowanym w głosiki mało radosnym śmiechem (śmiechowi dziecka, bowiem, najczęściej brak wesołości) i zalotnym wdziękiem, którego nie szczędziły, by zdobyć serca pasażerów. I umysły. W miarę uświadamiania sobie rosnącego rozczulenia dorosłych, na które, zresztą, zawsze w podstępnej swej interesowności dybią, dzieci przechodziły ze spontanicznego rozbuchania w kokieterijną sceniczność i celowo goniąc się teraz ponurym tupotem wzdłuż przejścia, wypuszczały przez szczerbate otwory w twarzach coraz to dokuczliwsze dźwięki.

— Czy Ciocia lubi dzieci?

Ciocia westchnęła i miałam wrażenie, że rozczuliła

się podobnie jak moi ówcześni towarzysze podróży, na co, zresztą, Matka nie zwróciła szczególnej uwagi; uważała widocznie rozczulenie za zjawisko normalne. Siedziała poważnie, przechylając się lekko z pedagogiczną mądrością przez poręcz, a z bladych jej ust płynęła sztuczna łagodność. Niby to strofowała z pseudosurowym znawstwem rzeczy, ale w rzeczywistości znajdowała usprawiedliwienie dla postępowania dzieci, jak i dla własnej dumy macierzyńskiej, w samym przez się zrozumiałym fakcie posiadania potomstwa, tak jakby nie posiadanie go nie było równie faktem i — co ważniejsze — samym przez się zrozumiałym. Zresztą, do czasu, bo w pewnej chwili zainteresowała się jakimś pismem ilustrowanym i wtedy nagle głosiki wydały jej się zapewne mniej zrozumiałe a tupot nie tak bezpośrednio wpływający ze wspólnego całemu światu zwierzęcemu wszechpojętnego instynktu płodzenia. Osobiście zagrożona, i akustycznie, i cieleśnie — bo dzieci, podbiegając, łapały ją za włosy i korale, wyrywały pismo z rąk drąc niektóre strony na strzępy — zapomniała o swej wyższości, porzucała pedagogikę, by już tylko tupnąć złośliwie, chlasnąć na odlew czasopismem w rozkrzyczaną paszczkę starszej pociechy, młodszą zaś grzmotnąć pięścią w rączkę. Karciła dzieci również i słowem, nie przebieając i robiąc więcej hałasu, niż jedno i drugie uprzednio produkowały razem. Udawała przy tym przed publicznością, że pierwszy raz w życiu spotyka się z tak niestosownym ich zachowaniem. Dzieci naturalnie uderzyły w szloch.

Pasażerowie, rzecz jasna, pospieszają z pomocą, wykazując malcom solidarność w konflikcie, choć nie szczęddą i zdenerwowanej Matce formułowanych na migi zapewnień, że wszystko będzie dobrze. Niewiele myśląc, znając swe obowiązki Amerykanin ze znaczkiem Mercedesa w kłapie rzuca się na podłogę w charakterze niedźwiedzia. Dzieci z triumfem dopadają go: jedno wiąże mu dookoła szyi powróż, który trzymało w kieszeni na wypadek polowania — jak ja ogarki w szufladzie stolika na wypa-

dek spalenia się stopki w mieszkaniu — drugie zaś wie-  
dzie go sunącego na czworakach wzdłuż kabiny aż do  
toalet i z powrotem. Hindus nie wytrzymał i prędko padł  
na dłonie udając słonia, którego jednak z miejsca udwu-  
noził, zmuszony do naśladowania rękami kłapiących  
uszu, jako że (zrażonemu może do Kiplinga) chodziło  
mu, oczywiście, o słonia afrykańskiego. Dzieci, myśląc że  
sprawa dotyczy spaniela, zaczęły szczekać. Mieszała się  
zoologia, anatomia i akustyka. Angielka, pomimo utraty  
imperium nie chcąc pozostać w tyle za Hindusem, zdoby-  
ła się również na gest: zgięta w kabłąk, położyła na pros-  
tym swym grzbiecie grubą torbę podróżną i udawała wiel-  
błąda czy też dromadera, bo kto pamięta, ile każdy z nich  
garbów ma? Ja zadowoliliłam się wcieleniem w leniwca,  
co pozwoliło mi nie ruszyć się wcale, ale zmusiło do  
uśmiechania się — to błogo, to ironicznie — choć w  
duszy mej, nie wcielonej, działało się zupełnie co innego.

— Czy Ciocia lubi szkocką *whisky*?

Nie. Okazało się, że nie. Ciocia lubiła tylko szampa-  
na, o którym, niestety, nie pomyślałam. Może łatwiej by-  
łoby w promieniu jego musującego działania zapytać Cio-  
cie o stopień pokrewieństwa, jakie mnie z nią łączyło, a  
co do tego, że łączyło, nie można było — z racji owego  
doznanego na dworcu ukłucia — mieć żadnych wątpli-  
wości. Odważyłam się, pomimo trzeźwej atmosfery,  
usiąść obok Cioci na stołku — miałam, bowiem, tylko  
jeden fotelik, na którym teraz siedziała Ciocia. Tonem  
o ile możności błahym, niezależnym od mojej postawy,  
którą jej koniecznie chciałam zaprezentować jako gościn-  
ną, rzekłam znienacka choć cokolwiek uroczyście:

— Czy my jesteśmy spokrewnione po mieczu, czy  
po kądzieli?

— To zależy, o czyją kądziel i o czyj miecz chodzi,  
Kochanie — odparła Ciocia trzymając się logiki — bo  
o ile masz na myśli twoich rodziców... Moje biedactwo  
— chwyciła mnie za rękę — tak młodo ich straciłaś!

Ja słuchałam, ale Ciocia na razie nic więcej nie po-

wiedziała. Jedno oko jej się zaskliło i znów chwyciła mnie za rękę.

— Ja się tobą trochę zajmę — powiedziała z czułością. — Przynajmniej przez ten krótki czas będziesz nieco mniej osierocona.

Powinnam była w tej chwili rzucić się Cioci w objęcia; niestety, w ramy mojego niepokoju, którym cała ta scena była podszyta, wtłoczyła się znowu kuchenna ściana. Utrzymałam więc rezerwę i wznowiłam uprzednie pytanie, w bardziej, być może, bezpośredniej formie:

— Ale, Ciociu, jak tam z tym naszym pokrewieństwem? — i głos mój zabrzmiał nieprzewidzianie twardo.

— Ach, to bardzo proste, Kochanie — zaśmiała się Ciocia, lekceważąco potrząsając ręką. — Otóż twój ojciec (Cóż to za przemiły człowiek! Nawet sobie nie wyobrażasz!) był bardzo blisko z Wieńczykiem. Było to wielkie pokrewieństwo krwi i ducha, szczególnie ducha, a wiadomo że najważniejszy jest zawsze duch. Bardzo, bardzo bliskie pokrewieństwo, naprawdę — nalegała z podejrzanym uporem, który z wolna zaczynał wywoływać u mnie wątpliwości. By ukryć ten stan ducha — a duch istotnie wydał mi się najważniejszy — pospieszyłam z zapewnieniem:

— Cieszę się, że takie bliskie — co znowu, wbrew mej woli, zabrzmiało twardo. Może nie powinnam była właśnie w tym momencie dodawać: — „A któż to, ten Wieńczyk?” — ale okazało się, że postąpiłam właściwie i zaskarbiłam sobie wznowienie Ciocinegożywienia.

— Ach, Wieńczyk, to cudowny człowiek, a do tego kuzyn pierwszej żony Michała, który jest, a raczej był (biedny, też umarł, i to na tyfus w Rosji, dokąd go wywieźli) mojej Cioci zięciem — wyjaśniła Ciocia.

— Cioci cioci zięciem? — wykrzyknęłam. — A, to bardzo bliskie pokrewieństwo, chociaż — kombinowałam — ten Michał musiał się chyba ożenić po raz drugi, no i już ostatecznie z córką Cioci cioci.

— To jasne — odparła Ciocia. — Bez tego nie byłoby pokrewieństwa, czy też powinowactwa.

— A tak, to jest? — spytałam nieufnie.

— No tak, bo jest kuzynem.

— Kto? Ona? — płatałam się w całkowitym zamięcie. — To niemożliwe.

— A jednak, widzisz! — rzuciła Ciocia poprawiając swoje usadowienie w foteliku, zupełnie już pojednana z wystarczalnością swych wyjaśnień.

— To znaczy — rozważałam półgłosem — że gdyby nie Wieńczyk...

— To bym tu dziś u ciebie nie siedziała — zawołała Ciocia powstając radośnie. — W tym przytulnym mieszkanku nie przytuliłabym się, nie przytuliłabym ciebie do siebie, nie przytuliłybyśmy się razem, Kochanie.

W chwili gdy cała ta przytulność wraz z wizją dalszych z nią związanych możliwości przywiodły mi na myśl gorącą herbatę i tym razem na serio powzięłam zamiar rzucenia się Cioci w objęcia, zadzwonił telefon.

— Zdaje się, że znalazłem mieszkanie — mówił Olgierd z entuzjazmem.

— No, opowiedz! — krzyknęłam ochoczo do słuchawki.

— Jeszcze nie wiem, jakie jest, ale może to już nareszcie to, czego szukam. Lonia już je widziała i powiedziała, że ciekawe. Więc leczę. Pa!

— Co to takiego? — krzyknęła Ciocia z Pokoiku.

Pobiegłam szybko, ponieważ nie lubię przeprowadzać rozmów z pokoju do pokoju, co niestety, jak się okazało, było zwyczajem Cioci.

— Taki pan. Nazywa się Olgierd. Mówi po polsku — odrzekłam.

— A co ten pan robi prócz tego, że mówi po polsku?

— Szuka mieszkania, chce kupić; niestety, stale mu brak jednego miliona. Starych franków, Ciociu, starych — dodałam w pośpiechu, ujrawszy przerażenie w oczach Cioci, której światopogląd wyrażał się wyłącznie w no-

wej walucie. — Albo mieszkanie jest obskurne i wtedy ma dość pieniędzy — wyłuszczałam przed Ciocią odwieczny problemat — albo jest do wzięcia pod uwagę, a wtedy...

Olgiard mieszkał dawniej o kilka ulic od mojej kamienicy, w podobnej, którą potem zburzono, gdyż groziła zawaleniem. Jadaliśmy wówczas razem co poniedziałek comber króliczy w pobliskiej restauracji. Czasem wieczorem wpadał na pogawędkę, niekiedy nawet z Lonią. To miłe, gdy ktoś przychodzi nie zapowiedziany: jest to dla mnie miarą i sąsiedztwa, i zaufania, nawet jakiejś poufałości, bo przecież telefon zabił w nas spontaniczność. I ja czasem lubię się puszyć: że do mnie się nie wpada, do mnie się telefonuje, że mną się trzeba umawiać z góry, niczym z ministrem. Jak rozpaczliwie śmieszni jesteśmy!

— Rozchorował się na depresję jakiś czas temu. Przed wojną nazywano to, zdaje się, pomieszaniami zmysłów, może właściwiej — uprzystępniałam opowieść przekładając ją na język epoki Cioci. — Był w klinice psychiatrycznej, czyli w szpitalu dla wariatów — snułam dalej na temat Olgiarda. — I proszę sobie wyobrazić, Ciociu, że teraz nie wiadomo czy dlatego był w klinice, że nie mógł znaleźć mieszkania, czy też odwrotnie, dlatego nie może znaleźć mieszkania, że był w tej klinice.

— A co tam w tej klinice robią? — spytała Ciocia zaintrygowana.

— Chodzą po ogrodzie z grającymi na cały głos odbiornikami tranzystorowymi, mam na myśli takich trochę podleczonych. To, zresztą, Olgiarda niesłychanie denerwowało, bo on cały czas leżał w separacie. Leczone go elektrowstrząsami, czy też chemiowstrząsami.

— My sobie na takie choroby nie możemy pozwolić — zawyrokowała Ciocia ironicznie. — *Nasza rzeczywistość* — tu nastąpiła znacząca pauza — dostateczną ilość wstrząsów co dzień dostarcza. Wszystkich by was zaraz wyleczyły.

Raziła mnie nieco ta pewność poczucia, że jedyną fa-

talną rzeczywistością jest ta, w której musi się żyć. Czyżby rzeczywistość, każda, niekoniecznie *nasza*, nie była dostatecznie wielkim wstrząsem, żeby w ogóle postępować trochę skromniej i o rzeczywistości jak najmniej rozprawiać? Ale prędko zapomniałam o tym, że coś mi nie odpowiada, bo Cioci zaszkliło się oko. Potem była herbata.

— To nie to co przed wojną — mówiła Ciocia opieszale, otwierając pudło czekoladek, które przywiozła — ale skosztuj, Kochanie.

— A przecież — rzekłam w zamyśleniu, podczas gdy Ciocia ostro mieszała herbatę łyżeczką, dzwoniąc nią bezładnie po brzegach filiżanki — to nie nasza wina, że my tu, na Zachodzie, nie dość rzetelnie cierpimy. Ale, Ciociu, dobra czekoladka — dorzuciłam wgryzając się w długi baton z kremem malinowym.

— No cóż? Jesteście zepsuci, ale to może i dobrze — stwierdziła Ciocia z rozmarzeniem, nieco wyniosłym, takim, jakie normalnie idzie w parze z pretensją do losu.

— Wcale nie dobrze — próbowałam ją ugłaskać. — Cierpieć, koniecznie cierpieć! Odkupić wasze cierpienie — podawałam bezokolicznikowo, a więc niekoniecznie odnosząc omawianą działalność do siebie.

Niemniej Ciocia, całkiem udobruchana, uśmiechała się do mnie znad dymiącej filiżanki, ciesząc się zapewne, że czekoladki, których zjadłam już sześć, odpowiadają mojemu paryskiemu podniebieniu. I ja uśmiechałam się przyjaźnie, popijając to wszystko herbatą. W kłębach jej pary miękkły moje zastrzeżenia.

I byłyby się niechybnie rozwiały, gdyby wśród nocnej ciszy nie doszły mnie, zamkniętej później w Pokoju na klamkę, odgłosy miarowego chrapania. Ciocia chrapała klasycznie: milcząc przy wydechu. Usiadłam na pościeli zdjeta trwogą, tej bowiem katastrofy nie przewidziałam. Artysta niekiedy oddychał ciężko i z lekkim poświs-tem, ale w ciągu pięciu lat spędzonych w tym mieszkanku pierwszy raz usłyszałam w nim autentyczne chrapanie,

ten najwulgarniejszy z hałasów, ustokrotniający nocą  
dzienne niepokoje, drążący czaszkę jak korniki osiemnas-  
towieczny mebel, pogrążający mózg w rozpacz, skłaniają-  
cy zrazu do bezsilnej złości, potem do silnej tęsknoty za  
utraconym kochankiem, wreszcie do marzeń o samobój-  
stwie, kończącym się zawsze, niestety, na marzeniach.

Za oknem szarzało, kiedy wysunęłam się cicho z Po-  
koju i czepiając się rękoma ledwie widocznych sprzętów  
przebrnęłam na palcach przez rozedrgany niezwyčajny-  
mi dźwiękami Pokoik. Zamiast do łazienki, dokąd nor-  
malnie prowadzi zdenerwowanie szeregu nieprzespanych  
nocnych godzin, skierowałam swe kroki do kuchni, gdzie  
delikatny szmer lodówki zabrzmiał kojąco. Przyłgnęłam  
do chłodnego pieca, wolno przesuwając zmęczoną dłoń  
wzdłuż cienia, jaki w półmroku wczesnego poranka pio-  
nowa rura zarysowywała na ścianie. Jest! Niewidzialne  
lecz stwierdzone ponad wszelką wątpliwość pod doty-  
kiem szczególnie wyczulonych, nerwowych od niewyspa-  
nia palców, pęknięcie poszerzyło się od popołudnia na  
tyle, że mogłam weń wetknąć paznokieć i sunąć powoli  
pokrętnym korytem w górę. Wtedy, opierając znużoną  
głowę o rurę, usłyszałam odgłos, którego nie zagłuszyło  
ani donośne chrapanie dochodzące z głębi Pokoiku, ani  
tym mniej łagodny szmer pracowitej lodówki: w rurze  
wyraźnie zagrzmiało.



## II

W poniedziałek po pierwszym listopada pękła rura. Ciocia powiedziałaaby, że przesadzam i miałaaby rację, bo rura w istocie swej jedynie się wybrzuszyła, i to wcale nie w poniedziałek, lecz we wtorek. Ale ja mam skłonności do przesady, to znaczy, po prostu, jestem, czy też byłam napiętnowana zdolnością przewidywania dalszych etapów pewnych wydarzeń, zwłaszcza wydarzeń związanych z przedmiotami codziennego użytku. Przesadne, natomiast, jest twierdzenie o złośliwości przedmiotów martwych, bo jakże może być mowa o złośliwości tam, gdzie brakuje zmechanizowanego działania duszy, zdecydowanego stosunku do ludzi, usystematyzowanego planu akcji w jakimś kierunku? W przedmiotach dopatruję się co najwyżej indyferentyzmu, którego co prawda nikt mnie pokonywać nie nauczył, choć z zetknięcia z jego skutkami wychodziłam dotychczas obronną męką.

Dla takich jak ja istnieje, bowiem, pewna iluzja komfortu, która obok zwycięstw nad jego niedostatkiem, lub zgoła brakiem, też sprawia, że żyje się dalej, czego — jak mi się zdawało — może właśnie w ten dzień, który podług Cioci był wtorkiem, nie sposób było dokonać bez młynka do kawy. Wychodzisz więc z zepsutym młynkiem w ręku z domu, w którym jest Ciocia, wybierająca się właśnie na koncert; są rury, z których jedna zachowuje się

podejrzenie; okruszyny na podłodze i kapiący kurek w łazience; transformator zmieniający prąd z 220 wolt na 110, względnie odwrotnie (czego nie przewidział ofiarodawca młynka, dosyć gruby pan, któremu w osiągnięciu upatrzonego celu i ten gest nie pomógł), nieopatrznie przy mieleniu kawy zapomniany; ustawiczne Cioci przygotowania do wyjścia na Paryż, zalegające obecnie cały mój życiowy ruokrąg, rozprzestrzenione po wszystkich metrach kwadratowych mej doczesnej własności; żarówka i jej przepalenie się; niemożność nabycia nowej, bo ktoś spamięta wszystko, co trzeba do gospodarstwa zakupić, zwłaszcza w obliczu często spalających się bezpieczników elektrycznych; paczka z pralni wydźwignięta na pierwsze piętro w przerwie obiadowej i nieobecność w jej zawartości (stwierdzona zresztą dopiero wieczorem, gdy pralnia już jest zamknięta) jednej koszuli nocnej, tej właśnie najmielszej, bo niczego nie przypomina, nawet chrapania Cioci, które dostatecznie często przypomina się samo; brak w jubileuszowym wydaniu herbarza prowincji Angoulême stron 27-36, gdzie mowa o powstaniu kmiotków za panowania Henryka III, ongiś króla Polski, i o pośmiertnym uszlachceniu niektórych z nich, a bez tej informacji świat by się pewnie nie zawalił, ale Sekretarka naskarżyła na mnie do szefa, profesora Poleciała, i musiałam się potem korzyć, wykazując brak owych stron, a więc brak mojej odpowiedzialności; telefon trup, bo Olgierd, któremu znów nowe trafiało się mieszkanie, zapomniał odłożyć słuchawkę i poleciał, a teraz Ciocia płacze, bo spodziewała się przywołania od Totusia, który przecież aż na główną pocztę w Warszawie chodził, by dzwonić do Paryża, jako że przy Sputników 2, adresie znanym z nieprzejednania, telefon był na stałym podsłuchu; Cioci płacz ma znaczenie czysto emocjonalne, lecz ona myśli, że polityczne, dlatego zresztą płacze.

Otóż z tym młynkiem idziesz naprzeciwko do sklepu, w którym sprzedają młynki zupełnie innej marki, zapy-

tujesz nieśmiało, stawiając nieczynny swój gruchot na ladzie:

— Czy może przypadkiem rzuciłby pan okiem? Mimo że (bardzo przepraszam) nie tu kupiony, bo to podarunek od kogoś zamieszkałego na prowincji. Zepsuł się, nie wiadomo jak — komentujesz, zatajając naturalnie przed sprzedawcą transformator, błędne jego użycie, względnie nie użycie go wcale w tym wypadku.

— *A votre service* — powiada sprzedawca odkręciwszy zewnętrzne śrubki, potem wewnętrzne, i poruszywszy kilka prętów w środku miniaturowym pogrzebaczem. — Będzie jak nowy, *Madame*, za jedną godzinę, za jednego franka.

Nie wolno, oczywiście, sądzić, że młynek do mielenia kawy może sam od siebie w pewnych okolicznościach przetworzyć się w tę tzw. ostatnią kroplę. Natomiast wolno pomedytować nad ewentualnym własnym nastawieniem do natychmiastowej przyszłości na wypadek, gdyby sprzedawca postąpił odwrotnie: pod pozorem, że niby młynek zepsuty, bo tandeta, że inny prąd i mrozy się rozpoczęły, że w ogóle nie do naprawienia i trzeba kupić nowy — o, ten model na przykład, ma automatyczny guzik, albo tamten, całkiem bez guzika i nawet kawy nie potrzeba — a jak nie, to hulaj, bo nie mam czasu.

— My nie możemy sobie pozwolić na przejmowanie się takimi drobiazgami — powiedziała Ciocia, gdy zwróciłam jej uwagę na wyrzuszenie rury, zupełnie widoczne nawet w odbiciu na ścianie, ciągle jeszcze jednak dosyć strzelistym.

— Trzeba mimo to zawołać Rurologa — odrzekłam, ale na urzeczywistnienie tej pogróżki zdobyłam się dopiero w tydzień później.

Wezwany we wtorek Rurolog zjawił się w piątek, i dobrze się stało, bo gdyby był w ogóle nie przyszedł, Ciocia, obeznana ze współczesnym repertuarem teatralnym, powiedziałaby, że już był raz taki, na którego czekano bezskutecznie i że drugi raz podobna rzecz zdarzyć

się nie może. Niemniej stwierdziła, gdy Rurolog, człowiek bez wyglądu, wszedł przez próg:

— U nas na takiego magika czekałoby się miesiącami. Wy macie szczęście!

I jęła uśmiechać się do Rurologa zapewniając go wzrokiem, że cała sprawa jest błaha. Rurolog jednak nie podejmował spojrzeń Cioci, pozostając — przynajmniej pozornie — bez reakcji. Oglądał rurę, zajrzał za rurę, pomacał ścianę w miejscu, gdzie była pęknięta, lecz rychło przeniósł wzrok ponad zmywak, tam, gdzie ściana była nieuszkodzona. Milczał, ja zaś niecierpliwiłam się. Dlaczego rurologowie zawsze badają te zjawiska, które są wolne od poszlak, nietknięte zewnętrzną cechą jakiegoś procesu wewnętrznego rozkładu? Dlaczego — zastanawiałam się — nie tam upatrują zło, gdzie niebezpieczeństwo wyskakuje na powierzchnię, i z całkiem normalnych sytuacji wysnuwają pesymistyczne wnioski? Ciocia śledziła ruchy Rurologa ze słabnącym zainteresowaniem.

— Trawa — powiedział na koniec jak lekarz, który nie ukończył jeszcze badania i nie jest wobec tego całkiem pewny swej diagnozy — morska trawa napajtoszyła się we wzakrotkach.

Jak lekarz w kolano pacjenta, tak Rurolog stuknął od niechcenia w spojenie rury, które właśnie zauważałam po raz pierwszy. Rura, pacjentka przewrotna, nie drgnęła, zaś on zaraz przytknął do niej ucho. Nachyliłam się myśląc, że może i ja coś usłyszę.

— Raz w nocy coś grzmiało — zasugerowałam, ale Rurolog ciągnął dalej spokojnie:

— To przypuszczalnie ulewa wsączyła się po kropelce w ramoty, co powoduje przewrażliwienie i oślizgłość fanoberii.

— Istotnie padał deszcz w zeszłym tygodniu — wtrąciła Ciocia siadając przy stole.

Rurolog spojrzął w górę i powiedział:

— U wylotu trzęsawicy powinien być autorament, ale go jakoś nie widzę.

— No, jakże go pan ma zobaczyć, skoro on ma być u wylotu, a wylotu nie ma? To znaczy chyba jest, ale ukryty w suficie. Trzeba rozebrać rurę — orzekłam.

— Można i bez rozbierania — zapewnił. — Tylko trzeba Grajfrem. Jedynie Grajfrem można odchłonić tę rurę.

— To fatalne — zawyrokowałam.

— Dlaczego fatalne? — zapytał zdziwiony.

— Widzisz! — wykrzyknęła Ciocia z satysfakcją. — Od razu ci powiedziałam, że przesadzasz. Teraz pan potwierdza. — I znów zaczęła uśmiechać się do Rurologa, w którym zobaczyła nareszcie sprzymierzeńca, a więc *mutatis mutandis*, w profesji, której był przedstawicielem, dopatrzyła się obrończyni wszystkich mieszkańców Ludowego Kraju.

— A ja twierdzę, że fatalne — mówiłam nadąsana, niezbyt jeszcze pewna swojej racji.

— Ależ dlaczego? — zawołali chórem Ciocia z Rurologiem, ten ostatni po raz pierwszy nieco ożywiony. Zwiążali się razem przeciwko mnie.

— No, bo nie ma Grajfra. — Po chwili dodałam widząc politowanie na twarzach moich rozmówców: — Ale... wybrzuszenie... Niech pan powie prawdę: czy ono rzeczywiście jest?

Rurolog w milczeniu znów stukał lekko palcami, tym razem w uszkodzoną część ściany, jak internista, cierpliwie i mało systematycznie zatrzymując dłoń to tu, to tam.

— To jest w środku — wyrzekł, a słowa jego teraz ostatecznie zabrzmiały jak diagnoza. — To jest wewnętrzne. Nie ma rady: trzeba odchłonić.

Lata temu nabyłam tę zwartą gromadę kwadratowych metrów i choć pan Zwierciadło wspaniałomyślnie dorzucił mi korytarz za darmo, zapłaciłam mu na owe czasy wcale pokąsną sumę. Do jej zdobycia nie przyczynił się rząd Niemieckiej Republiki Federalnej, wobec mnie — jak mu się zdawało — niewinny. Ileż to wschodnioeuropejskich głów przykrył rząd ten paryskim dachem, by za

tę cenę wyżyć się kompleksów. Olgierd, który pana Zwierciadło nie znał osobiście, żartował czasami, że własnym ciałem zapłaciłam za mieszkanie. Olgierd po dziś dzień miewa przeróżne staromodne pojęcia w rodzaju „własnego ciała”, lecz wtedy, chociaż doradzał, czy też odradzał nabycie obiektu — już nie pamiętam — późniejszej ewentualności odchłaniania rury na pewno nie przewidział. Nie przewidział jej również urzędnik hipoteczny siedzący przede mną za biurkiem, kiedy okazało się, że nagle brakło mi pół miliona do przeprowadzenia transakcji u rejenta. Według prawa mającego kurs na ziemiach Francji i Nawarry od wieków, część sumy, która, jak wynikało z moich obliczeń, zdawała się wystarczającą, miała pozostać zablokowana na przeciąg sześćdziesięciu dni. Inne prawo panujące na tychże ziemiach sprawiło, że o wszystkim dowiadywałam się zawsze za późno. W czasie gdy tak siedziałam z urzędnikiem hipotecznym, ten sam urzędnik otworzył drzwi gabinetu, wszedł i usiadł obok mnie. Zdawało się więc, że jest ich w gabinecie dwóch, identycznie wyglądających, ale ja wiedziałam, że to niemożliwe, zwłaszcza że wyszłam z urzędu hipoteki państwowej z jednym tylko podpisem, ale za to bardzo malowniczym, ozdobnym w esy, floresy, na blokującym mnie hipotecznie hipotecznym akcie.

Dopiero gdy zastęp robotników zaczął rozwijać rurospłoty (kto wie czy to nie one doprowadziły ostatecznie do wybrzuszenia strzelistego przewodu istniejącego już za kadencji pana Zwierciadło?) okazało się, że najistotniejszym prawem obowiązującym na wyżej wymienionych ziemiach jest to, według którego poprzednie prawa można było obejść. Toteż w pośpiechu wystarałam się także u zastępcy szefa zarządu kamienicy o podpis, znacznie mniej ozdobny od hipotecznego, bez którego wszakże gazownia miejska nie puściłaby w ruch swego towaru w moim przez nią uprzednio autoryzowanym ruralnym przedsięwzięciu, bez czego z kolei nie zadziałałoby ogrzewanie, bez którego zaś nie należało zacząć malować ścian,

jako że cement, materiał porowaty, nasiąknąłby mrozem — przy czym malarze już byli, o dziwo, na miejscu, a jako robotnicy słono płatni od godziny, denerwowali się zwłoką, bez której we Francji, ba, na całym świecie... i td.

W niecały rok potem wsuwałam już do nowego domu walizkę, której z powodu oddartego ucha nie sposób było nieść. Po kilku dniach stawiałam srebrną miskę na półkę, a głowa bolała mnie bardzo od silnego zapachu świeżej farby.

Tymczasem Rurológ, szepcząc że to jest w środku, tam wewnątrz na pewno, wciąż opukiwał ścianę, i tak sugestywne były jego czynności, że już zamierzałam rozedrzyć szaty na piersiach, spuścić ramiączka koszuli i kazać mu siebie samą opukać, bo skoro w środku, to może u mnie w środku, może tam właśnie jest *to*... Ale on przerwał nagle czynności. Ciocia rzeczowo spytała, gdzie kupić Grajfra i ile kosztuje.

— To chyba bardzo proste we Francji — sugerowała.

Rurológ spojrział na Ciocię surowo i rzekł:

— Nie takie proste. Trzeba zawołać tego z Grajfresem.

— A jak się nazywa ten z Grajfresem? — spytałam bez przekonania.

— ...ko — powiedział Rurológ.

— Jak? Mitko?

— Nie, proszę pani — odrzekł Rurológ, znów rozglądając się po suficie. — Nazywa się ...ko.

— Sitko?

— Nie! ...ko. Ale ja pani to zapiszę. Albo, najlepiej, go pani przyślę.

Nagle, jak gdyby sobie coś ważnego przypomniał, wyszedł z kuchni i przeszedłszy cały długi korytarz schylił się przy drzwiach wejściowych. My za nim. Obcęgami zdjął zakrętkę w ścianie i do otrzymanego tym sposobem otworu przytknął zapaloną zapalniczkę. Buchnął posępny płomyk gazowy.

— Widzi pani, jak się pali? — zaindagował, i to było chyba jego pierwszym istotnym pytaniem.

— Tak się pali, że widzę, ale jak się pali, nie widzę — odparłam wymijająco.

— No właśnie tak, że pani widzi — potwierdził.

— To może nie będzie trzeba Grajfra — zawołałam z niejasną nadzieją. Grajfra, bowiem, chciałam uniknąć za wszelką cenę, nie wiem dlaczego.

Zwróceniu ku drzwiom staliśmy w trójkę rzędem, bo inaczej nie można było w tak wąskim korytarzu, któremu niczego nie brałam za złe i centymetrów nie liczyłam, gwoili obyczajowi dotyczącemu darowanego konia. Rurolog z wolna odwrócił swój korpus, machnął mi obcęgami przed nosem i wydusił:

— Ach, pani droga! Nie sztuka się urodzić, nie sztuka umrzeć. Sztuka żyć!

Przeszło mi przez myśl, że może Rurolog się myli, lecz wprost zakwestionować jego twierdzenia nie śmiałam przede wszystkim z braku dowodów — miałam bowiem do życia całkiem amatorskie przygotowanie — ale także z charakteryzującego mnie nadmiaru ostrożności w obcowaniu z ludźmi. Odpowiedziałam zatem znów wymijająco:

— No, to trzeba zawołać malarza, żeby przykrył pęknięcie na ścianie. Nie będzie znać — mówiła przeze mnie zachwiana uprzednio wiara w zewnętrzną, którą bezwiednie krzewiła we mnie Ciocia. W nadziei wydebienia w twarzy Rurologa iskierki bodaj optymizmu, chwyciłam się jeszcze ostatecznego argumentu: — Jakoś to będzie!

Zapozyczyłam hasło praojców, niekoniecznie zresztą własnych, o których wiedziałam jedynie to, co mi Ciocia dotychczas wyznała, bo żywiłam od jej przyjazdu zaufanie do złotopolszczyzny. Ciocia natomiast, stojąc w trzeciej pozycji, milczała skromnie i wysuwała jedno biodro w bok. Rurolog zgasił płomień.

— A teraz pani widzi, jak się pali? — zapytał.



— Nie. Nie pali się, bo pan zgasił i nie podpałił na nowo — uprzedzałam go przemądrzale.

— Wcale nie dlatego.

Seans przy otworze uznał Rurolog za skończony i otwór zamknął. Kroczyliśmy gęsiego w stronę kuchni.

— Można, oczywiście, kupić metalową obręcz i umieścić ją wokół spojenia, żeby je wzmocnić — powiedział na widok rury, oblewając mnie radością od stóp do głów. Zauważywszy moje rozpromienienie podszyte wiarą w cuda, Rurolog ostrzegawczo wzniósł w górę obcęgi. — Ale to tylko na krótki czas umorzy sprawę. Niebezpieczeństwo jest, odchłonić trzeba i bez Grajfra się nie obejdzie.

Filumenistyczna metoda wstępnych badań rurologicznych naszego porannego gościa zaprzętała mi umysł bez reszty, gdy z dużym spóźnieniem wpadłam do mojej wnęki pod trzecim oknem drugiej sali wydziału dokumentacji sekcji heraldyki Ośrodka Badań Heraldycznych i Numizmatycznych, gdzie tonęłam w tak niesłusznie przez pięknoduchów pogardzanym wieku dziewiętnastym. W listopadzie obrządki moje dotyczyły głównie rozgryzania herbarzy z okresu drugiego Cesarstwa, tak burbońskich jak i napoleońskich, oraz ustalania genealogii obcych rodzin szlacheckich osiadłych we Francji po Rewolucji Lipcowej. (Ciocia zachwalała mi mój fach i nad dymiącą herbata dostarczała dla mych poszukiwań sporo żywego materiału anegdotycznego.) Pod pierwszym oknem siedział pan z brodą i chrząkał, tak jakby nigdy nie opuszczał go bronchit, a między nami, pod oknem drugim krzątała się nasza wspólna Sekretarka, której jedna piąta przypadała na mnie i tyleż na pana z brodą. W pierwszej sali urzędował profesor Poleciał, zaś reszty sal ani pozostałych pracowników nie znałam.

Dziś pan z brodą nie zwrócił szczególnie mojej uwagi, natomiast Sekretarka raz po raz podnosiła zadumaną głowę, patrząc w ścianę pokrytą grubą warstwą masy książkowej, lecz nie dostrzegając jej. Raz po raz błogi uśmiech

wykwitał na jej gibkiej twarzy. Wiadomo na czym zesła jej noc i wiadomo jakie wspomnienia uśmiechem tym pieściła. Wiadomo też, że piąta jej część do mnie należąca uśmiechu owego nie obejmowała. Ja pograżyłam się w Chaborskich, ale ani na chwilę nie zapomniałam o Grajfrze.

Szczęśliwym trafem, Poleciał, który (nawiasem mówiąc) trafami nie operował nigdy, zajęty widać bardzo swym szefostwem w pierwszej sali, naszej w ten dzień nie odwiedził. Krótkie wybuchy śmiechu, gniewne i ostre, które wplatał nie tylko do rozmowy, ale i do milczenia, słyszałam tylko z daleka, za każdym razem gdy Sekretarka, baczenie wypinając trzy piąte swej postaci, otwierała ukryte wśród tłustych tomów, niepozorne drzwi, przygłuszone bibliotecznym pyłem. A ja nie lubię ludzi bardzo zajętych, nerwowo spieszących się, zaaferowanych, zakatarzonych i chrząkających. Nie lubię też krzątających się sekretarek, z lokiem spadającym na rozdziawione w uśmiechu usta, nieustannie chodzących i wychodzących i często otwierających i zamykających jakieś szuflady. Dziewiętnastowiecznych herbarzy, wolnych od błędów drukarskich, od pomyłek w numeracji stronic, ortografii nazwisk, zwłaszcza panieńskich, oczyszczonych z nieporozumień w datach ślubów i chrzcin, wyłuskanych z niedociągnięć, także nie lubię, gdyż nie sposób zrzucić na nie winę za własną nieustającą heraldyczną niedoskonałość.

Toteż z radością powitałam łagodne tony Cioci, sztucznie łagodne a pedagogiczne, zbliżone do owych macierzyńskich upominań, o których w związku ze szkocką *whisky* już była mowa; łagodne — bo miałam troski; pedagogiczne — bo troski moje nie były całkowicie uzasadnione; nieco płaczliwe — bo Ciocia była emocjonalna, a smutnemu tematowi sprostać należało nie poruszając go samorzutnie w rozmowie. Do tego stopnia tony Cioci uzależniły się od sytuacji, w której znalazłam się ja — a która, jak się Cioci zdawało, jej samej nie dotyczyła — że przestałam zauważać polskość jej głosu. Trochę się

zdumiałam, a nawet przeraziłam, tym nagłym niezauważaniem: w Rurologa, mającego przeciwdziałać wybrzuszeniu, a może wybrzuszeniu się rury, włączyłam, chyba wbrew jej woli, część osoby Cioci, w każdym razie biodro wysunięte na kształt rury w bok, a teraz już — słyszałam to wyraźnie — jej głos. Tak dalece, że nie poszła do teatru, nawet walizek spod kanapki nie wysunęła ani razu przez cały wieczór, jakkolwiek w dalszym ciągu nie przestawała robić wrażenia osoby, która się nie przyznaje, że — podobnie jak wszyscy ludzie na świecie — dłużej czasem w nosie.

Cóż z tego, skoro z przedmiotami, o których wspominał Rurolog, nie była Ciocia zżyta i wbrew pozorom, jakie jej pozostanie w domu i rozwinięte na czas pozostania tony zdawały mi się nasuwać, nie wykazywała chęci uczenia się ich, na razie przynajmniej, na pamięć! Ćwierć wieku wcześniej całymi dniami snuła się pod numerem 5 ulicy La Fontaine po wyfroterowanej podłodze, inkrustowanej różanym drzewem wiktoriańskich wygibasów, z pokoju do pokoju, w bezkresnej amfiladzie, podczas gdy mąż snuł się po włoskich marmurach placówki dyplomatycznej i co chwilę komuś się kłaniał. W apartamencie było centralne ogrzewanie pędzone miejskim gazem, owszem, i były nawet jakieś rury. Dziś Ciocia nie chciała przyznać, że Francja to już nie Francja, co z tęskliwym westchnieniem i pogardą dla brunatnych twarzy większości moich sąsiadów, a nawet dla mojej białej, podkreślała tonem pogrożki moja feudalna dozorczyni. Nie chciała Ciocia uznać, że przedwojenne instalacje, także na Zachodzie, posiadały z pewnością nowe jestestwo, co jednak należałoby sprawdzić skoczywszy na chwilę do wiadomych salonów przy ulicy La Fontaine. Tego dotychczas Ciocia uczynić „nie była w stanie”.

— Nędzarze, nędzarze! — wołała powtarzać.

Obecny swój brak pieniędzy, nieustannie przeciwstawiany dawniejszemu posiadaniu tychże, miał dla Cioci znaczenie potrójne, z którym obnosiła się taktownie i

dyskretnie: z jednej strony — żal, bo zawsze milej jest być zamożnym; z drugiej strony — dowód, że w Ludowym Kraju jest źle; z trzeciej — duma z zasobności w okresie istotniejszym niż teraźniejszy, kiedy właśnie jednostki mniej istotne („i wcale nie wiadomo czy liczniejsze”) stanowią klasę posiadającą, na przykład ja. Ja?

— Masz mieszkanie, auto, wszystko własne, interesującą posadę, która to wszystko opłaca. Co ty chcesz? Ubierasz się, jeździsz do Londynu... — mówiła.

Z początku próbowałam się bronić.

— W Londynie deszcz pada — bąkałam. — Samochód stale stoi w garażu, bo nie sposób jeździć po mieście, za duży ruch — ale moje argumenty wypadały odwrotnie, tzn. na Cioci młyn, nawet nieśmiało dorzucane: — A w mieszkaniu rury pękają.

— Przesadzasz — wyrokowała Ciocia nieodmiennie, i miała rację.

Tak więc zaczęło się czekanie na Grajfra, do którego Ciocia odniosła się zrazu solidarnie.

— Wszystko się naprawi. Zobaczysz, Kochanie! — Słowa kołysane przez tony automatyzowały się stopniowo. Ja przywykałam. I Ciocia przywykała. Nawet pocztę nauczyła się odbierać u dozorczyńni, osoby należącej do wymierającej odmiany tego gatunku. Znana z wiedźmowatej koafiury, nieodstępnej miotły i głuchego lamentu, odmiana ta waruje zawsze na progu skrzypiących drzwi karłowatej nory o ciekących murach koloru granitu, zięjącej czosnkiem, w której prócz rozbebeszonego łóża stoi stół, a na nim wczesnoimpresjonistyczna martwa natura: szczątki rozpustnego posiłku z świetlistą gruszką, przesyconym dojrzałością wycinkiem z kolistego sera oraz cienką flaszką ciemnego wina na pierwszym planie.

Dzisiaj list był do mnie. Amerykańska moja przyjaciółka pisała jak zwykle na maszynie, aczkolwiek w rzemiośle tym, jakże sprawne wrażenie robiącym na oko, a zwłaszcza na ucho...

A więc czytam, wyławiając co ciekawsze kawałki:

... a ja uważam, że powinnaś napisać książkę o samotnej kobiecie, wyrzuconej przez okoliczności ze swego środowiska, która brnie przez życie pokonując okoliczności. Co złamie jedną, zaraz druga łapie ją za gardło. („Dlaczego za gardło?” — pomyślałam.) ... a jak tam Cioc8a? Czy urz8dz8łycie si8 już wspólnie w Twoim f8luternym mieszkanku? Nie ma co: w Paryżu naleŹy mieszkać tylko tak, jak Ty. Ach! Ta kokieteryjna fasada, t8 malownic8, kręte schody! Lewy brzeg — to dla am8rykańskich snobów, a Ty żyjesz prawdziwym życi8m ParyŹa. Ja si8 na tym znam... a ścian8 przejmować si8 nie naleŹy. To już taka 8ch ścienna natura, Źe czasem p8kaj8. Tyle łamiesz okoliczno8, ci8gle rozwi8zujesz probl8my. Złam i t8 okoliczno8. Zawołaj majstra i spytaj, co to jest, albo teŹ zapomnij o p8kni8ciu. Musisz wybierać jedno lub drug8, bo w Źyciu stale trzeba dokonywać wyboru. Przestrzegam Ci8 jednak przed zd8n8rowani8m, przed poddawaniem si8. Nie wolno sobie tak błaŹymi sprawami napychać głowy. („Dlaczego głowy?” — pomyślałam.) ... sły8załam, a raczej czytałam w gaz8cie, Źe zaczęły si8 u Was wielkie mrozy. Czy Ty już nareszc8e czytujesz gaz8ty? Pamiętaj, no8 drugie majtki i ow8jaj sobie ciepło szyj8. („Dlaczego szyj8?” — pomyślałam.) Pozdrów ode mnie Cioci8. Jaka ona jest? Czy teŹ taka dzi8lna jak Ty i łami8 okoliczno8ci? Wy wszystkie kob8ety stamt8d macie jaki8 dar samodzi8lno8ci... być moŹe, Źe i u mni8 zajd8 jakie8 zm8any... a teraz bądź dzi8lna, nie poddawaj si8 złym nastrojom. Całuj Ci8,

Thais

Jaka ona jest? Czy teŹ taka dzi8lna? Mój BoŹe! Najajutrz przyniosła mi kwiaty — wysokie, szpiczaste, mięsiste — i układała je dłuŹo w wazonie, choć było ich tylko trzy.

— Nie pytaj mnie, ile kosztowały, bo i tak Ci nie powiem — Źartowała.

Wi8c nie pytałam.

— Kupiłam je w Passy, w kwiaciarni, gdzie jeszcze mnie pamiętają, wyobraź sobie!

Ja nic. Powiedziałam zaledwie: „Dziękuję”.

— Zrelacjonowałam im — ciągnęła Ciocia — że wszystko się zmieniło (oni nie wiedzieli) i że dlatego kupuję tylko trzy.

— No szkoda! Śliczne! Trudno! — rzucałam na oślep. — Następnym razem kupię ja.

— Ale nie można byle gdzie.

— Teraz ludzie najczęściej mają sztuczne kwiaty — mówiłam po prostu po to, żeby coś powiedzieć.

— Ależ, Kochanie! — zawołała Ciocia. — Co ty wygadujesz? Sztuczne kwiaty! Fe! To gorsze od sztucznej biżuterii.

A przecież Ciocia nie była niepewna swego gustu. Więc skąd do niej ta pogarda dla sztucznej biżuterii, sztucznych kwiatów? Ludzie o tzw. dobrym smaku, ale niezupełnie jego pewni, często kryją się za prostotą jak za parawanem: nie lubią liści, asparagusu, ani paproci, które kwiaciarze chętnie dodają do kwiatów, tylko same kwiaty, przy czym patrzą z góry na goździki, gladiole oraz kolor różowy. Suknie lubią wyłącznie nieskomplikowanego kroju, od porcelany zaś wymagają, żeby była biała i wolna od ornamentacji.

Ciocia długo jeszcze ustawiała kwiaty, po czym po-grzebała w walizkach i pobiegła do teatru. Gdy wróciłam nazajutrz z Ośrodka, zastałam ją siedzącą na kanapce, a obok na foteliku — siedzącą panią Jolantę, przedwojenną paryską znajomą. Obydwie śmiały się bardzo, a kwiaty, szpiczaste, mięsiste, trzęsły się lekko w wazonie pod wpływem wibracji.

— Taki był rozsądny, aż mu przyszło na koniec. Ha ha ha! — mówiła pani Jolanta. — Ha ha! — ryczały obie przeciągle.

— Taki rozsądny! — wyrzuciła Ciocia wśród gromkich porykiwań.

— Kto taki? — zapytałam zmarznięta, bez drugich majtek i w gruncie rzeczy mało sprawą zainteresowana.

— Ty nie znałaś, Kochanie — odrzekła Ciocia, i wybuchnęły znów śmiechem. „Kobiety o krótkiej szyi” — pomyślałam pozierając na panią Jolantę — „mają brode jak dziób”.

— Ale zimno! — patrząc na mnie powiedziała pani Jolanta i pokręciła dziobem jak wrona. Miałam widocznie czerwony nos.

Po chwili obydwie prychnęły śmiechem, który to wznosił się swawolnym dyszkantem, to opadał grubym rechotem, by przechodząc z kolei w gwizd, raniący już nie tylko bębenki, ale całą pod wpływem ciepła mięknącą skórę, którą byłam pokryta, przemienić się w dyszkant na nowo. W kuchni, dokąd odniosłam filiżanki po herbacie wypitej przez producentki owej wesołości, wybrzuszona rura drżała żałościwie. Wtem zabrzmiał dzwonek u drzwi i wszystko ucichło, by znów po kilku sekundach zadudnić siarczystym wydechem, który już nie tylko zastraszoną rurę i kosztowne kwiaty, lecz wiele innych sprzętów wprowadził w stan drżenia.

— Ha! — mówił po chwili do uspokojonych nieco dam mąż pani Jolanty. — On pił z nami przy stole i jego brat. Stale mówił „całuję rączki”. Bo była wtedy we Francji moda na rosyjskie imiona. Rok 1954, a może 1953. — Ciocia westchnęła na myśl o roku 1954, a może 1953. — Nie, raczej 1954 — wyjaśniał mąż pani Jolanty. Ciocia westchnęła po raz drugi. Mąż pani Jolanty był człowiekiem majątnym. — Tak dokładnie nie przypominam sobie — mówił. — Toteż córeczka nazywała się Sonia.

Mąż pani Jolanty skończył. Zdawało mi się, że chodzi o córeczkę jakiegoś pana lub jego brata, a tymczasem okazało się z dziobnięć i mrugnięć pani Jolanty, że po prostu przed wojną każdy szanujący się paryski dom publiczny — i moda ta przetrwała do roku 1953 czy też 1954, mimo że domy publiczne zamknięto — musiał

mieć jedną pracownicę, która nazywała się Sonia. „Znow ten Dostojewski!” — pomyślałam sobie, podczas gdy mąż pani Jolanty, odmówiwszy herbaty, sypał dalej uwagami w rodzaju:

— I on poszedł, i powiedział mi. To i ja poszedłem. Ześmy poszli razem. A oni się nas spytali, dlaczego ześmy poszli. Dlaczego zeście poszli? spytali, i td.

Pani Jolanta uśmiechała się nad dziobem. Po jej odejściu z mężem echo pożegnalnych salw śmiechu wkrótce opadło wzdłuż krętych schodów. Ciocia spoważniała i podgrzała ugotowany w południe własnymi rękami barszcz. I ja to potrafię, ale usiłowałam Cioci sprawić przyjemność w tym Paryżu i udawałam, że nie umiem gotować. Sama dbała o linię i jadła skromnie, nie nabierając nigdy drugiej porcji. Chociaż ludzi bez apetytu, takich co to „nie mogą więcej”, zawsze uważałam za podejrzanych pod względem charakteru, dla Cioci czyniłam wyjątek.

Zresztą, Ciocia była dobra. Przy stole bawiła mnie rozmową.

— To tak samo jak z Dorcią! — powiedziała, z zapalem nalewając mi chochlą trzecią porcję barszczu. Uszek, niestety, nie było.

— Z jaką Dorcią? — pytałam zaintrygowana, spóźniewając się, oczywiście, przedwojennego żydowskiego dowcipu.

— Co? Ty nie znasz historii z Dorcią, Kochanie?

— Nie znam — wyrzekłam ze skrucą.

— Nie opowiadałam ci o Dorci? — dziwowała się Ciocia.

— Nie, Ciociu. Nigdy — zapewniałam ją z żalem.

— Niemożliwe, Kochanie. Musiałam ci opowiedzieć. Przypomnij sobie!

— No nie! Nie opowiadała mi Ciocia, ale proszę opowiedzieć! — prosiłam.

— Ech! Skoro ci nie opowiadałam...



Ale dobroć Cioci w całym swym etycznym blasku za-  
jaśniała dopiero nazajutrz o świcie. Po pierwsze, Ciocia  
tej nocy chrapała ciszej, rzekłbyś, lęklawie, ustając od  
czasu do czasu na dobrych kilka minut. Za każdym ra-  
zem gdy milkł nic już dla mnie osobliwego w sobie nie  
zawierający akompaniament nocny, zrywałam się niecie-  
rpliwie jak w wagonie sypialnym, kiedy pociąg zatrzy-  
muje się na stacjach, i czekałam z napięciem dopóty, do-  
póki miarową swą wyłącznością nie przerwał znów nie-  
znośnej ciszy listopadowej nocy. Wtedy osuwałam się na  
poduszki i zapadałam w półsen. Marzyła mi się przysięga  
złożona podczas wojny. W dolinie dał hałny; z jednostaj-  
nym gwizdem, podobnym do wrześnieowych syren, prze-  
dostawał się przez serduszka wycięte w balustradzie bal-  
konu gościnnego domu mojego dziadka i uderzał w szyby,  
za którymi w wątpliwej temperaturze drewnianej izby  
stałam boso ja. Podnosząc dwa palce w górę wypinałam  
okrągły brzuch, pełen przemarzniętych gruli, które dzia-  
dek co dzień wyciągał z nieszczelnej kryjówki lodowatej  
piwnicy. „Ja nigdy nie będę chrapała” — mówiłam wsłu-  
chując się w podobne do Ciocinych dźwięki, wydobywa-  
jące się z sypialni mojej babki. — „Mnie nie wolno. Nig-  
dy. Nigdy. Przenigdy!” — zaklinałam się napinając pod-  
niesione palce i pękaty brzuch. „Wszyscy chrapiają” —  
mówił wiele lat później Artysta kładąc pobłaźliwie szeroką  
swą dłoń na mojej krtani, którą jednocześnie oblewał ru-  
mieniec wstydu: złamałam, bowiem, z pewnością przysię-  
gę, choć wprost nie śmiałabym o to zapytać Artysty.  
Lepiej pewnych rzeczy o sobie nie wiedzieć.

Po drugie, Ciocia miast spać do południa, zerwała  
się jeszcze przed alarmem mojego budzika. Wpadła do  
Pokoju i krzyknęła:

— Są myszy!

— Co? Co? — informowałam się zaspana, wycią-  
gając leniwie prawą (zawsze prawą) nogę spod kołdry.

— Całą noc nie mogłam spać — powiedziała namięt-  
nie, co przeszło bez wrażenia, bo Ciocia bardzo często

wypowiadała nad ranem to właśnie zdanie, by uzasadnić swe przesypianie przedpołudnia. Ale tym razem dodała: — Słyszałam w nocy jakieś szmery, jakieś szur-szur i skrzyp.

Posmutniałam.

— To nic, Ciociu — szepnęłam. — Ja już to wiele razy słyszałam przed Cioci przyjazdem. I też myślałam, że myszy.

Na myszy, zresztą, byłam uwrażliwiona nie tyle przez podhalańską moją wojnę, w której i myszy nie brakło, ile przez Sycylijkę: opowiadała mi ona niejednokrotnie tę samą anegdotę o szwagrze swojej koleżanki, któremu myszy twarz zjadły, podczas gdy on spał. Na próżno tłumaczyłam jej, że były to chyba szczury.

— Nie! Myszy, na pewno myszy — upierała się sprzątaczką, aż jej na koniec uwierzyłam.

— Myszy, na pewno myszy — powtarzała teraz Ciocia. W moim życiu niewiele się zmieniało.

— To nie myszy, Ciociu. Proszę się uspokoić i wrócić do łóżka. Jeszcze nie pora, nawet na mnie — argumentowałam zerkając na fosforyzujące wskazówki budzika, pozostające daleko w tyle za sytuacją.

— A co to jest, jeśli nie myszy? — upierała się Ciocia siadając biodrem na moim tapczanie.

— No, jak już Ciocia koniecznie chce wiedzieć... — powiedziałam, chyba z goryczą. — To sąsiedzi na górze uprawiają miłość, a dom jest stary, skrzypiący, łóżko sąsiadów trzeszczy, podłoga się ugina.

— Że co proszę?

— No tak, Ciociu — mówiłam przekornie. — Takie jest życie.

— Nie. To niemożliwe — obruszyła się Ciocia. — To są myszy. Trzeba poustawiać łapki.

— Nie trzeba, nie trzeba — odrzekłam machając ręką na znak rezygnacji, którą Ciocia widocznie wzięła za rozczarowanie i smutek, skoro zaczęła mnie pocieszać. Szybko schowałam nogę pod kołdrę.

— Nic się nie martw! To nie jest to... co ty myślisz. Mój Boże, młoda jesteś i samotna. (Spuściłam brodę na klatkę piersiową, leżąc na wznak.) Myszy są — mówiła zapalczywie — na pewno myszy. Zapewniam cię, że myszy. Przrzekam ci. Nic innego być nie może, tylko myszy. — Pogłaskała mnie po włosach i mówiła dalej: — A jeśli nie, to się nie martw. Będą myszy. Zobaczysz, że będą. Ja się o to postaram. No, uśmiechnij się!

Byłam wzruszona, tym bardziej że po powrocie z Ośrodka zastałam w mieszkaniu nieomylny znak Cioci oddania: łapkę na myszy ustawioną pod tapczanem.

— Tu będzie dobrze — powiedziała przesuwając łapkę to w lewo, to w prawo tak długo, że nawet na koncert się spóźniła. Dobra, liberalna, pobłażliwa Ciocia, erotycznie nienaganna, posiadająca męża, cnotliwa i niezłomna! A jednak umie się zbliżyć do młodszego pokolenia, „wyrzuconego” — jak sama mawiała — „z siodła”. Rozumie i czuje. Współczuje i czuwa.

Cóż z tego, że łapka pozostała pusta i myszy nadal harcowały po nocach, skoro Ciocia zrobiła, co mogła? Wdzięczny los wynagrodził ją nazajutrz telefonem z Warszawy.

— A jakże tam z moim Miłomalcem? — wdzięczyła się do słuchawki, wypinając ostro biodro w bok. — Tak? Tak?... Fe, Totusiu, to nieładnie... a ja bardzo proszę, bardzo, bardzo!... No no, tylko mi się nie rozpuszczaj... Ha ha ha! Nam przecież nie wypada. My mamy inne zadania... Byłam, owszem! Cóż za fraza! Cóż to za dźwięk! Prawdziwy geniusz. Trochę się spóźniłam. Przepadł Scarlatti, ale to nic... Pięknie ubrane. Mówię ci: bajkowo. A bizuteria! A futra! Zupełnie jak dawniej... No już, już. Przecież my sobie na to nie możemy pozwolić, więc kończmy już... Tak, ściskam. Pa, Totusiu, ściskam... Ściskam, ściskam.

— A kto to jest Totuś? — spytałam po tym ściskaniu, zdjęta ciekawością. — Czy to mąż Cioci?

— Totuś, to jest Totuś! — odrzekła Ciocia z prostotą.

— Aha!

Do końca listopada wiedziałam o Totusiu jedynie, że zna na pamięć całego *Pana Tadeusza* i jest miłośnikiem Krakowa. Z czasem opowiedziała mi Ciocia, że Totuś to, Totuś tamto, z czego wywnioskowałam, że jeśli w ogóle w Polsce jest coś, co bawi, to na pewno Totuś.

— Bardzo kulturalny! Takich ludzi już nie ma — mówiła mi Ciocia, podczas gdy fakt istnienia Totusia jednocześnie przeczył jej słowom. Szliśmy ciemną ulicą na kolację do państwa Wrażeniów. W prawej ręce niosłam kupiony po drodze na targu i zapakowany w gazetę pierścień na patyku. Cieszyłam się, że zaraz po spełnionym obowiązku towarzyskim nareszcie opatrzę ranne spojenie rury, tym samym przesuwając w czasie zapotrzebowanie na tego z Grajfrema, który dotychczas się nie zjawił. Ciocia trzymała mnie serdecznie pod lewe ramię i pytała:

— A co to za ludzie, Kochanie? Czy kulturalni?

— Bardzo — odparłam. — Mają płyty, i książki, i meble. Zresztą, sama Ciocia zobaczy. Jeżdżą po mieszkaniu na flanelowych froterkach, żeby butami nie brukać posadzki. Zupełnie jak Francuzi. A przy tym w kamienicy schody szerokie, i nie takie kręte.

Rzeczywiście, tym razem nie przesadziłam i spoglądałam z przyjemnością na Ciocię: skakała rącho w górę nie trzymając się poręczy, odmłodziła i siejąca plastikowe szpilki, które za nią zbierałam niezgrabnie lewą ręką. Podałam je jej przed drzwiami państwa Wrażeniów.

— Ach! Ach! — zawołała Ciocia lekko zasapana i jęła wtykać szpilki, gdzie popadło na szczycie kruczoczarnej fryzury, a ja przycisnęłam dzwonek.

Mróz, który przyniosłyśmy z ulicy na twarzach, zelał nieco pod wpływem rozpalonego centralnym ogrzewaniem mieszkania i rozjaśnionego towarzyską swobodą oblicza gospodarza. Zbyteczne tu były drugie majtki, które tym razem przezornie włożyłam.

— Dobry wieczór! Moja Ciocia z Polski! — powiedziała wskazując patykiem z pierścieniem na Ciocię, która natychmiast zaczęła wypychać biodro. Szpilki wystawały jej tu i ówdzie.

— Dla pani nasze paryskie mrozy, to pewnie zabawka — rzekł pan Wrażeń zdejmując z Cioci grzecznie popielicowy płaszcz.

— Mój Boże! — roześmiała się Ciocia pobłażliwie. — Dla nas wszystko tutaj jest zabawką.

— Wyobrażam sobie! — stwierdził pan Wrażeń uprzejmie. Pewnej satysfakcji wszakże ukryć nie zdołał, czego, zresztą, domyślił się i dodał: — Ale i emigracyjna droga najeżona jest cierniami. — Następnie wyrwał mi z ręki pakunek. — Dziękuję pani, dziękuję — powiedział. — Doprawdy niepotrzebnie. Nie należało narażać się na wydatki. Serdecznie dziękuję.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale słowa umarły w zarodku, gdy przez drzwi salonu wjechała flanelowymi susami pani Wrażeniowa.

— Patrz, skarbie, co za cacko! — rzekł pan Wrażeń odwijając gazetę.

— Śliczne, śliczne. Dziękujemy bardzo — zawtórowała żona miękkim głosem ciepłych pokoi i codziennie na nowo gotowanych kolacji. — Ależ nie trzeba się było narażać. Pani jest rozrzutna — dodała grożąc mi żartobliwie palcem.

W międzyczasie pan Wrażeń ściągnął ze mnie futro, a ja cała zagrzechotałam bursztynami, które miałam na sobie. Pani Wrażeniowa obracała patyk w rękę; metalowy pierścień lśnił barwami tęczy w kryształowym świetle przedpokoju.

— Piękny przedmiocik — mówiła.

— Ależ to nic, to drobiazg — bąkałam. — Nie ma o czym mówić. Przyda się w domu, może gdzieś... w kuchni.

— Cóż znowu? Nigdy w życiu! — oburzyła się pani

Wrażeniowa. — W kuchni? Coś tak pomysłowego? Tylko w salonie! Zaraz zobaczmy.

Czułam, że Ciocia robi znaczące miny, choć byłam do niej odwrócona plecami. Tymczasem pan Wrażenie ruchem pieczołowitej tymczasowości ułożył pierścień pod lustrem w przedpokoju i zapraszał nas uprzejmym gestem do salonu.

Wkroczyłam przez drzwi do salonu grzechocząc burstynami. Ciocia dreptała obok wypinając biodro i szepotała mi do ucha:

— Co oni sobie pomyślą? Kto słyszał, żeby przychodzić z podarunkiem zapakowanym w gazetę? Jakże tak można, Kochanie?

### III

K o c h a n i e. Tego słowa nie wymawiał nigdy Artysta; dwa lata wcześniej miałam jeszcze imię, którym, zresztą, i on się nie posługiwał a które potem, świeże jeszcze, bez jednego siwego włosa, straciłam, jako że z wiekiem traci się po kolei wszystko. Na wiosnę 1960 roku zostałam wezwana do Poleciała, który, ha ha ha, Polska pięknie się odbudowała, ha ha ha, zakaszlnął i wskazał mi dwie blondynki, jedna ładniejsza od drugiej. Ta druga nazywała się Bożena i przemówiła do mnie po polsku.

— Ja — powiedziała — i moja koleżanka Gniewa.

Obydwie były symetryczne, i między sobą, i same w sobie, wąskie w pasie, szerokie w biodrach, i może dlatego ubrane z cesarska.

— Dziewiętnasty wiek — wyrzekł Poleciał z zadowoleniem i zrobił mi pewien umowny znak, ponieważ zajmowałam się wówczas czymś innym. — Polska pięknie się odbudowała — dodał jeszcze i kaszlnął, a dziewczyny zaczęły chichotać.

— Zabawne, bardzo zabawne — powiedziała Bożena i obydwie znów pochichotały.

Od tego chichotu wszystko się zaczęło. W mojej, już wtedy sześćioletniej praktyce heraldycznej rzadko się zdarzało, żeby ktoś z zewnątrz, kogo interesowała moja dodatkowa, jak ją na początku określał Poleciał, kwali-

fikacja językowa — innymi słowy Polak — kierował się do Ośrodka po informacje. Rok wcześniej zawędrowała do drugiej sali jakaś para — on wysoki, ona wysoka — i wędrowała po kątach wyciągając z szeregów to jeden zakurzony tom, to drugi; rozmawiali po polsku głośnym, typowo bibliotecznym półszepcie.

— Musiałś go poznać w ciągu twoich wszystkich wojażów — powiedział pan.

— Wiesz? Nie przypominam sobie — odrzekła pani.

— Ależ na pewno — ciągnął pan z naciskiem. — Przypomnij sobie: jak twój mąż był drugim sekretarzem w Londynie. Kilka lat przed wojną. Albo, jako pierwszy, w Lizbonie. Rok może 1942. Nie?

Nie. Pani nie mogła sobie przypomnieć. Miała złą pamięć jak każda rasowa kobieta, a teraz obydwójce uśmiechali się tymi uśmiechami przesadnie liberalnymi, podejrzanie tolerancyjnymi, z których wynika, że nie lubią snobów ze swojej sfery a za to przepadają za snobami ze sfer odmiennych. Dlatego też pani powiedziała:

— Jakież te nasze młode Polki na emigracji są dzielne. — Następnie poklepała mnie po ramieniu, wysoka i prosta. — Szarość, szarość tych oczu — odchodząc mówiła tym samym półszepcie do towarzysza. — Zaraz wiadać, że dziewczyna wiele przeszła.

Jeszcze jeden polski incydent miał miejsce wcześniej, krótko po moim zajęciu krzesła we wnęce pod trzecim oknem drugiej sali wydziału dokumentacji sekcji heraldyki. Nazywam incydent polskim jedynie dla uproszczenia: tysięjąca sekretarka, bliska wówczas emerytury, doprowadziła starego pana przed moje biurko. Ten nawet na półszepst się nie zdobył.

— Co to jest końcówka -scy — zapytał po francusku, bo stary ten pan był Francuzem. — Ja znam Zełęski, Zełęska; znam Czaplęski, Czaplęska, Legzęski, Legzęska, Piwęski, Piwęska, ale Załęscy, Czaplęscy, Legzęscy, Piwęscy nie znam — powiedział pan głośno, cały zadyszany. — Czy



to nie jest coś nowego? Może komuniści to wprowadzili?

Wyjaśniłam sprawę, jak umiałam najlepiej — chyba nie najlepiej, bo w zakopiańskiej szkole powszechnej edukacja moja w języku ojczystym skończyła się na pisowni, kaligrafii i Kornelu Makuszyńskim; do gramatyki, ani opisowej, ani nawet normatywnej, dotrzeć nie zdążyłam, a potem uczyłam się już tylko bardziej efektownych gramatyk. Kończyłam wywód nieśmiało formułowanymi zdaniem:

— Trzeba to uważać za mianownik liczby mnogiej, bo nazwiska są przymiotnikami, a przymioty zmieniają się z płcią, z liczbą. Nie sędzę, by z ustrojem politycznym mogły się zmieniać.

Całkiem szczerze tak myślałam, ale to było dawno: nie miałam wówczas kontaktu z rodzinnym krajem.

— Za list z zagranicy zsyłano wtedy na Sybir — mówiła wiele lat później Ciocia.

— *Incroyable* — zawołał stary pan. — Mam już siedemdziesiąt lat, a tego nie wiedziałem. I żonę mam Polkę!

— A jednak tak jest — mówiłam, już pewniejsza siebie.

— To znaczy, że jak pan i pani są razem, wtedy jest -scy? — upewniał się.

— Nie zawsze — odpowiedziałem. — Muszą być małżeństwem.

— Ach tak? To znaczy *Monsieur et Madame* po prostu — sprawdzał.

— Po prostu — potwierdziłam.

— *Incroyable!* — rzucił znowu. Po chwili namysłu dodał: — A dlaczego?

— Bo duch — powiedziałam tajemniczo, wspominając jeden marnutki kurs lingwistyki historycznej, nie-modny już w strukturalistycznych latach pięćdziesiątych, kiedy nań uczyłam. — Duch języka. Wie pan?

— A kto to jest? — zapytał stary pan zupełnie tak samo, jak jeden z amerykańskich brodaczy, językoznaw-

ców *in spe*, którzy wizytowali, ziewając, nasze wykłady. — Bzdura, kompletna bzdura — mówił brodacze wychodząc z auli. — Duch języka! *Who is he?* Nonsens. — I miał podobno rację.

Tak więc skończyły się pierwsze odwiedziny w Ośrodku związane z historią polskiej cywilizacji, a raczej drugie licząc od tyłu. A że w układzie stosunków międzyludzkich bez trzeciej części całości obejść się nigdy nie może, stały teraz przede mną Bożena i Gniewa, wąskie w pasie, szerokie w biodrach, kręte i jasne. Wkrótce okazało się, że przyszły do Ośrodka w poszukiwaniu antenatów z Wielkiej Emigracji, oczywiście z herbami, które chciały sobie odtworzyć na pierścionkach. Powinnam się była domyślić na podstawie:

— ... mój praszczur pod Stoczkiem...

— ... a mój w Kole był za brata...

— ... mój z Kołyską był na ty...

— ... mój kamizelkę Czyńskiemu pożyczył...

że przyjechały niedawno z kraju, w którym Stoczek się stoczył, proletariatus jest za brata, z Kołyską jest się na wy, a kamizelek w ogóle się nie nosi, ale kontakt mój z Krajem dopiero się był zaczął a, jako niefortunny, rychło się skończył. Bo któż by zniósł na dłuższą metę zadawane od samego rana:

— ... *jaka jest różnica między sztuką abstrakcyjną a formalistyczną?*...

— ... *czy gra na fortepianie jest sztuką twórczą, czy odtwórczą?*...

— ... *czemu ty mnie nie kochasz?*...

Antenatów się nie odnalazło przypuszczalnie dlatego, że byłam początkująca w wieku dziewiętnastym, ale sprzedałam Polkom po jednym herbie wygasłych już w osiemnastym pewnych drobnoszlacheckich rodów gaskońskich, których późniejszych śladów daremnie szukał wysłany specjalnie w Pireneje jeden z współpracowników Ośrodka. Nałykał się górskiego powietrza i wrócił w dobrym nastroju.

— Nie ma zatem żadnego ryzyka — namawiałam.

Bożena stwierdziwszy, że herby są dostatecznie zabawne, poprosiła rezolutnie o kredki i odrysowała obydwie tarcze na kratkowanym papierze, po czym nawiązała się między rodaczkami a mną coś w rodzaju znajomości.

— A może by nas tak pani po Luwrze oprowadziła? — zasugerowała Gniewa.

W następne sobotnie przedpołudnie, trochę na mój gust zbyt wczesne, podprowadzając Bożenę i Gniewę pod słynny sklep, recytowałam:

— Damska bielizna? Przybory kosmetyczne? Aparaty elektryczne?

— Ależ nam o muzeum chodzi! — zawołały na dwa, bardzo do siebie podobne głosy.

Jakże niesłusznie pomawiała później Ciocia wszystkie młodsze pokolenia polskie o brak zainteresowania sprawami kulturalnymi. Trzeba było widzieć nas we trójkę — ja nieco starsza ale nie dość na kulturę — buszujące po rozłożystym gmachu, pędzące przez sale w kierunku antychronologicznym.

— To zabawne — pisnęła Gniewa pokazując palcem szary pejzaż Corot'a. — Trochę oportunistyczne — dodała nieoczekiwanie.

— A to jakie zabawne! — podjęła Bożena racząc nas ciemnym wizerunkiem jakiegoś pogrzebu.

— Courbet, tak, słyszałam — odpowiedziała Gniewa.

Pod koniec biegłyśmy niemal truchtem.

— Zabawne — powiedziała jeszcze Bożena nie wiedząc, że stoi przed męczeństwem św. Sebastiana, bo wpatrywała się właściwie w Gniewę, która właśnie odczytywała z przeciwnych ścian:

— Zurbaran. Rzeczywiście zabawne tak się nazywać. Zresztą, znane jest malarstwo hiszpańskie.

I tak się zaczął mój właściwy kontakt z krajem rodzinnym, bo przecież wypowiedanych od samego rana:

— ... *ja całymimi godzinami przesiaduję w Luwrze...*

— ... *chciałem być artystą malarzem, a zostałem artystą fotografikiem...*

— ... *ty myślisz o czymś innym...*  
nie podobna uważać za kontakt.

Po lekkim śniadaniu, na które je zaprosiłam, Bożena i Gniewa wepchnęły mnie do dzielnicy, która w listach Thais figurowała jako *niśgodna subtelnych Twoich uczuć*, i zaprowadziły do jednego ze stolików ustawionych na chodniku przed kawiarnią GOOD LUCK. Nie znałam jej ani z doświadczenia, ani nawet z nazwy.

— No — rzekła Gniewa, lecz nie usiadła.

— No — odparł jakiś fircyk i zaraz sprężystym skokiem drobnego tułowia znalazł się przy nas.

— No — rzekła Gniewa ponownie.

— No — docierał fircyk.

Bożena tymczasem pokazywała coś na swoim zegarku.

— Tak tak — zawołała Gniewa. — Fircyk, przedstaw pani towarzyszo. My się ulatniamy.

Bożena szepnęła sprężystemu coś na ucho, po czym obie obcałowały mi głowę od burch włosów aż po nie zagojoną jeszcze szramkę na karku, otrzymaną w styczniowych zapasach z oblodzonymi szczytami Weissflühjoch, i ulotniły się do tego stopnia, że nigdy w życiu nie zobaczyłam ich więcej.

Zwróciłam uwagę na jeden profil, szczególnie ostry i dotkliwie wydłużony, należący do przyszłego Futura, o którym nie wiedziałam jeszcze nic. Za chwilę miałam już wiedzieć wszystko, gdy na zalotną prezentację Fircyka:

— Futur, przedstaw się. Ta pani jest emigrantką w Paryżu.

— No, to co? — warknął jedynie.

— To łatwizna — stwierdził dodatkowo jego krzywiący się sąsiad.

Podczas gdy rozglądałam się po tarasie i z trudem wyszukiwałam przy innych stolikach białe twarze, Fircyk, by zrobić mi miejsce, zdjął z wolnego krzesła plik Nikiforów, które

— wie pani, ja sprzedaję za pół darmo. Może panią to interesuje?

Usiadłam. Mój sąsiad o obliczu kułaka z plakatów, które, wbrew pozorom, pamiętałam jeszcze, palił papierosa i za każdym razem, gdy go wyjmował spod pachy, pykał głośno, jak gdyby był zawodowym podoficerem a papieros fajką. To było półinteligentnie. Potem pluł tytoniem. I to też było półinteligentnie.

— Pani mieszka w Paryżu? — zagadnął siwiejący pan z przeciwnej strony stolika, jedyny prócz Fircyka, który wstał, gdy podeszłam. — Jak ja pani zazdroszcze! — mówił z cichym żalem. — Od 1945, jak mnie wypuścili z obozu, mieszkalem tu. Dwanaście lat. Niech pani zważy, dwanaście lat — recytował płaczliwie. — Ja tak kocham Paryż!

— A od trzech lat gdzie pan mieszka? — zapytał huśtający się na krześle jakiś mój rówieśnik. Drobną jego twarz odbijała w sensie nad wyraz zasadniczym od spuchniętego policzka.

— Pod Bejrutem — odparł, wzdychając, siwiejący pan.

— Ależ dlaczego? — spytał huśtający się, którego zwano Maciem.

— No, bo tam chłodniej, aniżeli w samym Bejrucie — powiedział siwiejący pan z rezygnacją.

— A ja nigdy nie będę w Paryżu — wtrącił Futur, nosem sięgając niemal pustego kieliszka na stoliku. — A to jest Glec — wskazał na swego krzywiącego twarz sąsiada, którego, zdaje się, uważał za przyjaciela.

Kobiet prócz mnie przy stoliku nie było.

— I Artysta — dodał sumienny Fircyk przedstawiając mi siedzącego gdzieś z boku, ostatniego już chyba towarzysza, który skinął głową przerywając na chwilę dłubanie w zębach drzazgami urywanymi z brzegów pudełka od zapalek. — On albo nic nie mówi — komentował Fircyk — albo ciurkiem. Bo on jest spod znaku Koziorożca. Oni wszyscy tacy.

— Trzeba było go znać kilka lat temu w Warszawie — przemówił Futur. — Cienki, mroczny, stale pijany, 60 centymetrów w pasie, cały czarny od swetra i uduchowienia. A teraz?

Artysta miał nieco nalane oblicze, guziki koszuli odpruwały mu się na żołądku. Rzucił oskubane pudełko zapalek na stół i sięgnął do kieszeni po wycinek z gazety.

— Nie o to chodzi, bo tak wyglądają artyści — rzekł pokazując co bliższym sąsiadom podobiznę tłustej twarzy Dawida Ojstracha.

— Bzdura — odpowiedział Futur zerkając na fotografię.

— Wszystko bzdura — zaintonował Glec z akcentem na drugim wyrazie.

— Bzdura, bzdura — zawołało chórem całe towarzystwo oprócz Artysty, który wzywał właśnie kelnera, i oprócz pana spod Bejrutu, który, zresztą, szybko się pożegnał i odszedł.

Po kilku sekundach jego krzesło zostało porwane przez Afrykańczyka z sąsiedniego stolika.

— Co to za jeden? — zapytał Glec obserwując odchodzącego rodaka.

— A cholera wie? — odparł Futur. — Przysiadł się.

— Nie ma sensu — podjął Glec.

— Nie ma sensu, nie ma sensu — zawtórował Macio.

— To jest dno — dorzucił ktoś.

— Dno, dno, dno — odpowiedział chór.

— Denko — sugerował ktoś, ale nie chwyciło.

Kilka czarnych lic uniosło na nas wzrok, ale przy naszym stoliku zapanowało milczenie, przerywane rychło przez

— Bązur mossie!

Odwróciłam głowę. Jakiś duży i gruby w okularach kłaniał się, potem najbliższym czarnym wyrwał miniaturowe na swoim tle krzeselko i usiadł obok Artysty.

Ten o coś cicho go zapytał, po czym kelnerowi kazał stawiać następną kolejkę calvadosu, a mój nierozmowny sąsiad pykał.

— Nic nie ma sensu — zawołało kilka głosów.

— ... a tam nad Sekwaną — wyjaśniał tymczasem Duży i Gruby Artyście — „Larousse” krzyczy, „Larousse”, „Larousse”. To znaczy, sam rozumiesz, ruda. A Stratny, wyobraź sobie, powiada, że to Ruska, więc niech się topi. Ja, rozumiesz ty, zna się trochę języki, powiadam, że gówno prawda. Ale on, skurwysyn, swoje, a ruda tymczasem się utopiła. Rany Boskie, jak mówią marksści.

— Niemożliwe — wtrącił przysłuchujący się opowieści Macio i począł gwałtowniej się huścić.

— Właśnie że tak mówią — upierał się Duży i Gruby, a na znak, że ma rację, poprawił okulary.

Na naszym stoliku stały pełne kieliszki, a przy sąsiednim czarne twarze wymieniły się na białe studentek z Instytutu Języków Wschodnich. Ich rozmowa, złożona z fragmentów rosyjskich zdań, docierała do nas z przekąsem. Zastanawiałam się, czy inni ludzie w kawiarni myślą, że one też... ale rychło brak rosyjskiego odpowiednika słowa „pies” wpędził studentki w język miejscowy. Krótco potem była już mowa o poziomkach Bergmana, i te rozwiały wszelkie wątpliwości.

Duży i Gruby, zupełnie niepotrzebnie i pewnie tylko dlatego, że Duży i Gruby, odwraca ku studentkom swe krótkowzroczne okulary i zaczyna tak:

— Sobaka, wu sawe, se tę szię.

Tamte odfruwają z tarasu, a na naszym stoliku pojawia się cała flaszka calvadosu.

— No co będzie? — podjudza mnie Fircyk.

— Z czym? — pytam naiwnie.

— No z tym Nikiforem — odpowiada Fircyk i zaczyna mi przesuwając przed oczyma kolorowe katedry, ulice, i domki, i świątki. — Tanio sprzedają.

— Uspokój się, Fircyk — rzuca Macio przez stół.

— A pani spod jakiego znaku? — zwraca się Fircyk znów do mnie.

— Co znaczy? — mówię.

— Ona nie rozumie. Nie rozumie — woła z wykrzywieniem Glec. — Ha ha! Przecież to bez sensu — mówi pod moim adresem. — Czy pani nie rozumie, że wszystko jest bez sensu?

Nie rozumiałam, a na usprawiedliwienie tego stanu podałam:

— Zbyt wiele calvadosu wypiałam. To dlatego.

Glec w śmiech.

— Przecież właśnie po wielkim picu normalni ludzie więcej rozumieją. Pani jest anormalna.

— To na pewno — zgodziłam się i na dowód, że prawdę mówię postanowiłam nie odzywać się przez dłuższy czas, mimo że Fircyk znów zadał mi pytanie:

— Pod jakim znakiem pani się urodziła?

— Pod złym — odpowiedział Futur. — Tak, jak Glec: w Krakowie.

Więc odezwałam się mimo wszystko.

— Dlaczego w Krakowie?

— Bo pani tak mówi po polsku — wyjaśnił Futur.

Ucieszyłam się, zwłaszcza że Olgierd, który był z Wieliczki, pomawiał mnie czasem o zakopiańskie naleciałości. „Halny” — mówił. — „Jakież to dziwne słowo i jak ty je dziwnie wymawiasz”, ale były to przypuszczalnie naleciałości szwajcarskie i chodziło najprawdopodobniej o *Föbn*.

— Ty, gruby — zagadnął tymczasem Macio. — Skoro tak wszystko wiesz, powiedz, co się stało z Otkami. Od miesięcy ich nie widać.

— On miał z nią skrobankę — odparł Duży i Gruby wesoło. — Musieli wyjechać. Dotarli aż do Texasu i otworzyli tam polską restaurację o francuskiej nazwie. Niestety, z błędem gramatycznym.

Pokiwał głową. Potem przez chwilę silił się na przed-



wojenność względem mnie, ale przy stoliku było coraz głośniejsze, nie słyszałam jego słów.

— Ząb mądrości — rozległo się po drugiej stronie stolika.

— Wyrwać — radził ktoś z boku.

Macio miał kwaśną minę na małej twarzy. Poruszył się niespokojnie.

— A ja dawniej myślałam, że żyje się od jednej plomby do drugiej. Teraz z kolei mój syn tak myśli — powiedział z żalem. Zaraz potem zwrócił się do mnie: — Wy nie wiecie, jak to jest, na bezludziu, na bezchlebiu, jak rzekł poeta — po czym wpadł na dłuższą chwilę w ospałą zadumę, podczas gdy mnie przeszło przez myśl, że jest mi tu dobrze. Ci ludzie bez premedytacji i bez przymiotników sprawiali, że coraz dłużej nie było mnie w domu. Kwiaty niech więdną! Telefon niech sobie dzwoni: podzwoni i przestanie.

— Bzdura, wszystko bzdura — huczało wokół mnie.

Flaszka calvadosu opróżniała się szybko.

— Chluśnięm, bo uśnięm — ryknął kułak z plakatów. Zapykał raz i drugi, ale fragmenty tytoniu, przylepione do dolnej wargi, już tam pozostały.

Zapaliłam i ja papierosa, następnie połknęłam zawartość kieliszka stojącego przede mną.

— A może pani kupi miedzianą miskę — zagadnął mnie Duży i Gruby. — Mam na sprzedaż. Zaraz skoczę. To robi mój przyjaciel, największy metaloplastyk w Polsce.

I tak do kolekcji zdziwień przybyło mi jeszcze jedno. Metaloplastyk! Ileż wieków trzeba było czekać, aby język giętki wyraził wszystko, co pomyśli głowa.

— ... *fotografika wysoko w Polsce stoi*... — zadzwoniło mi w lewym uchu.

— ... *jestem zakochany, i to jest cały klaps*...

— ... *a może klops*... — dopowiedziałam wówczas.

Teraz już tylko piłam.

— Trzaśniem, bo zaśniem — zachęcał mnie pykający sąsiad uderzając swoim kieliszkiem o mój.

— Widzi pani — odezwał się Macio — *varios modos bibendi* miewają Polaki.

Dosłyszałam nutę ironii w jego głosie, niesłuszną, bo przecież poniekąd, i w innym naświetleniu, znałam tę sprawę, którą Thais określała jako obyczajową, broń Boże nie psychologiczną. Dzięki zawodowemu przygotowaniu mojej amerykańskiej przyjaciółki, pedagogicznie chętnej, wgłębiłam się już dawniej w morfologię pociągu kieliszka do kieliszka. Teraz zaczynałam się wgłębiać w polski wariant tej wiedzy; eksperyment wystawił mnie na próbę mitologii knajpy, którą udostępniały mi również padające co chwilę przez stolik okrzyki:

— Trzymać fason!

— W dechę jest!

— Nie wyjść z formy!

— Na sto dwa!

— Mocna rzecz!

— Wszystko bez sensu!

W celu udowodnienia tych i innych hipotez, które i bez dowodów wydawały mi się sprawdzalne, Futur zain-tonował:

— Stalin, nasza sława bojewaja...

— Stalin, naszej junosti polot — pociągnęła reszta.

Śpiewali wszyscy, nawet Artysta. Trzeba wiedzieć, że gdy Polacy się upiją, śpiewają nieodmiennie i niegramatycznie rosyjskie piosenki, a to dlatego, że Polacy mają mentalność, Rosjanie zaś monumentalność.

— Ech, sobaka — rzucił Duży i Gruby wykrztuszając się z butnej pieśni, której tony szybko potem wpadły do kieliszków.

Szkoda — pomyślałam — że te mówiące po rosyjsku panienki tak prędko odeszły. Odeszłam i ja, zapłaciwszy za calvados, nie tylko swój. Za mną jak cień wysunął się Artysta i szedł w odległości kilku kroków. Szedł, szedł, szedł, z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem utkwionym

w czubki butów, nieco rozłożysty w biodrach szedł, i szedł, i szedł. Należał do typu idących, przy czym sta-  
wiał na samej krawędzi chodnika nogę przed nogą.

— No, to jeśli pan jest artystą... — zagaiłam, gdy  
zrównał krok z moim. Nie bardzo wiedziałam, jak zamk-  
nać kompleksowy rytm warunkowego zdania.

— Ja nie taki artysta, co się rzuca — wyręczył mnie.  
— Ja gram na puzonie. Na puzonie — powtórzył melo-  
dyjnie. — I nie znoszę takich, co się rzucają.

— Pan się przyjaźni z Dużym i Grubym? — zapy-  
tałam w celu podtrzymania chwiejnej, jak dotychczas,  
rozmowy.

— Może nie przyjaźni, ale ostatecznie... — odparł  
z zastanowieniem. — Zresztą, nie o to chodzi. On wie-  
wiórkom w Ogrodzie Luksemburskim orzeszki podkra-  
da. Na obiedzie z hiszpańskim gitarzystą, który nas zapro-  
sił do taniej knajpy — prawil Artysta — jedliśmy kurę w  
potrawce. A potem na talerzu Dużego i Grubego nie było  
ani jednej kości; wszystkie niepostrzeżenie schrupał do  
ostatniej chrząstki. Kelnerka dostała wypieków. Hiszpan  
się śmiał. Głodem przymierać, a pobyt przedłużać. Takie  
oto, w braku lepszych dewiz, są dewizy naszych Paryżan.

Rozmawialiśmy żywo, już nie pamiętam o czym, sko-  
ro przez cały czas chodziło o co innego. Automatyzmem  
wiedzioną, znalazłam się z Artystą w mojej dzielnicy,  
przed wystawą chirurgiczno-ortopedycznego sklepu, gdzie  
pośród odlewów brzuchów, kawałków rąk i kobiecych  
piersi, noga z płynącymi po szarej powierzchni żylaka-  
mi, pomalowanymi na czerwono, przyciągnęła uwagę  
Artysty.

— A może byśmy poszli do kina — zasugerował  
rzucając mi do szyby nikły uśmiech.

... kino:

*Proces*, osnuty na tle powieści Kafki, nie wzniósł się  
ponad intelektualizm audio-wizualny.

— ... *piękne efekty fotograficzne*... — usłyszałam w swoim czasie, będąc na podobnym filmie.

— ... *gra światła, kompozycja, użycie bębna*...

— ... *oj zaduszę, zaduszę*... — świszczą w ciemności namiętny szept.

Czyż nie lepiej było dawniej, kiedy rzetelni półinteligenci wszystkie wrażenia z oglądanego filmu streszczali w magicznej formułce: moment psychologiczny? Pamiętam to rozkoszne określenie, jakże odległe od dzisiejszych kinematograficznych upojeń. Spójrz, proszę, na te spojrzenia rzucane wokół lękliwie, pełne głębi; zauważ, proszę, sposób uchwycenia jej! Z okrzykiem, jednym, drugim, potem trzecim, i z echem, co jest jeszcze ważniejsze, echo bowiem jest wyrazem filozofii współczesnej, dlatego że niby na echo nie ma echa i człowiek musi sam... a tu tymczasem jest osaczenie, a jakże! — i to tak sztuczne, że przez cały czas *Procesu* zastanawiałam się, dlaczego ten ślicznie zbudowany Amerykanin nie rozpycha tłumy podstawionych mu staruszków-płaczków, dlaczego nie da po nieudolnym pysku jednemu z drugim, tylko furt się dziwi i cierpi. Artysta na szczęście milczał, ja zaś tłumaczyłam mu podtytuły na język polski.

... *kawiarnia*:

— Coś okropnego, ten film — wybuchnął, gdy się dzieliśmy już przy stoliku. — Rzemieślnictwo umiera. Każde rzemiosło staje się artystyczno-intelektualnym zajęciem.

— Może dlatego właśnie — powiedziałam — w Polsce jest się fotografikiem, metaloplastykiem, a nie poczytnym fotografem czy snycerzem.

— Może — odparł Artysta.

Tymczasem oskubane pudełko zapalek leży na blacie stolika.

— Nie o to chodzi — powiada Artysta.

Chodziło zupełnie o co innego. Paliliśmy papierosy i piliśmy kawę, podczas gdy Artysta opowiadał mi o swym

przyjacielu Platonie z Nieświeża, który nigdy nie był w Paryżu.

— Zachciało mu się raz śpiewać, no i zaśpiewał, ale nie o to chodzi — mówił Artysta. — Mnie się nie podoba ta cała bzdura, i że nie ma sensu, bo dno. Przecież nie o to chodzi.

— A o co? — zdecydowałam się wreszcie zapytać, pełna podziwu dla ilości sytuacji ludzkich, jakie Artysta obdarza szacunkiem. Podejrzewałam nawet, że zgola poczucie nieskończoności wchodzi w zakres jego ulubionego frazesu.

Nie odpowiedział.

*... i spacer:*

Odcinek ulicy Réaumur, który zaczyna się w pobliżu Wyższej Szkoły Rzemieślniczej a kończy na merostwie trzeciego obwodu, by potem bieć, już brzydko i nędznie, w nieznane mi części handlowego Paryża, wzbudził w Artyście, po raz pierwszy w mojej obecności ujawniony, jednoznaczny entuzjazm. Rząd starych, czyściutkich fasadek, wąskich i eleganckich w proporcjach okien i rynien, splukanych pastelowymi barwami, poplamionych co najwyżej padającymi nań cieniami bujnych platanów, ukazał się nam w świetle zachodzącego już za dachy słońca.

— Jakież piękny jest Paryż! — szepnął Artysta w zachwycie i machinalnie wziął mnie pod ramię.

— To się panu podoba? — zdumiałam się mierząc wzrokiem tak często przeze mnie oglądany i nigdy nie zauważony front kamienic. Popierałam przecież nawet w jednej z nich niedawno uruchomioną pralnię chemiczną, mimo że zgubiono mi tam wszystkie guziki od jednej sukni i całą drugą suknię. — Tak blisko mojego domu? W tej obskurnej dzielnicy?

— Tak, to. Właśnie to — zapalał się, nadal szepem, Artysta. — Pani pewnie zbyt często przesiaduje w GOOD LUCK, gdzie sam byłem dziś po raz pierwszy — dodał normalnym już głosem — i dlatego nie zauważa

pani tego, co naprawdę w Paryżu jest piękne. Tego co kameralne, prowincjonalne. Jakaś klamka, jakieś podwórko, okuta brama lub padający cień, złote jakieś.

Staliśmy na chodniku wpatrzenni w jeden i ten sam fragment, odbijający kolorowo od bladego lazuru paryskiego nieba, o którym wiele się mówi a mało myśli. Cały ten epizod był tak słoneczny, tak słonecznie bezradny, że odurzona cukierkowym nadmiarem szczęścia, nie umiałam nawet wyprowadzić Artysty z błędu co do mojego bywania w GOOD LUCK. Powiedziałam jedynie:

— Jak to dobrze, że pan dziś zaszedł do GOOD LUCK — i przycisnęłam się do jego ramienia. Artysta ruszył pociągając mnie ze sobą. — Mieszkam o kilka ulic stąd — dodałam.

Jak gdyby nie dosłyszał mych bezwstydných słów, Artysta przemówił znów w duchu turystycznym:

— Niech pani spojrz na ten sztyd.

Nad wejściem do wędliniarni, którą także popierałam, ponieważ w odróżnieniu od innych w dzielnicy była otwarta w poniedziałki, wisiał rysunek uśmiechniętej świni zajądającej się kiełbasą.

— Jakież to niesmaczne! Uświęcenie kanibalizmu — ciągnął Artysta. — Czy pani wie, że tylko najpodlejsze gatunki zwierząt, jakieś ryby, zdaje się, że szczupaki, zjadają swoje małe, i to tylko przez pomyłkę, tylko wtedy, kiedy jakieś młode wśród innych gatunków się zaplącze? A tu świnia jedząca kiełbasę, i z jakim poczuciem zadowolenia! Ohydne! Z jakim smakiem! Straszne.

— Nie o to chodzi — miałam ochotę powiedzieć, ale zdobyłam się tylko na: — Ma pan rację, straszne — i przyrzekłam sobie, że gdy już będzie po wszystkim, będę, przynajmniej przez jakiś czas, skrupulatnie omijała otwartą w poniedziałki wędliniarnię.

— Prywatne mieszkanie! — mówił z lubością Artysta stawiając nogę przed nogą wzdłuż długiego korytarza. Stojąc na progu pierwszej klitki wciągał powietrze

w nozdrza. — Zamieszkane — stwierdził. — Pachnie domem ten pokój.

— Pokój — powtórzyłam w roztargnieniu. — A wie pan, że sąsiedni pokój jest jeszcze mniejszy?

— To nic — odparł Artysta zatrzymując się w drzwiach między pokojami. — Wydaje się większy, może dlatego, że tapczan jest duży, a tu — wskazał brodą pierwsze pomieszczenie — stoi ta wąska kanapka.

— ... czy nie samotnie pani na tym wielkim tapczanie?... — wynurzyło się z pamięci.

— ... on przecież jest na dwie osoby... — usłyszałam aluzję popartą nudnym pocałunkiem.

— ... czemu jesteś taka chłodna?...

— Tak, rzeczywiście pokój. Pokój — odrzekłam teraz Artyście, i tak już zostało. Pokój i Pokój, nieco mniejszy od Pokoiku.

— Oni jednak nie są uwrażliwieni — powiedział przechadzając się z trudem po wolnej powierzchni zagraconego mieszkanka, a ja za nim. Dochodził właśnie do kuchennych drzwi. — Tak się narzeka, że wulgarność w Kraju, a czy ktoś sobie zadał choć trochę trudu, żeby zauważyć rury, które zamiast biec po wierzchu, powinny być wbudowane w ściany i niewidoczne.

Z podziwem słuchałam pełnego, opatrzonego nadrzędnością zdania Artysty, którego język wydawał mi się do tychczas nadmiernie, jak na moje doświadczenie, fragmentaryczny, zbyt posiekany zastrzeżeniami jednoczesnej medytacji. Artysta dalek prawil:

— Przecież i tak za wiele się widzi. Francja pod względem rur jest bezwstydną — zawyrokował na koniec i przeszedł do Pokoiku.

— Czy pan lubi szkocką *whisky*? — spytałam gościnnie, wskazując Artyście fotelik.

Lubił, potem usiadł. Na stoliku rozłożyłam skomplikowany sprzęt, nieunikniony przy serwowaniu popularnego w Paryżu trunku, który zakupiłam w samolocie z Zurichu. Zbyteczne wysiłki, bo Artysta pił *whisky* bez

wody mineralnej i bez lodu, który wydobyłam z lodówki i spreparowałam pod kranem, rozchlapując wodę na kamienną posadzkę kuchenną, z wątpliwą dokładnością startą przez Sycylijkę.

— Co za ładna miska — powiedział po pierwszym łyku Artysta, gdy po zmienieniu wody w wazonie (już drugi raz zachlapała się kuchenna posadzka) przysiadłam na stołku, on zaś wpatrzył się w jedyny mój szlachetny kruszec. — Estetycznie wykonane — dorzucił, gdy podałam mu miskę do obejrzenia. — Lubię takie secesyjne monogramy — uśmiechnął się i jednym haustem wypróżnił szklankę. — To o tyle prostsze, właśnie takie wygibasy — ciągnął Artysta — a przy tym ładniejsze. Bo, wie pani, Fanatejko, to u nas wielki malarz, trzykrotny profesor Akademii. Platon mi opowiadał. Ten Fanatejko wymalował Lenina, bo co miał zrobić? Ale Lenina z fioletowym krawatem! Cały nasz socrealizm był taki. Później, mam na myśli po Październiku, ten krawat posłużył mu za całą martyrologię. Chciał, żeby ten krawat... A przecież nie o to chodzi. Niech by sobie krawat był czerwony, jak Pan Bóg przykazał. Wcale nie o to chodzi — mówił Artysta spokojnie i wzruszył ramionami.

Nie rozumiałam nie tylko, że nie o to chodzi, ale że w ogóle o coś chodzi. Zaczynałam nawet co do Artysty hodować pewne podejrzenia, bo ludzie — jak mi się w danej chwili wydawało — którym zawsze chodzi o co innego, niż to, o czym przypadkowo jest mowa, niesłusznie bywają posądzani o inteligencję, wrażliwość, i wykształcenie, i wszystkie te cechy należące do dobrego tonu; mogą najczęściej zmistyfikować, czasem nawet pogniebić rozmówcę, nie powiedziawszy dokładnie nic. Może ten słowny wybieg, który Artysta z ust nie schodził a który i u innych moich rówieśników zauważałam coraz częściej, posłużył Cioci trzy lata później do sformułowania jeszcze jednego, zresztą eliptycznego, oskarżenia pod adresem całej mojej generacji.

— To wasze mętniactwo — powiedziała.



Zawiesiłam jednak wtedy osąd zjawiska na później, tak jak szycie nowych firanek, które rozpoczęłam nie dawniej jak tydzień przedtem. Na oknach wisiały, i nadal przez pewien czas wisieć miały, stare, podarte, spełnione.

Oskubane pudełko zapalek znalazło się obok napełnionej ponownie i ponownie wypróżnionej szklanki. Artysta wstał i prowincjonalnym ruchem ściągnął marynarkę, przy czym jeden guzik oderwał się od koszuli i spadł na podłogę z rzecznym stukiem. Ku mojemu zdziwieniu szelek pod marynarką Artysty nie było. Nie wiem, w którym momencie jego nylon dotknął mojego nylonu i spotkaliśmy się w krtani, gdzieś po drodze między tchawicą a przełykiem. Ktoś się potknął, ktoś kogoś potrącił, ktoś komuś nadepnął na nogę, ktoś szepnął przepraszam, a potem znów deptał i trącał. Jedna pończocha przeleciała łukiem przez Pokój, w którym nie wiadomo kiedy się znaleźliśmy, i wylądowała daleko poza wszystkim. Trzeba było koniecznie ją podnieść, położyć na właściwe zdjętym z nóg pończochom miejsce, bo gdy przedmioty codziennego użytku nie tam przebywają, gdzie trzeba, gdy ogrzewanie nie jest wyłączone na noc, a światło zostało nie zgaszzone w korytarzu, nie sposób należycie przeżywać urzeczywistniającego się szczęścia. Nie zdążyłam jednak i musiałam się uwijać i kręcić, krzątać i licytować wokół samej sprawy, potrącać, deptać, potem przepraszając.

Zepsuła mi wszystko ta pończocha. Gdy wróciłam z łazienki, gdzie przed lustrem egzaminowałam siebie z wyglądu, jaki charakteryzował moją twarz w strategicznych momentach, i z przykrością stwierdziłam na policzku obecność krostki, z takich co to w pewnych okresach, względnie przed pewnymi okresami wyskakują — to jedna, to dwie, czasem nawet trzy — Artysta oddychał już miarowo, a sądząc po geście, z jakim przez sen mnie przygarnął, krostki może wcale nie zauważył. Tej nocy śniła mi się sardynka przebierająca żywo srebrnym ogon-

kiem pośród glonów i roślinek morskich; z puszki marki Philippe Canaud w najlepsze wyjadała swe zawędzone w oliwie na śmierć koleżanki.

Rano, znów przed lustrem w łazience, stwierdzałam, że brodę mam zdartą na strzępy, jak to zawsze za pierwszym razem. Przy tej refleksji jedna łza puściła mi się z lewego oka na przełaj przez policzek. Prędko rzuciłam pończochę do koszyka z brudami, gdzie już uprzednio spoczęła druga. Było dobrze. Więc niech sobie kąpią na zielono do wanny skarpetki Krajowego wyrobu wyprane przez Artystę. Biedna Ojczyzna! Zresztą, co mi tam Ojczyzna, skoro rzeka czułości, wezbrana falami wody, którą Artysta zachlapał całą łazienkę, płynęła do morza ukojeń po tę jedną słoną łzę? Z tej bowiem zachlapaney posadzki, z tego ręcznika rzuconego byle jak, z dymu papierosa wypalonego na czczo, przemieszanego z miętowym zapachem pasty do zębów, wynikało, że był tu mężczyzna, i że jeszcze wróci.

Artysta właśnie wychodził z kuchni i spotkał się ze mną u wylotu korytarza.

— No, trzeba poistnieć trochę — powiedział rzeczowym głosem porannym, ale się uśmiechnął.

Po chwili siedział już przy telefonie.

— *J'excuse vous. J'excuse aussi Henri. Et j'excuse Matador aussi. S'il vous plaît* — mówił uroczyście.

Od tego dnia już ja osobiście telefonowałam za każdym razem, gdy zaproszeni, najczęściej razem, do Henri i Matadora, zawiani gdzieś alkoholem lub tym szeptałym przeproszaniem, na wizytę pójść nie mogliśmy. Tymczasem obiad zjedliśmy w pobliskiej restauracji, przepełnionej niedzielным tłumem. Artysta niechcący nadepnął mi na nogę, gdy odchodziliśmy od stołu.

— Przepraszam — powiedział.

Zaizenowanie rozwiąło się dopiero po kilku dniach. Ostro, ponury liryzm Artysty zagospodarował się po kątach w tak czułym kształcie, że często ze łzami w oczach

nie myślałam o przyszłości. W mojej łazience, haniebnej twierdzy kapitulacji, dotychczas z wieszaka nad wanną smętnie powiewały białe flagi majtek, żałobne wstęgi pończoch. Teraz wisiała tam, okapując z wody, harda zbroja — nylonowa koszula męska, bez prasowania gładka i świeża. W kuchni dotychczas kruszyny z naprędce skleconych kanapek zbierałam pod wieczór, w strachu przed myszami, do papierowej torebki, którą następnie wyrzucałam z poczuciem grzechu. Teraz buchał kłębami złotej pary zapach skromnych ludzi — woń duszonej cebuli. Artysta lubił przepieczoną na wskrós wołowinę.

Wielką kolację imieninową u państwa Wrażeniów obecnością swą zaszczycił *le tout Paris*, w naszym znaczeniu tego słowa, czyli w żadnym. Tam też doznałam po raz pierwszy uczucia tej charakterystycznej konspiracji, która sprawia, że dwoje ludzi świadomych tego, co między nimi było przedtem i potem będzie — a innym się zdaje, że wiedzą to samo, tylko znacznie lepiej — wywołuje ogólną pobłażliwość, i wtedy bardzo się wszystkich lubi. Potem dobrze jest się wyłączyć, usiąść w jakiejś kafejce we dwójkę i pić nie calvados, ten z Hemingway'a, szalony, calvados z GOOD LUCK, rozchełstany, spaczony Ojczyzną, lecz na przykład kameralną, wspólną i orzeźwiającą stany erotycznego półnapięcia, kojącą, prowincjonalną i pocziwą mirabelle, w której na dnie uśmiecha się życzliwie zawsze na nowo cudzą miłością przejęta, zawsze na świeżo łaknąca cudzego szczęścia, jowialna i gruba, wyondulowana i gadatliwa żona właściciela lokalu.

— *Evidemment* — mówi na koniec wzruszona.

Trąciliśmy się myślami. Mirabelle spływa gładko.

— Ilu ty miałaś kochanków? — pyta Artysta.

— Czterech — odpowiadam bez zająknięcia.

— To znaczy, że ja jestem piąty?

— Nie, ty właśnie jesteś czwarty.

— To nic. Ja właściwie też jestem sentymentalny — powiada Artysta. — Wszystko jest odwrotnie, tak jak

na kliszy — zauważyła po chwili, spoglądając do lustra obok nas na ścianie.

— Ale nie o to chodzi, prawda? — dodaje z czymś, co mogło zakrawać na ironię.

— Nie, bo jak Platon robił pracę dyplomową, jeszcze z takim drugim, to właśnie wyszło tak: malowali Majakowskiego *Lewa! Lewa! Lewa!* — mówi Artysta rytmicznie, uderzając lewą pięścią w blat stołu. — Ale że malowali nie z odbitki, tylko z negatywu, wszystko wypadło odwrotnie. I masz: w dwóch egzemplarzach Majakowski klepie swoją lewą, a bije w stół prawą pięścią. Taki był zawsze nasz socrealizm.

— A co się za to stało Platonowi i temu drugiemu? — pytam.

— Ten drugi, to zero. A Platon? Przed wojną u nas w Nieświeżu na Muchawiance wyłożyłem na wiśnię koło wychodka. Tam siedziałem godzinami na gałęzi i krzyczałem głośno, głośno. Za parkanem z jednej strony mieszkał Platon, jego ojciec pracował na kolei...

— A to ja miałam taką samą koleżankę z Suchej — przerywam, z radością znajdując jeszcze jeden punkt styczności z Artystą.

— Tak, ale nie o to chodzi. Po drugiej stronie za parkanem Sura; sklep spożywczy. Za wychodkiem płot i Srulek, szewc, któremu z Platonem gwoździe żeśmy podkradali, a dalej Mordko, ale to tajemnica, bo parkan wysoki i nawet z wiśni nie można było zajrzeć. A jak był ślub u Mordka, jakieś straszne nieszczęście, bo wydawali córkę za zasymilowanego inteligenta z Siedlec, to zaprosiłem Platona na wiśnię, ale nic nie zobaczyliśmy. I nie krzyczałem nawet wtedy. Muzyka różnie majufes. Platon powiada: „No to chodźmy!” A ja na to: „Gdzie?” „Na wesele” — mówi Platon. No i poszliśmy. Mordko na to, że my dobre sąsiady, a Sura częstowała nas landrynkami i płakała, że to niby ten inteligent z Siedlec tylko by fox-trota tańczył. Potem jego współnik za fox-trota biegał podobno, ale nie o to chodzi. A jak Platonowi uro-

dził się braciszek, tośmy dopiero baraszkowali na wiśni i byłem z mamą w cerkwi na chrzcinach. Po wojnie mieszkaliśmy razem z Platonem w Warszawie aż do śmierci Stalina. Ożenił się potem.

O Artyście można było powiedzieć, że kochał mnie „po swojemu”, co dla każdej kobiety zawsze wiele pozostawia do życzenia. Nie byłam więc ani bardziej tolerancyjna, ani mniej w tej dziedzinie kobieca, chyba że z rzadka jeszcze wspominałam wygwizdywane od samego rana:

— ... *raz piesek wpadł do kuchni...*

— ... *a to ułani, ułani, uła-a-ani...*

— ... *obudź się, serce twe...*

Wtedy najpewniejszymi moimi sojusznikami stawali się Sura, Srulek, Mordko i Platon zza parkanów, przede wszystkim Platon, bo o nim, jako że istniał jeszcze, najczęściej była mowa. Po każdej, przeważnie przelotnej obecności Platona w rosnących z czasem monologach Artysty następowało nieodmienne:

— Nie o to chodzi.

Zaczynałam zwolna dochodzić do wniosku, że może ten gęsto powtarzany zwrot, którym i ja mogłam się zarażać, stanowi w rozmowie jedynie oddech, użyty po to, by przerwać tok byle czym — np. u Poleciała „ha ha ha”, u Thais „okoliczność”, u Cioci zaś „Ach! Ach!” — po to tylko, by zaczerpnąć niejako powietrza, a potem znów swoje klepać. Na przykład:

— Jeszcze tak niedawno — rozumuje Artysta — ci półinteligenci mówili z ironią o *egzystencjonaliźmie* i *egzystencjonalistycznych* brodach. Dziś, przeskoczywszy cały etap nomenklatury i spóźnieni co najmniej o piętnaście lat, z namaszczeniem powołują się na literaturę *egzystencjalną*, i ten przymiotnik doczepiają do każdej książki, do każdego filmu, listu, nawet zdania, które wydaje się bardziej złożone lub trochę przydługie — ciągnie Artysta piękną swą mowę. — Właściwie, dlaczego zdania nie mają być długie? Czasem powinny być długie a czasem krótkie, bo nie ma rzeczy wielkich ani małych.

To jest sprawa znaczeń i dopasowania — klaruje mi zapalczywie Artysta, a zmieniając ton na bardziej neutralny, dodaje: — *Egzystencjalna* bywa też w ich języku osoba zaprzątnięta smutkiem, cytująca wcale nie Heideggera, osaczona na mrocznej ulicy. Nie o to chodzi.

I tym razem nie o to chodziło, zwłaszcza w chwili, gdy samotny sąsiad, przypatrujący się nam od pewnego momentu, podszedł do naszego stolika i przepił do nas czystą wódką — bo nie był to na pewno *gin* — na cześć świetlanej przyszłości Ludowej Ojczyzny.

— Niech żyje wolność — zawołał. — Taka wolność, jaką wy macie tam. Pijmy pod zrozumienie konieczności historycznej.

— Czego? — skrzywił się Artysta.

— Konieczności historycznej — przetłumaczyłam mu.

— Nie piję — powiedział twardo Artysta, a było to dla niego wielkim wyrzeczeniem. — *Avec vous non* — mruknął patrząc spode łba na lustrzane odbicie kieliszka w lewej ręce nieznajomego. — Bo nie ma wolności, nie ma konieczności — zawołał odwracając się ku trzymającemu teraz w prawym ręku kieliszek mężczyźnie. — Nie o to chodzi. Nie ma konieczności, żeby nie było wolności.

— Aha! — zmiarkował się Francuz zrozumiałwszy jedynie przesłanki gniewnego tonu Artysty. Z żalem tulił pełny kieliszek do lewej piersi, bo tam widocznie było jego serce, i z przekąsem: — Typowy Polak, przedwojenny militarysta — wykrztusił pod adresem trzydziestoletniego Artysty. — Faszysta, pułkownik, antysemita. Andersowiec, biały emigrant. Pfu! Pfu! — splunął, odstawił kieliszek i odszedł.

Widząc, że gołąbki przestały nagle gruchać, zaniepokojona żona właściciela odskoczyła od kasy i przyfrunęła ku nam z dwoma kieliszkami, których nie doliczyła potem do rachunku.

— Macie, macie — gderała potrząsając ondulacją.

— Co to młodym zawracać głowę polityką — dodała, surowo spozierając na drzwi, przez które z historycznej konieczności wyszedł na Paryż postępowy myśliciel.

— No, bo Polakowi nie wolno być człowiekiem — powiedział smutno Artysta po oddaleniu się miłośniczki miłości — nie wolno, właściwie, mieć poglądów ogólnych, takich co dotyczą całej ludzkości. — Trochę się zawstydził szumnym słowem, którym na ostatek się posłużył, więc dodał: — Dlatego w Polsce jest tak mało wolnych ludzi. Przecież nie o to chodzi. Ja nie muszę być *za* i nie muszę być *przeciw* — utyskiwał. — Ja gram na puzonie, i co on ode mnie chce? — oburzał się. — Zresztą, tam u nas jest mniej więcej tak samo — dorzucił z rezygnacją. — Zamiast grać na puzonie, spokojnie, pilnie, i coraz lepiej grać, trzeba walczyć o liberalizację, być śmiałym, zachodnim, nowoczesnym, zawsze trzeba protestować, zawsze walczyć, walczyć, walczyć! — Artysta podnosił stopniowo głos. — Liliowym krawatem walczyć. O liliowy krawat się bić. Mam tego dosyć. Nie o to chodzi, Jezusie Nazareński! Jak mi puzon chcieli zabrać, bo oblałem z marksizmu-leninizmu (też przedmiot!), wtedy walczyłem. Mam rację? — zapytał na koniec.

Miał, i zaczynałam to nawet pojmować. Nie miała natomiast racji Thais, gdy w liście, który nadszedł nazajutrz, napisała między innymi:

*... miską się zachwycał? F\$! Co za mi\$szczański gust! Powinien już sob8e pojechać...*

Na dodatek wywołała wilka z lasu. Artysta powinien był już pojechać. I pojechał. Ale na razie prał jeszcze skarpetki; rozwieszając je nad wanną powtarzał, że nikt do nikogo nie należy.

— I to jest największa przynależność — dodawał niekiedy. — Jesteś sentymentalna. To jest zła literatura.

O ile ja reagowałam wymówką w rodzaju:

— Myślałam, że jesteś większym snobem, wywiązywała się awantura, co na razie zdarzało się jed-

nak rzadko. Zakwitły kasztany, a ja, daleka od wszelkich narcyzmów, hodowałam sobie w repertuarze gramatycznym i ty, i ciebie, i tobą, i tobie, zwłaszcza tobie, a już szczególnie upodobałam sobie formę: t w ó j, -a, -e, jako najściślej odpowiadającą moim zasadniczym przesądom. Przynajmniej, tak wydawało mi się w maju. W niedzielę, która była Dniem Matki, gramatyka wzruszyła się na tyle, że Artysta przed pierwszym śniadaniem wyszedł po świeże pieczywo, a wychodząc pomieszał zaimki: tobie, twoje, ty odniosły się na jedno mgnienie do mnie, lecz wróciwszy z zakupów Artysta stał blady w korytarzu.

— Jezu! — powiedział. — Zobaczyłem szczura. Dużego, opasłego szczura.

Zwymiotowaliśmy razem do wspólnego wiadra i długo potem szorowaliśmy zęby przed lustrem w łazience — on poziomo, ja z góry na dół i z dołu do góry, jak przykazuje dentyści.

— Tak należy myć zęby — pouczałam Artystę.

Pierwsze śniadanie zjedliśmy dopiero wieczorem. Bułki były już tak twarde, że przy każdym kęsie duże okruchy padały dotkliwie na podłogę wokół krzesła Artysty.

— Jesteś podobna do jednej dziewczynki, w której się kochałem — powiedział mi na pociechę. — Miałem wtedy pięć lat, ona sześć. Mieszkali daleko od Muchawianki, aż tam gdzieś koło Radziwiłła i nie chodziliśmy do tej samej szkoły. Miała takie oczy jak ty, szare.

Z wdzięczności dołałam Artystcie mleka, wiedząc że lubi kawę bardzo białą.

— I co się z nią stało? — spytałam.

— Kilka lat później przyszli i zabrali ją z rodzicami, wywieźli. Potem dostaliśmy wiadomość przez jednego żołdaka ze stacji Penza. Mówił, że mieli do wyboru: albo za Ural, albo Stalinabad. Matka miała nogę zranioną przez niemiecką bombę jeszcze w 1939 roku i myślała, że w Stalinabadzie się wygoi, bo to niby... znasz te przed-



wojenne bady, Karlsbad, Marienbad. Jakoś miło dla ucha zabrzmiało. Wybrali więc to, no i pech chciał, że przy rąbaniu lasu złapała w tej nodze infekcję. Potem gangrena i koniec.

— A co z dziewczynką? — nalegałam dolewając odruchowo mleka.

— Dziewczynka? — podchwycił Artysta, jak gdyby mimochodem. — Roztyła się. Jest laborantką w Instytucie Zapyłania Roślin w Słupsku.

Nie dolałam mu więcej mleka.

Nazajutrz pod wieczór Artysta czekał na mnie przed bramą Ośrodka, ostrożnie holował mnie na piechotę do domu.

Holował mnie, holował nieświadomie, aż pod koniec lipca przeholował i wtedy przeraził się widmem tego, co dawniej nazywano odpowiedzialnością. Przebąkiwałam o urlopie i zrobiłam mu jedną scenę, po której w krótkim odstępie czasu wybuchła druga, potem trzecia. Czwartą, która była już monologiem, tym razem w moim wykonaniu, zakończyłam z wściekłością:

— Trzeba być erotomanem albo świnią!

— Trzeba, trzeba czasami — odparł Artysta z nostalgicznym znawstwem.

Powinien już sobie pojechać. I pojechał. Pojechał niewątpliwie sobie, a nie, jak chwilami podejrzewałam, komu innemu. Przedwyjazdowy smutek wzburzył mnie zrazu, potem wprowadził w stan znanego wszystkim machinalnego ośpienia. Co się tu będę rozwodziła nad tą jedną chwilą, w której nagle wyjezdny przestaje być, chociaż jeszcze jest? Czy walizka dobrze się zamyka, czy krawat dla Platona się nie zemnie? Czy wszystkie ustniki do puzonu, kupione za resztki dewiz, są rozłożone po miękkich zakamarkach walizki, żeby nie pękły a jednocześnie przeszły niezauważone przez cło?... Co mnie to wszystko obchodzi? A gdy ktoś kogoś odprowadza na dworzec i pasażer już siedzi w przedziale, cóż jeszcze zostaje do powiedzenia w dzisiejszych czasach, kiedy w żąd-

nym publicznym pojeździe okien nawet otworzyć nie można? Żegnający się nie patrzą na siebie nawzajem, śledzą z zaciekawieniem zamykanie drzwi wagonów, słuchają gwizdków, czekają niecierpliwie na moment ruszenia pociągu, i wtedy dopiero uśmiechy, pa, pisz.

Żeby tego wszystkiego uniknąć, umyślnie nie kupiłam peronówki. Na Dworcu Północnym, o którego szklany dach uderzały krople przelotnej ulewy letniej, stałam przy łańcuchu odgradzającym od paryskiej mojej osoby pociąg naładowany baniastymi tobołami i skośnokimi twarzami o szpiczastych nosach i szerokich kościach policzkowych. Wodziłam kciukiem po chłodnych ogniach żelaznego łańcucha, odprowadzając wzrokiem Artystę, który szedł, szedł, szedł wzdłuż peronu, z walizką w rękę, z puzonem przewieszonym przez ramię, ze wzrokiem utkwionym w czubki butów, rozłożysty w biodrach. Krocząc ku wschodowi wolno, konsekwentnie, odwrócił się jeden raz i spojrzał na mnie, Orfeusz.

Na stoliku w Pokoju powinno, rzecz jasna, leżeć oskubane pudełko zapalek i chyba tylko dlatego nie leży, że wolę sobie sama zainscenizować tę gorzką — tak gorzką, że aż prawie słodką — nieobecność. Wolę, tak jakby mnie ktoś obserwował, tak jakbym była bohaterką filmu, szczupłą, koniecznie bardzo szczupłą, zdejmować powoli z głowy kapelusz, palcami obu rąk rozczapierzyć przypłaszczony włosy, stanąć przed lustrem, wpatrzeć się ze zdziwieniem we własne oblicze i pedantycznie wyrzec:

— I to jestem ja? Jeszcze ciągle ja? Ja? Ja?

Ale nie miałam kapelusza.

— Czy kapeluszy się już w Paryżu nie nosi? — pytała potem Ciocia.

Więc trochę inaczej: po pierwsze, nie napisać listu; po wtóre, pamiętać, że nie należy przypadkowo na spodek wylanej kawy wlewać z powrotem do filiżanki. Po tem raz jeszcze nie napisać listu. Odniosłszy tym sposobem dwukrotne zwycięstwo w stosunku do Artysty, i w ogóle w stosunku — a skoro życie, jak od dawna we

wszystkich strzępach prozy utrzymują, polega na stosunku, zatem zwycięstwo odniósłszy także nad życiem — otóż odniósłszy to wszystko, fotografię schować dyskretnie tam gdzie ciepło, np. do portfelu, a potem, gdy już będą ośle uszy, jeśli Pan Bóg da doczekać, fotografię wyrzucić. To jest, zresztą, jedynie sprawą poczucia proporcji, zawsze aktualną.

— Nie estetyzuj — powiedziałby Artysta, ale Ciocia orzekłaby, że dobrze.

Albo jeszcze inaczej: wyobrazić sobie, że dzwoni telefon, rozpaczliwie, przeciągle dzwoni. Dopadasz go od progu, bo właśnie wracasz z Dworca Północnego, ale jest za późno: telefon przestał dzwonić. To on, oczywiście on, zmienił zdanie, nie pojechał. A jeśli zdążysz? On, oczywiście on. Więc mówisz z godnością, że nie chcesz go więcej widzieć i odkładasz słuchawkę. Telefon, głupi, dzwoni po raz drugi, długo, uparcie. Nie podnosisz, rzecz jasna, słuchawki.

— Nie bądź teatralna — powiedziałby Artysta.

Dobrze! Nie będę. Można zatem, na nic nie czekając, podnieść słuchawkę, zamówić jego numer, a tam z głuchym echem Krajowego podsłuchu odpowiada miękki, domowy głos:

— Dziś dopiero wraca, a kto mówi?

To żona. Oj, łatwizna! Więc też nie.

W rzeczywistości było tak: nakręciłam numer Olgierda i powiedziałam z miejsca:

— Jestem nieszczęśliwa.

— Oj, ja też — pisał Olgierd. — Lonia się pogniwała — biadał. — A wiesz, o co poszło?

— O mieszkanie — bąknęłam.

— Jakbyś zgadła — zawołał Olgierd.

Wyciągnęłam więc z szafy sfastrygowane firanki i zaczęłam, wkładając w każdy szew tyleż łez, co stębenka, wykańczać przerwana — czyżby przerwana, skoro czas przecież stanął? — robotę. Nazajutrz wisiały w oknach nowe firanki.



Skoro już mowa o czasie, należy dodać, że długo potem, za każdym razem, gdy nuda zapędzała mnie do kina w towarzystwie przygodnie w GOOD LUCK spotkanego Krajowego rodaka, automatyzm kazał mi niezmiennie tłumaczyć na ucho towarzyszowi taśmę dźwiękową z oryginału na język ojczysty. Doszłam nawet do takiej wprawy, że Macio, który, wbrew pozorom, posiadał nie-nagannie rozwinięty zmysł praktyczny i heraldykę uważał za zawód mało intratny, doradził mi w końcu objęcie stanowiska tłumacza w UNESCO lub przynajmniej w Radzie Europejskiej. Niestety, ta ostatnia miała siedzibę w Strasburgu (znowu się przeprowadzać?), natomiast Organizacja Narodów Zjednoczonych krzywym okiem patrzyła na moje uchodźcze papiery.

— *J'appartiens à un autre, mais c'est toi que j'aime* — mówiła na ekranie roznegliżowana gwiazda do młodego zawadiaki opartego niedbale o fortepian.

— Należę do innego, ale ciebie kocham — powtarzałam Maciowi w ciemności.

— *J'ai beaucoup de patience. J'attendrai* — ciągnęła gwiazda powstając. — *Apprends à m'aimer!*

— Ja mam czas, ja... poczekam — szeptałam Maciowi do ucha. — Naucz się francuskiego.

Macia bolał ząb.

#### IV

Krótko po swym przyjeździe do Paryża Ciocia orzekła:

— Francuskiego nie można się nauczyć. Po francusku trzeba umieć — dlatego że Ciocia umiała. Toteż pewnego dnia rzuciła z naciskiem: — *Tu exagères*, Kochanie — gdy zwróciłam jej uwagę na wyrzuszenie się pionowej rury o dalsze dwa centymetry. — Przesadzasz, ale wcale mnie to nie dziwi — dodała wyniośle, wsuwając z hukiem walizki pod kanapkę. — Gdybyś miała za sobą to co ja, nie przejmowałabyś się byle drobiazgiem.

— Na pewno — odpowiedziałam pojednawczo, jakkolwiek wiedziałam, że wątpię. Wiedziałam też, że wątpię, więc jestem, a skoro jestem, i jest również — z innych wszakże powodów — Ciocia, jedna z nas musi ustąpić. Zaczęłam się więc przymilać: — Mnie wszystko z takim trudem przychodzi, Ciociu. Źle się do wszystkiego zabieram, to nie moja wina — pojękiwałam pokornie.

— Oczywiście, że nie twoja — odparła Ciocia ze współczuciem, jednocześnie przymierzając jasnozieloną spódnicę, a ja, wbrew temu, co się rzekło, poczułam się winna.

Pierwsza lepsza spódnica wystarczała, żeby osaczyć mi sumienie po pierwsze brak przeżyć wojennych, po drugie brak nękających Ciocię od blisko dwudziestu lat

posępności powojennych, po trzecie wynikające z owych braków fatalne moje nastawienie do rury. Daremnie wspominałam w takich chwilach dla kurażu strzępy wynurzeń Artysty.

— Kto tu mówi o wrażliwościach ? — pytał ongiś retorycznie, sprowokowany ideowym nadąsaniem, nie pamiętam już czym. — Oni twierdzą, że to jest wulgarne, a przecież nie o to chodzi — mówił czupurnie. — Czy kiedyś im przyszło na myśl, czym jest zalewanie się własnym potem?

Na pewno miał słuszność, choć podawał ją w mało dla mnie uchwytnej formie, zwłaszcza że ja, niestety, posiadałam inne ambicje. Dlatego też stojąc obecnie przed Ciocią, przymierzającą na środku Pokoju niemłodą już, jasnozieloną spódnicę, odczułam w sercu litość nad spódnicą, a w porywie generalizacji, także nad Ciocią, nad miastem, z którego przybyła, ba — nad całym tym naszym biednym Krajem. Gdyby choć raz stanąć przed apteką w kolejce po watę, choć raz zderzyć się z sublokatorem w wąskim przejściu między wspólną kuchnią a wspólną łazienką, choć raz nie mieć w ogóle rury... zaraz własna spódnica wydałaby mi się piękniejsza.

— Trzeba skrócić — mruczy tymczasem Ciocia — bo tutaj ciągle moda się zmienia. I zwięzić — dodaje — bo bardzo zeszczuplałam w tym Paryżu.

Nie! Nie zeszczuplała. Może nawet ponad pasem, tam gdzie granica zeber decyduje o wszystkim, coś jak gdyby raczej... kto wie czy nie odwrotnie, ale ma się rozumieć, skoczyłam z radością na korzystną dla mnie — przynajmniej pozornie — sposobność, jak mysz na łapkę, zakładając że w ogóle były w mieszkaniu myszy. Obrzydzić Cioci moją, jak to nazywała, rzeczywistość! Wykażać, że:

— Widzi Ciocia? A nie mówiłam? Takie męczące miasto, ten cały Paryż. Niszczące, żrące, palące. Straszne, straszne — wykrzykuję, a potem poufnie, o wiele tonów

nizej, dodaje: — Może Ciocia pamięta, co zrobił Słowacki w wierszu *Paryż*?

— No, co? — pyta powściągliwie, zdejmując spódnice.

— Za - a - ta - ko - wał! — sylabizuje triumfalnie. — A Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*? Niech Ciocia Totusia zapyta! Nie mówiąc o pułkowniku Mikołaju Korwin-Kamińskim, herbu Ślepowron, barkiem prosto do góry podkowa stoi, na niej krzyż, na krzyżu kruk czarny, trochę wspięte do lotu mając skrzydła, w prawicę tarczy obrócony, w pysku złoty pierścień trzymając, pole tarczy jest błękitne, podkowa biała, na hełmie nad koroną takż kruk. Paprocki, *Gniazdo cnoty*, foliał tysiąc trzydzieści dziewięć, w rozdziale *O herbach*, foliał trzysta dwanaście; Okolski, tom trzeci, foliał sto dwadzieścia jeden; Marcin Bielski, foliał sto siedemdziesiąt dwa. Ciż autorowie zgadzają się na to, że ten herb nabyty z takiej okazji: gdy, albowiem, jeden z rodziny Korwinów pojął wielkiej fortuny dziedziczkę, jedynaczkę herbu Pobóg, tak herb swój wykształtował, że do podkowy ojczystego swego kruka z pierścieniem przydał; rozumieją zaś, że Korwin ten z Węgier do Polski przyszedł szukając chwały rycerskiej, w Węgrzech zaś rozpleniona była Korwinów familia od jednego z rzymskich Korwinów. Nie przeczą, bynajmniej, że w Rzymie sławny był niegdy Valerius Corvinus, *tribunus militum*...

I recytuję bez pudła w kartotece pamięci świeżo zatknietą pozycję, którą mi, zresztą, za pośrednictwem Sekretarki Poleciał kazał na nowo przepisywać, bo pomyliłam dzień z miesiącem urodzin Mieczysława, poległego pod Marengo syna wspomnianego pułkownika. Wreszcie przerywam, ponieważ Ciocia uniosła brew.

— No i co z tym Mikołajem? — powiada nieufnie.

— Przepowiedział Paryżowi wręcz zagładę — wybucham. — „Pod Paryża ściągną mury, i Car-Tatar tam zatańczy” — cytuję z rozmachem.

Ciocia spogląda krytycznie na spódnice i uśmiecha się

do mnie pobłażliwie. Tylko Ciocia potrafiła dwoma razami twarzy pokryć twarz równocześnie.

— Nie przeszłaś. — Potem poprawia się: — Nie przechodzisz tego co my. Dlatego nie jesteś odporna — dodaje bezapelacyjnym tonem.

No dobrze, niech będzie: nie jestem odporna. Ja nie jestem odporna. Nie jestem odporna? Ja nie jestem odporna? Z młotkiem w rękę, z gwoździemi w zębach, niejedną już wybudowałam szafę, niejedną bibliotekę, a kiedyś nawet okrągły stół, który następnie obilałam skórą i, jako prezent na któreś pojednanie z Lonią, ofiarowałam Olgierdowi. A przecież mogłabym tak jak owe wygodnickie — wrażliwe, nie dostosowane, delikatne, subtelne, duchowe — nie umieć („Ja bym umarła!” — piszczał), nie móc („Wiesz? Podziwiam cię” — wzdychając), nie prowadzić samochodu („Wpadłabym do rowu” — jęcząc), nie używać alkoholu („Ty masz mocną głowę, a ja jestem taka kobieca” — plotąc), lecz ja wolę *umieć, móc, prowadzić i używać*. I śmiać się z nich — nie w duchu, skoro mi go brak — bo one nie wiedzą, że ja też mogłabym nie używać, nie prowadzić, nie móc, nie umieć. Tylko mi się nie chce.

— Nie przechodzisz tego co my — w reakcji na moje milczenie podkreśla Ciocia powtórnie.

— Czego?

— No, podsłuch, cenzura — zaczyna na długich, nie tkniętych artretyzmem palcach wyliczać Ciocia. — Konfiskata, kult jednostki, brak masła, sublokatorzy, podsłuch, cenzura, kon...

— Tak — przerywam zniecierpliwiona, wspomniawszy jedną z aluzji Artysty, która dopiero teraz stawała mi się jasna. — Wam nie wolno nienawidzić Paryża. Wy musicie kochać!

Ciocia, nie rozumiejąc, widząc, o co chodzi, podchwytuje z szyderczym grymasem:

— I ty powinnaś kochać, być wdzięczna, całować tę ziemię błogosławioną i świętą, na klęczkach iść do



Lourdes. Tak tak, na klęczkach! — podnieca się Ciocia nie spostrzegając nawet, że mnie, normalnie bladej („Czy różu się już w Paryżu nie używa?”), wypęzły na policzki — czułam to wyraźnie — rumieńce.

— Ależ, Ciociu, ja się wstydzę — mówię zapłoniwna. — Nikt ode mnie tego nie żąda. To nie jest tutaj wymagane. Ja może — ciągnę dalej, teraz dopiero formułując coś na kształt postawy, której dotychczas, automatycznej, naturalnej, nie byłam nawet świadoma — większy hołd składam tej ziemi właśnie tym, że nie chodzę, nie całuję, że czasem mnie złości, że chwilami nienawidzę. Ja chcę tak, jak inni... Nie znosić szczurów. Bać się pękających rur. I w ogóle chcę być normalnym czło...

Tu ugryzłam się w język: już lepiej z tym człowieczeństwem nie zaczynać. Ciocia tymczasem najspokojniej w świecie rozpuściła włosy i kładła szpilki jedną obok drugiej na stole jak pasjansa.

— Tobie ciągle te rury w głowie — powiedziała nawracając do pierwotnego nastroju pobłażliwości. — Chcesz się ze mną zamienić? — zapytała i roześmiała się.

Zamienić się z Ciocią? Bzdura, zwłaszcza w sensie praktycznym. A jednak te właśnie słowa Cioci utkwiły mi w pamięci; często potem — wsłuchując się w nocne szur-szur, w odgłosy chrapania dochodzące z Pokoju, w szmer wody spływającej wierzchem zatkaanej u wylotu rynny drugiego podwórka, lub w gdakanie sterroryzowanych kur, które co tydzień moi północnoafrykańscy sąsiedzi zarzynali po kryjomu nocą, aby własnych dzieci nie straszyć — myślałam:

— A gdyby się tak zamienić?

Byłam u kresu tak celnie przez Ciocię zaobserwowanej nieodporności, gdy nazajutrz wieczorem stanął na stole garnek barszczu, tym razem z uszkami.

— Dobrze uszka, Ciociu — powiedziałam po skosztowaniu pierwszego, stwierdzając przy tym nie bez melancholii, że dobro nigdy nie jest takie dobre, jak zło jest złe.

Ciocia uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Wiesz? — zagadnęła wyławiając dla siebie bu-  
raczany płyn w stanowczych zapasach z tuczącymi uszka-  
mi, wjeżdżającymi uparcie do płytkiej, posrebrzanej cho-  
chli. — To tak samo jak z Jańcią.

— Z jaką Jańcią? — odparłam dobierając sobie  
barszczu.

— Co? Ty nie znasz...

— Ach tak, słusznie, znam. — Przypomniałam so-  
bie opowiedzianą mi nad niedawnym bigosem anegdotę  
o Jańci, którą zaczepił na ulicy jeden pan. — Naturalnie,  
że znam, Ciociu. Doskonale pamiętam.

— No właśnie — podchwyciła Ciocia. — To wiesz,  
że jak wyszła na ulicę...

— Tak tak — wtrąciłam. — Pamiętam: wyszła na  
ulicę i ktoś ją zaczepił.

— To to to.

— I przeszła na drugą stronę.

— Właśnie. A on za nią — opowiadała Ciocia. —  
Pamiętasz? A potem on dopadł ją na rogu i okazało się,  
ha ha ha!

— Ha ha ha! — zawtórowałam.

— ... że mu chodziło jedynie o przepis...

— Boże! — wołałam, a z dygoczącej łyżki barszcz  
lał mi się z powrotem do talerza. — O przepis mu cho-  
dziło. Na ciasto do uszek. Ha ha! — zarykiwałam się.

Ciocia na przemian ze mną dorzuciła jeszcze kilka  
szczegółów znanej mi opowieści.

— No widzisz, jaką ty masz świetną pamięć, Ko-  
chanie — pochwaliła mnie Ciocia. — Wszystko pamię-  
tasz.

Wszystko jak wszystko, ale pamiętałam podany przez  
Rurologa adres. Poleciał pokręcił głową, ale zwolnienie  
z obecności w Ośrodku przyznał mi na najbliższe czwart-  
kowe popołudnie. „Zielone przypomnisz lata” — podu-  
małam — te lata, kiedy w wolne od szkoły czwartki rze-  
czywiście był Paryż. Dziś wypadło mi jechać metrem nie

tyle na drugi, ile na całkiem mi nieznany koniec tego miasta. Kolejką podziemną posługiwałam się rzadko, jako że z Ósrodkiem łączył moją ulicę autobus. Z trudem znalazłam siedzące miejsce. I pomyśleć, że gdyby wagon był mniej zaludniony, usiadłabym jak najdalej od najbliższego pasażera — samotnie, na ławeczce zwróconej, oczywiście, w kierunku jazdy — bo gdy jest wiele wolnych miejsc, wszyscy zawsze wybierają miejsce najdalsze od bliźnich. A potem — o przewrotności ludzka! — narzekają na samotność.

— Oj, łatwizna! — zawyrokowałby Glec, gdyby słyszał me myśli. — Jestem na to za młody — dodałby bez wątpienia.

Trzeba wiedzieć, że Glec był dokładnie w moim wieku, a ponieważ przed wojną mieszkał w Krakowie, moglibyśmy byli na jednej ławie odpisywać z Falskiego *ul, ala, as, ul ma asa, ala ma ula*, gdyby nie gruźlica mojego pradziadka, która wypchnęła go spod kasztanów Plant ponad smreki Kalatówek. Tam, otoczony Nieliczną rodziną, pradziadek umarł ze starości. Ale Glec, odejmując sobie dyskretnie tu roczek, tam dwa, był ode mnie coraz to młodszy.

Nie trzeba chyba dodawać, że tego z Grajfreem nie zastałam pod wskazanym przez Rurologa adresem.

— Jest, bywa, będzie — przekładała mi wiedźmowata, podobnie jak moja, dozorczyńni łuszczącej się, podobnie jak moja, kamienicy — ale we czwartki rzadko. Pracuje na mieście. Pan ...ko, to bardzo pracowity człowiek, moja paniusiu — dodała chętnie i zamknęła zbutwiałe drzwi swej groty.

Pod wpływem pracowitości pana ...ko poczucie winy, uprzednio przez Ciocię wywołane, wróciło, a ja wraz z nim, czyli z niczym, wróciłam do domu. Tego, co w ciągu następnego tygodnia rozgrywało się tam monotonie, też chyba nie trzeba opisywać, zresztą niesposób: któż zliczy podróże walizek spod kanapki na środek Poikoiku, lub kurze piórka latające po drugim podwórku

w podmuchach grudniowego wichru? Mróz istotnie nastał wcześniej w tym roku, szczególnie dotkliwy w dzień, gdy brzęcząc bursztynami rozpoczynałam dawno już w bibliotecznym pyle oczekiwaną rozmowę z Poleciałem. Dla ścisłości należy zaznaczyć, że rozpoczął ją on, schowawszy uprzednio aparat telefoniczny do kasetki złożonej z dwóch do siebie przyklejonych, wydrążonych z treści, tomów słownika imion własnych — od Der do Foo i od Fop do Gri — której oprawne w skórę, złotem wybijane wieko, z wyciętym w rogu kwadracikiem na sznurek, zatrzasnął. Przez pewien czas rozmowy, przeplatanej śmiechem Poleciała i charakterystycznym dla wybuchów śmiechu zimowym kaszlem, który obija się o bębinki, nagły, ostry, zawzięty, zdrapywałam sobie ołówkiem z buta coś, co wyglądało na przyklejone resztki wypłutej przez kogoś w autobusie gumy do żucia. Obok była plama, jak gdyby wsiąknięta w zamsz kropla rumu, który Ciocia po powrocie z teatru dolewała sobie dla rozgrzewki do herbaty.

— Tylko dzięki temu przeżyłam okupację — mówiła. — Niskie ciśnienie, Kochanie. Słaby puls.

— Ja — rzekł Poleciał z naciskiem — ja panią poprę przy następnym zebraniu komisji, bo ostatecznie... ha! Ale — (któż by nie przeczuł, że nastąpi *ale*?) — pani niedostatecznie, co mnie, zresztą, nie dziwi, bo wszyscy cudzoziemcy. Powierzchowność w ogólnym wykształceniu humanistycznym, ha — tu kaszlnął — brak dyscypliny, błędy, przypadkowość. Ha ha ha! — zakończył.

Pięknie to wszystko rozwinął i załatwił. Zawtórowałam mu śmiechem, jak w rozmowie z Ciocią nad barszczem, bo cóż innego pozostało mi do zrobienia?

— Ha ha ha! — brnęłam parszając, wierzgając nawet, a do tego potwierdzając zgubne dla mnie wnioski niezgrabnie choć gęsto wtrącanymi:

— Oczywiście.

— Nie ma na to rady.

— My, cudzoziemcy.

— Naturalne braki.

A może to nie rum — myślałam potem z wlepionym w but wzrokiem, podczas gdy Poleciał powiedział coś jeszcze, nie wiadomo dlaczego, na temat osiemnastego wieku, co też wypadało potwierdzić. Więc:

— Tak tak — potakiwałam. — To słuszna hipoteza.

Potem długo kłanialiśmy się sobie nawzajem — on w moją stronę i w śmiech, ja w jego stronę i w śmiech — tak że dopiero siedząc we wnęce pod trzecim oknem drugiej sali wydziału dokumentacji sekcji heraldyki Ośrodka Badań Heraldycznych i Numizmatycznych zorientowałam się, że mój etat, w odróżnieniu od rury, nie wisiał już nawet na włosku mej niepoprawnej wiary w cuda i że wkrótce we wnęce pod trzecim oknem drugiej sali wydziału dokumentacji sekcji heraldyki Ośrodka Badań Heraldycznych i Numizmatycznych siedzieć przestanę.

Sekretarka miała wychodne, pan z brodą chrząkał wyraźnie nie pod moim adresem, ale to nie pomogło: rozmowę z Poleciałem uznałam za klęskę osobistą, chyba słusznie, wbrew przeczuwanym zawczasu urywkom następnego listu Thais. „Każdemu zdarzają się rozczarowania, co ni<sup>s</sup> oznacza bynajmn<sup>8</sup>ej, że każdy j<sup>s</sup>t gorszy” — imaginowałam. — „Ja uważam, że<sup>s</sup> jest to okoliczność do pokonan<sup>8</sup>a” — marzyłam. Nie pomogło. I nie pomogło tu też wspomnienie pierwszej mojej rozmowy z Poleciałem, która odbyła się dziewięć lat wcześniej w osiemnastowiecznym pałacu (stąd może końcowa aluzja Poleciała sprzed chwili?), zamienionym w okresie Konsulatu na ministerstwo. Przeszłam wówczas kilkanaście sal, a w każdej z nich kłaniało mi się dwóch woźnych otwierając podwoje do następnej. Do ostatniej, która okazała się przedostatnią, wbiegłam z wyciągniętą dłonią w kierunku zbliżającej się do mnie, w prążkowane spodnie ubranej postaci, myśląc że to już to, ale postać, skłoniwszy się nieco mniej nisko od wzmiankowanych woźnych,

jeszcze jedno podwoje otworzyła. Ręka, zawieszona w powietrzu, opadła w obliczu rzeczywistego Poleciała — dopiero teraz mi się wydaje, że niekoniecznie rzeczywistego, nazwijmy go zatem ówczesnym — na którego widok, zapominając o ręce i nie wyjawiając nawet prośby o wakującą (jak mnie na uniwersytecie poinformowano) posadę, wyznałam jedynie:

— Panie Profesorze, jestem zmieszana.

— Ja panią poprę przy następnym zebraniu komisji — usłyszałam w odpowiedzi. Żadnych prześmiejów ani kaszlów nie było. Nie było też pokłonów. Dodał jedynie coś w rodzaju: — Wy, cudzoziemcy...pracowici, biorąc pod uwagę pani młody wiek... Sierota.

Wtedy jeszcze liczyły się takie rzeczy. Poleciał westchnął.

— Polska — wyrzekł dobitnie — pięknie się odbudowuje.

— Pięknie, pięknie — potwierdziłam, ponieważ nie znałam jeszcze Cioci wówczas.

A dziś? A jutro? Poszłam do Ośrodka po obiedzie normalnie, jak mi się zdawało, na drugą, a tu wychodzi mi naprzeciw dozorczyńni.

Minął już co prawda dawno ten czas, kiedy nam, nieletnim, stróżkę kazano określać mianem dozorczyńni, ale ja byłam równie wierna nawykowi nabytym w dzieciństwie, jak Ciocia tym, które odziedziczyła po przodkach. Dla mnie każda stróżka była, jest i będzie dozorczynią — a wszystkie podobne do siebie jak dwie krople żółci, która je zalewa.

— Przecież nie ma jeszcze drugiej — powiada sucho i miotłą zagradza mi drogę.

— Jak to? — patrzę na zegarek, zdumiona. — Druga punkt.

— Dopiero pół — odpiera niewzruszona dozorczyńni.

— Już dawno po — usiłuję jeszcze się spierać.

— Ale w każdym razie drugiej jeszcze nie ma — odpowiada ona gderliwie.

Wiadomo że we Francji każdy zegar chodzi inaczej, a wszystkie razem odmiennie od zegarów całego świata; niemniej wyczułam jakiś afront, którego dozorczyńni mogła być zaledwie najcichszym administracyjnym słowem przedwstępny. Dziś, będąc już osobą odporną, sądzę raczej, że żadnej zmowy między nią a Poleciałem — przynajmniej na szczeblu oficjalnym — nie było, ani wówczas, ani później. Wtedy jednak bez pożegnania z dozorczynią zaszłam do pobliskiej kawiarni, gdzie zegara w ogóle nie było, kelnerka zaś na moje pytanie o godzinę odpowiedziała, że nie wie. Zamówiłam kawę i więcęj tego popołudnia do Ośrodka nie wróciłam.

Dużo później dozorczyńni, ruszona wyrzutami sumienia, chodziła podobno — tak przynajmniej zapewniał mnie Olgierd — na drugie podwórko mojej kamienicy, długo oglądała poczerwiałe grudki tynku i kiwała głową z niedowierzaniem, dreptając wokół nerwowo.

— Zapewniam panią — mówiła do swej koleżanki po fachu u drzwi granitowej groty — że nie było jeszcze drugiej. — Ona tego nie zrozumiała. Wiadomo: cudzoziemka! — usprawiedliwiała się ze współczuciem, które mogło nawet być autentyczne. Ostatecznie, dozorczyńni też człowiek, i to w znaczeniu dosłownym, czasem zgoła socjologicznym. Poza tym — dziewięć lat znajomości.

— Biedna Francja! — dopowiadała tamta. Tak przynajmniej referował rzecz Olgierd.

Tymczasem mnie nie pozostało do zrobienia nic poza zawezwaniem malarza, żeby podsztukował pęknięty kawałek ściany pod rurą oraz przestrzeń sufitu, która wokół rury zaczynała pokrywać się plamami. Jeszcze w ostatniej chwili, pełna wątpliwości, mówiłam do Cioci:

— To tylko doraźnie, Ciociu. Jak Cybalgina. Nie wyleczy. Będzie lepiej tylko na oko.

— Co ty też znowu wymyślasz z okiem! — roześmiała się Ciocia. — Odmaluje się, Kochanie, nie będzie znać.

— „Gębe myć, suknie prać, nie będzie znać” —

zadeklamowałam, ale Ciocia upomniała mnie surowym spojrzeniem, żeby świętości nie szargać.

Usiadłam więc w oknie i czekałam. Przez podwórko maszerował objuczony czterema gdczącymi kurami i niezliczonymi pękami rzodkiewek („Rzodkiewki w grudniu? Przy takich mrozach? Ale wam dobrze!”) kusy, krępy tułów północnej Afrykanki. Matka dzieciom, kurom strach. Tułów turlał się na jakichś, rzekłbyś, nogach, co to ledwie kostki się kończą, a już kolana się zaczynają.

— Zum, Zum — krzyczy tułów przystając na środku podwórka, po czym otwierają się wszystkie okna u moich sąsiadów, a brunatne oblicza pociech wychylają się na mróz i wilgoć, by w hałaśliwym szale radości powitać mamę. Małżonek zmysłowym basem dorzuca swoje.

— We Francji ciągle jeszcze kwitnie życie rodzinne — westchnęła Ciocia.

— I równość, Ciociu. Wszyscy ludzie są równi — dodałam z goryczą, podczas gdy kędzierzawi obywatele francuscy zniknęli z wewnętrznej powierzchni skąpego sześcianu, jakim było podwórko, i tylko głosy ich jeszcze było słychać.

Po chwili kroczył już przez podwórko, kołysząc się w biodrach, z wiaderkiem, skrzynką, drabiną i pędzlami, punktualny malarz, przystojny chłopiec, Hiszpan z pochodzenia, dobry fachowiec. Zresztą, znane jest malarstwo hiszpańskie.

Ciocia oprowadziła malarza sumiennie po kuchni, a miejsca domagające się pokrzepienia wskazywała palcem. W sytuacjach o charakterze profesjonalnym pokazywanie tą częścią ciała nie koliduje podobno z dobrymi manierami.

— *Ici* — powiada Ciocia, a palec jej wędruje poza rurę.

— *Ici*. — Palec spaceruje w dół po niesymetrycznej linii pęknięcia.

— *Et ici*. — Ciocia zawiesza pod sufitem palec. Oczywiście wskazujący. Uznawszy następnie swe zadanie



w tej imprezie za wyczerpane, Ciocia wyszła z domu, by wyczerpać z kolei siebie w imprezie biegania po mieście. Malarz, tymczasem, z żalem oglądał zniszczenia.

— A tak pięknie wymalowałifmy pani miefkanie. Ffególnie kuchnia fię udała. I to pfecief juw drugi raf, nie dawniej, jak rok temu — seplenił zmartwiony. — Co fię ftało?

— To długa historia — odbąknęłam. — A jak się panu wiedzie? — dodałam grzecznie, uważając Ciociny wstęp z palcem za zbyt obcesowy. — Jak pana żona, i jak dzieciak się chowa? — zapytałam przypominając sobie jakieś strzępy autobiograficznych zwierzeń malarza, świeżo rok przedtem upieczonego ojca.

— Oj, profę pani, jeft gowej — westchnął.

— A co się stało? — zapytałam z kolei ja.

— Pamięta pani mowe — rzekł malarz rozkładając pędzle na stole — we w weflým roku waczynałem w nią mieć trudnoffi?

Nie, nie pamiętałam, ale z uprzejmości odparłam:

— Tak. Pan wspominał.

Regularne rysy twarzy ładnego chłopca zmartwiały w smutku. Odrzucił lśniąca, czarną czuprynę w bok i zaczął tak:

— Wtedy mogłem tylko raf na tydzień. Nie wiem, czy to ona mnie nie pociąga, czy tef w ogóle. Powa domem nie próbowałem, bo jeftem wiewący. Myślałem, we to mowe wyftarczy, ale ona ciągle: „No chodź, no pftytul, mały fpi, teraw by mowna”. Bo, wie pani, my mamy tylko jeden pokój.

Zawstydziłam się, ja bowiem, jak wiadomo, miałam dwa, i byłam jedna, przynajmniej w teorii.

— Pan jest młody — powiedziałam. — Z czasem się pan dorobi i będziecie mieli dwa...

— A więc co ja mówiłem? — przerwał mi malarz, mieszając teraz patykiem w wiaderku jakiś przejrzysty płyn z białą olejną farbą.

— Że jeden pokój — poddałam.

— Nie nie, to nie to — skorygował mnie. — Jeden raf w tygodniu. Otów niech fobie pani wyobrawi, we od pewnego czafu nawet jeden raf w tygodniu nie potrafię i coraf wadziej jeft. To nie moja wina. *C'est* — rzucił z wybuchem — *plus faible que moi*.

Mieszał i mieszał. Patyk kręcił się w kółko. Nareszcie zaczynało się wokół rury działać, ale milczenie, jakie zapadło, wydało mi się nieco żenujące, zwłaszcza że jednocześnie pomyślałam o myszach, które co najmniej trzy razy w tygodniu szurały mi nad głową po nocy.

— To straszne. Co będzie? Jak sobie pan poradzi? — paplałam.

Przestał mieszać, zanurzył pędzel w wiaderku, z którego wyniośle sterczał patyk, gruby, triumfujący, a przystawivszy drabinkę do rury, malarz zaczął pokrywać farbą plamy na suficie.

— Niech pan uważa! — krzyknęłam przerażona. — Rura się chwieje. Może lepiej drabinkę o ścianę oprzeć. Bo mi rura upadnie.

— E, co tam! — machnął pędzlem malarz.

Poczułam kropelkę farby ponad brwią..

— Mówię panu — nalegałam. — Niech pan posłucha! Był Rurolog i orzekł, że to jest wewnętrzne. Że to jest w rurze, i że bardzo groźne, bo wewnętrzne. Rany Boskie, niech pan uważa — wykrzykiwałam histerycznie.

— Mnie tew powiedzieli, we wewnętrzne — podchwycił malarz ze spokojem, ale z drabinki jednak zszedł i przystawił ją do ściany.

— Kto panu to powiedział? — spytałam zaintrygowana, zastanawiając się, jakim sposobem malarz już zdążył wejść w porozumienie z Rurologiem.

— Doradca od Fpraw Fekfualnych — żywo odparł chłopiec.

— Niemożliwe! — zadeklarowałam kategorycznym tonem.

— Ja tew myślałem, we niemożliwe, ale teraw chodzę, i ona tew chodzi — mówił z nadzieją w głosie.

Domyśliłam się wreszcie, że nie o rurę chodzi.

— To znaczy, że chodzicie razem? — zagadnęłam znów z uprzejmym uśmiechem.

— Gdzie tam! — rzucił malarz pogardliwie, widząc że nie rozumiem się na Sprawach Seksualnych. — Ja chodzę do jednego, a ona do drugiego. Bo, widzi pani, ja feplenię. Ona nie. I nie wolno nam fobie nawwajem opowiadać rowmóf, które prowadzimy w nafymi Doradcami.

— To się wydaje logiczne — stwierdziłam z aprobatą, zwłaszcza że coś podobnego wyczytałam w jednym z listów Thais, jakkolwiek nie przypomiinałam sobie, żeby tam była mowa o seplenieniu. Chodziło, być może, o jakiegoś jąkałę, ale („Ty masz kurzą pamięć” — oskarżała mnie Ciocia) nie utrzymałam szczegółów we wspomnieniu, a list, po odpisaniu, wyrzuciłam („Wszystkie suflady zarzucone papierami” — narzekała Ciocia).

Skończywszy sufit malarz zabierał się teraz do wypełnienia szpary w ścianie. W tym celu wyciągnął zza pasa szpachlę.

— Ona tef tak mówiła — ciągnął swoje chłopiec. Był wąski w biodrach, wysoki, i zgrabnie wyglądał obniżając się stopniowo na drabinie. — Ale ja juf teraw wiem, we jak pfeftanę feplenić, to wtedy będę mógł. Albo odwrotnie — dodał po namyśle, przerywając na chwilę robotę. — Jak będę mógł, to pfeftanę feplenić. Bo widzi pani, wfyftko wynika w komplekfu. — Ostatni wyraz wymówił z pewnym trudem, ponieważ do niedawna odnosił go jedynie do gmachów, kamienic i domków, w najlepszym razie także do gruntów, ulic i maszyn. — W komplekfu winy — dodał pouczająco.

— Ależ ja o ścianie, o suficie, o rurze! — zawołałam z udanym oburzeniem, bo w gruncie rzeczy miałam dla malarza, choćby z racji myszy, niemało współczucia.

— No, niech pani fpojwy — odparł. Duma w jego głosie zaprawiona skromnością (wszak był przyzwyczajony do mieszania) wzruszyła mnie. — Całe pęknięcie

jeft wypełnione. Pociągnę jeffe gomlaką, i koniec. Nie będzie wnać, nie będzie wnać.

Pociągnął, a potem, żeby oczyścić pędzle wyjął ze skrzynki puszkę, do której wlał całą zawartość flaszki terpentyny. Tyle materiału i słów zużył, że tym bardziej zdziwiłam się, gdy odmówił zapłaty za robotę.

— E, pani jeft ftałą klientką, a pfy tym i pogadać po ludzku mowna — powiedział serdecznie i ruszył korytarzem, kołyszając się lekko w biodrach.

W to mi graj — pomyślałam. Przecież rezerwy pieniężne miałam skąpe („Wy jesteście rozrzutni” — mówiła Ciocia pod adresem całego mojego pokolenia), a ciągle nie było wiadomo, czy już straciłam posadę, czy też dopiero ją stracę. Do Ośrodka chodziłam coraz niechętniej i rzadziej, jakkolwiek ten mój brak odwagi, lub zgoła tchórzostwo, Ciocia określała mianem przesady. Z drugiej zaś strony nie lubiłam ruszać się z domu: a nuż przyjdzie ten z Grajfrem?

## V

Sine popołudnie 20 grudnia miało się ku końcowi, gdy na kształt korkociąga wkręcałam się po schodach na pierwsze piętro kamienicy. Zmielone na proszek złociste ziarenka pszenicy uchodziły systematycznie z przemoczonej deszczem papierowej torby i wdzierały się na zawsze pod kładzione kluski mego kosztownego perskiego baranka. Niszczył się baranek, zatracił dwumiesięczny pokarm kupiony dla parki kurcząt, również kupionych, ale w przedsięwziętym duchu rozrzutności, uradowana ponadto powrotem do mieszkania, które wobec słoty i mrozu pozorowało jednak jakieś oparcie, myślałam lekkomyślnie, niczym odlegli przodkowie Cioci: pójdź złoto do złota! A ono szło, podczas gdy ptaszki niepokoiły się w pudełku.

Zapalone światła oraz otwarte drzwi do kuchni świadczyły nieomylnie o obecności Cioci. Więc marnując dary Boże wzdłuż korytarza, krzyknęłam z daleka:

— Mróz zelżał. Pada deszcz.

Ciocia, bowiem, lubiła dystans, zwłaszcza w konwersacji, i przyzwyczała mnie do nawoływania z jednego końca mieszkalnej kiszki na drugi. Toteż zdziwiłam się niemało, gdy za całą odpowiedź zaledwie jeden ptaszek natarczywie ćwierknął raz i drugi. Przechodząc koło otwartych drzwi kuchennych rzuciłam zdeformowaną

resztę pszenicy na kredens, a spojrzenie na wygiętą linię rury. Z pudełkiem w ręku zbliżając się już do ujścia korytarza, powtórzyłam nieco ciszej:

— Mróz zelżał. Pada deszcz.

Na co drugi ptaszek pisnął, właśnie gdy wchodziłam do Pokoiku. Smutna, siedząca na kanapie Ciocia zachnęła się lekko.

— Trzeba w końcu zawołać tego z Grajfrem, żeby odchrząknął nareszcie ścianę — rzekłam tak ot, z przyzwyczajenia.

Ciocia ponownie się zachnęła.

— Przesadzasz z tym Grajfrem. W ogóle jesteś mało odporna — powiedziała wcale normalnym tonem.

Było widoczne, że Ciocia chce mi zaimponować posiadaniem jakiegoś konkretnego powodu do zdenerwowania, który gdyby nawet nie był konkretny, nawiązywać mógł, rzecz jasna, tylko do Ludowego Kraju. Więc jak ta złocista zawartość papierowej torby pod wpływem deszczu, tak ja kurczyłam się pod prężeniem nieszczęścia narodowego. Odrzekłam zatem ze skrucą:

— To już wiem — co, niestety, wypadło bezczelnie, bo ptaszki akurat ćwierknęły obydwu.

— Za chwilę będzie drugi telefon — powiedziała z zaafekowaniem niezrażona Ciocia, jak przystało na osobę o wyższych celach, takich jak telefon, i to na dodatek drugi.

— Skąd telefon? — zapytałam wiedząc przecież, że nie od Olgierda, gdyż ani jedno z jego niedoszłych mieszkań nie warte było nawet zachnięcia ze strony Cioci.

— To ja zatelefonowałam, zamówiłam już drugą rozmowę — wyznała Ciocia. — Bardzo cię, Kochanie, przepraszam. Takie masz przeze mnie wydatki — mówiła, a czarny ogon włosów puścił się jej z głowy jak krew z nosa, bo tanie szpilki ze sztucznego szyldkretu, jak zwykle, zawiodły. — Ja się naprawdę staram — zawodziła — żeby taniutko, w Pokoiku, na kanapce i na kościach zawsze barszczyk, nie na mięsie, żeby nie wyrzucać, nie

marnować. Bo ty, Kochanie, tak ciężko pracujesz, ale tu wszyscy ciężko pracują, bo wam warto, jest po co się męczyć, żeby być na swoim.

— Ach, nie, nie — mówiłam zakłopotana. — Ja wcale nie tak ciężko. Tam może trochę zaduchu w Ośrodku i jeden pan chrząka, sekretarka się uśmiecha, ale ciężko nie jest, zwłaszcza, że ostatnio już w ogóle nie tak bardzo. Tyle, że może nie na swoim, bo widzi Ciocia...

— Ależ widzę, lepiej niż ty — przerwała. — Wy sobie nie zdajecie sprawy.

To „wy”, będące aluzją do stanów zbiorowych, uspokoiło mnie poniekąd, jako że z Ciocinym uniwersalizmem zaczynałam już sobie radzić.

— Ale ja cię narażam na wydatki — powróciła jednak do poprzedniej sprawy. — U nas takie rzeczy nie mają znaczenia, bo my i tak jesteśmy nędzarzami, ale tu... Już drugi raz telefonuję dziś do Warszawy.

— To nic — skwitowałam misterium. — Zawsze lepiej dwa razy niż raz; raz telefonować, to za mało, bo przecież: co tanie, to drogie.

Tak bardzo przy tym starałam się nie myśleć o rachunku telefonicznym, że właśnie o nim w małoduszności mojej zachodniej myślałam. Co by na to powiedzieli przodkowie Cioci, strach pomyśleć! Myśli, jak myśli, odrywają się najczęściej od sposobu bycia i wędrują tam, gdzie nie potrzeba, przodkowie zaś leżą w grobie i rzadko kiedy zmieniają poglądy.

Myśl o przodkach — nie tych lekkomyślnych z sumiastym wąsem, których jeśli nie Tatarzy na krzywych szablach, to z czasem Żydzi na rudych kołnierzach roznieśli, lecz o tych moich, jednym skokiem zręcznie się z gałęzi na gałąź przeprawiających — nasunęła mi pytanie: czy idąc sobie w futrze i w deszczu wzdłuż prawego brzegu Sekwany, byłabym przystanęła przed wystawą sklepu ze zwierzętami, gdzie miast normalnych okazów skrzeczących papug, tajemniczych wampirów, lub złośliwych chomików, kłębiło się przedświątecznie kilkadzie-

siąt farbowanych na bajeczne kolory czterodniowych piskląt kurzych; czy olśniona ich widokiem byłabym poszła dalej nie bez całego wraz z dzióbkiem i łapkami, wściekle turkusowego kogutka, jego patriotycznie amaranrowej małżonki i pożywienia dla tej pieszczącej pary, gdybym miała zwyczaj czytania gazet? Może, aczkolwiek tanie rozczulenie i wybuchy zgapaciałej mowy, jakie we mnie wzniciła niedorzeczność rozpięta na krągłych, swojskich kształtach zachłannych kurnikowych natur, cokolwiek infantylne, jeszcze niczego nie przesądzą. Ale ja gazet nie czytuję, a szkoda, bo przydają się do wypychania rozmokłych, jak wtedy, deszczem butów lub do wykładania kuchennej posadzki w słotny, jak ten właśnie, dzień. Potem, garbiąc plecy przed dymiącą filiżanką, można odczytywać z podłogi szczegóły dotyczące radosnej manifestacji urządzonej z okazji przybycia do stolicy na konferencję aprobacyjno-dezaprobacyjną syna bogatego ludożercy, prezydenta jeszcze jednej pospolitej rzeczy czarnej, który na trybunie, ubrany w świeżo naprędce uszyte chorągwie koloru mojej kurki i mojego kogutka, tylko patrzeć jak łypie białkami na otaczające go ciała, ukrywając pod atramentową powłoką chęć wgryzienia się mocnymi kłami w co smakowitsze dygnitarskie udo; można dowiedzieć się o nowo odkrytych błędach w błędzącym zawsze szkolnictwie; o sześcioprocentowej zwwyżce cen na wołowinę i dwuprocentowej podwyżce płac dla pracowników zatrudnionych w komunikacji miejskiej, ale tylko na najniższym szczeblu; lub na przedostatniej stronie dziennika — bo co kogo we Francji może obchodzić życie kilkunastu Polaków, jeśli nawet obok nich wyzionęło ducha dwóch Belgów, nie mówiąc o jednym Niemcu, i to zaledwie demokratycznym? — można znaleźć opis katastrofy samolotu pasażerskiego linii LOT, lecącego z Brukseli przez Berlin do Warszawy. Katastrofy, w której zabili się wszyscy.

Co też zdarzyło się Cioci, która rozkoszowała się w kuchni lekturą wolnej prasy zachodniej, tym bardziej, że



Totuś, załatwiwszy pewne sprawy dotyczące prasy odwrotnej, w ten dzień właśnie miał opuścić Berlin i udać się do Warszawy z zameczkiem błyskawicznym dla żony, papierem marmurkowym dla szwagra, introligatora-amatora, i z czymś tam jeszcze dla siebie, bo dzieci nie mieli.

Nie, na katastrofę samolotową nie byłam przygotowana. Takie rzeczy się nie zdarzają — rozmyślałam zdejmując zasypane złotym proszkiem futro, pachnące jesienią oborą, i z miejsca wyrzucając do kosza przeżarte słota buty, teraz dopiero zdjęte ze sponiewieranych nóg. — A jeśli się zdarzają — rozważałam — przeżywa się je w blasku słońca, dyskretnie sączącego matowe światło poprzez chmurki muslinu, który strzeże szerokie okna z widokiem na piękno; przeżywa się je siedząc w głębokim fotelu wytwornego salonu, z nogą założoną na nogę, z chusteczką przy nosie, ani kapiącym, ani lśniącym, lecz ponętym jak nos w kinie, a nie stercząc na chudym stołku, bez butów, bez Grajfra, w drżącej klitce, gdzie oprócz jej samej nie sposób niczego przeżywać, bo zagraża jej wszystko, począwszy od kapuśniakowej pogody malującej po kątach trwałe plamy kształtu Australii, a skończywszy... nie, wcale nawet nie skończywszy.

— Totuś żyje — rzuciła Ciocia ostatkiem tchu osoby co najmniej rannej, ale wiernej zasadzie przodków: „nie dać się!” Świadczyła tym sposobem o niezłomnej swej woli. Niemniej wstała, skwapliwie wyciągnęła z kosza moje buty i schowała je szybko pod kanapę, przegniłe ale włoskie, przegrane ale własne.

— Żyje? Odratowali go? — krzyknęłam ochoczo.

— Nie — westchnęła Ciocia zboląła, siadając. — Pojechał pociągiem.

— No, to całe szczęście — zawyrokowałam i przyjąłam postawę wyczekującą, sądząc że wypada wysłuchać jeszcze czegoś więcej. I nie omyliłam się.

— Matko święta, jak ja się zdenerwowałam — załżała się Ciocia słabutkim głosem, który po chwili wzmocniła nową koncepcją. — Strach pomyśleć — mówiła wy-

mazując własną osobę wraz z własnym niepokojem — co by też zrobiła ta biedna Tola.

— No właśnie! Ciocia Tola — wtórowałam. — Co by też ona zrobiła?

Teraz dopiero rozumiałam, że Totuś był mężem nie Cioci, lecz Cioci Toli, co dotychczas nie było zupełnie jasne, a czego należało od dawna się domyslać. Cioci zaczęły spływać łzy po policzkach, zaś ptaszki, ciągle jeszcze przebywające w pudełku, znów się, niestety, odezwały.

— Ach — jęczała Ciocia miotając pogardliwe spojżenia w kierunku nietaktownego pudełka — jakież to straszne, te aeroplany. Zabójcze maszyny. Biedna Tola! Cóż by się z nią stało? Ja tak ją kocham.

— Jakaż Ciocia dobra! — rozrzewniłam się. — Jakże oddana swojej siostrze. Biedna Ciocia Tola! — lecz po namyśle dodałam — ale biedna i Ciocia, bo tak się przejmować o szwagra! Tak kochać swoją siostrę! Biedna Ciocia!

I pogłaskałam ją po włosach, a tamtej, tej okrutnej, spokojnie w Warszawie do podarowanego męża się mizdrzącej, zaczęłam brać za złe Ciociny ból, Ciociną trwogę. Niewiele myśląc wyjęłam z szuflady stolika, otwartej — bo Ciocia zawsze otwierała wszystko i nie zamykała nic — flakonik z resztkami Librium i poczęstowałam nim Ciocię. Męczeńsko pozorując odruchowość sięgnęła po pastylkę jak po cukierek do bombonierki i połknęła lekarstwo tak szybko, że gdy zaproponowałam szklankę wody, było już za późno. Ciocia mówiła dalej:

— Nie trzeba wody. Nie jestem przyzwyczajona do takich luksusów. Tak połykam.

I połknęła szybko drugą pastylkę. Ja w międzyczasie bezskutecznie uciszałam ptaszki, aż złowrogie spojżenia Cioci kazały mi wynieść pudełko do kuchni, skąd wróciłam ze szklanką wody. Wszystko zawsze zdawałam się robić za późno. Usiadłam więc cicho na stołku i zaczęłam myśleć; słuchając pochlipywań Cioci, z wolna przypominałam sobie, że przecież Totuś nie zginął, lecz

tylko mógł zginać, że zatem pochlipywania są jedynie tym, co się określa mianem „reakcji nerwowej”, jak gdyby zaiste przyczynowo uzasadniony płacz takową reakcją nie był. W czasie trwania owej reakcji należy odczekać chwilę w skupieniu, możliwie pokornym, i dopiero gdy u nerwowo reagującej proces reagowania sam z siebie zaczyna ustawać, trzeba przyzwać ją nieśmiało z miarowym smutkiem do wesołej rzeczywistości, co też uczyłam:

— Przypominam Cioci, że Totuś pojechał pociągiem i że nic mu się nie stało.

— No tak — odparła. — Zaraz po przeczytaniu w gazecie tej wzmianki zatelefonowałam do Warszawy. Toła mi powiedziała, że pociągiem. Ale naraziłam cię na wydatek.

Jeszcze chlipała, chyba rozmyślnie przemilczając drugie, już zamówione narażenie mnie. Spytałam zatem chłodniej:

— A teraz do kogo Ciocia telefonuje do Warszawy?

— Ach, przepraszam cię, Kochanie! Takie masz przeze mnie wydatki — rozszłochała się znowu, pomna swej Krajowej bezdewizowości. — Naprawdę ja się tak staram, żeby taniutko. Ale ty nie rozumiesz. Takie zdenerwowanie! Trzeba sprawdzić, że nie ma zdenerwowania. Rozumiesz?

— Przecież Ciocia zawsze mówi, że ja nie rozumiem — powiedziałam w przypływie rozgoryczenia. — Więc skąd nagle miałabym rozumieć?

I z tego całego nie rozumienia wstałam, a ponieważ w Pokoju zadzwonił telefon, skorzystałam z okazji i zostawiłam Ciocię w Pokoiku.

— *Halo?*

Nic.

— *Halo?*

Nic, ale Ciocia przyskoczyła usiłując wyrwać mi słuchawkę z ręki.

— ... zaraz po ślubie cywilnym — słyszę w telefonie i mówię bezdusznie:

— *Halo?*

— Zaraz, zaraz — słyszę ponownie ten sam chłopięcy głos. — Po ślubie cywilnym. — Po chwili znowu: — Mamusiu, powiedz Tatusiowi, że Halyna... — a dalej nic.

— Jakaś pomyłka — szepnęłam do Cioci podając jej słuchawkę. — Włączył się kto inny.

— Jeszcze gotowi to policzyć jako naszą rozmowę. Ja ich znam, ale ja ci oddam pieniądze. W każdym razie trzeba reklamować — gaworzyła Ciocia oburzona, a dalej już: — *Halo? Halo?* — wreszcie: — *Haalo!* — znacznie głośniej i z akcentem na pierwszej zgłosce, co jak niektórzy sądzą, zawsze pomaga. Postukała kilkakrotnie w widelki i odłożyła słuchawkę, złamana.

Ja czekałam na dalszy ciąg reakcji nerwowej, jakby przeczuwając, że na niej rzecz skończyć się nie może. I słusznie, choć obok samej rzeczy, skończyło się również wszystko inne: telefon wkrótce ponownie zadzwonił, Ciocia odpowiedziała i osunęła się z miejsca na podłogę, a słuchawka znalazła się znów przy moim uchu.

— A więc jednak wrócił samolotem — powtórzyłam jedno ze zdań, które łagodny kobiecy głos skandował z głuchej oddali, a które jeszcze przede mną powtarzało, i wierniej, i właściwiej, telefoniczne echo, ten nieodłączny, jak twierdziła Ciocia, objaw Krajowego podsłuchu. Być może zresztą, że objaw podsłuchu, i że Krajowego, ale mnie już co innego chodziło po głowie. Z tłum możliwości wybrałam powtórzenie jeszcze jednego zdania: „Pogrzeb w sobotę”. A potem już nie wiem, co było, zanim po raz pierwszy sama nie włączyłam się w rozmowę okrzykiem:

— Ach Totuś, Totuś nie żyje!

I odłożyłam słuchawkę. Jeszcze tak niedawno — myślałam tarzając się u nóg Cioci na ziemi — nie dawniej jak w listopadzie, pisał Totuś ciekącym długopisem Kra-

jowego wyrobu: „... rozumiem te ciągoty, ale do czegoż służą pończochy w kratkę na odcinku naszej twardej rzeczywistości? Gdzie te czasy! Grzybów nie wysłałem, gdyż załęgły się w nich mole. Ale chyba tam u was lepsze się dostaje w tych sklepach, które mi opisujesz. Zatelefonuję za dwa tygodnie w poniedziałek po biurze. Nie smuć się: *i na naszej ulice będzie prazdnik*, jak mówił nieboszyk tow. Stalin...” Totuś zatelefonował w ów poniedziałek, ale co mu z tego wszystkiego przyszło?

— Pogrzeb w sobotę, Ciociu — szepnęłam, gdy stwierdziwszy, że leżę na podłodze z głową wśród Cioci zdartych Paryżem obcasów, zawstydzona, podniosłam najpierw siebie, potem nagle Ciocię. — Trzeba się spieszyć, bo pogrzeb w sobotę. Jeszcze Ciocia zdąży. Ja Ciocię zapakuję. Na przerobienie Babcinych gronostajów już czasu nie starczy, ale ten kapelusik kupimy, co go Ciocia tak podziwiała. A może teraz zbyt fikuśny? — głądziłam rozglądając się po Pokoju w poszukiwaniu czegoś, co jeszcze mogłam powiedzieć. — A może wody? — dodałam, gdy wzrok mój padł na przyniesioną przedtem szklankę, w której na ściankach osiadły już bańki powietrza.

Usadowiona na tapczanie Ciocia dopiero teraz rozszlochała się na dobre; wtuliła twarz w dłonie i podskakiwała rytmicznie, poruszana skowytem, jakim najczęściej bywa płacz dorosłych.

Zrobiło mi się jej żal i co za tym idzie — siebie wstyd. Bo kiedy ktoś w mojej obecności tak obficie płacze, a mnie przy najlepszych chęciach jednak się nie chce, wówczas stać mnie już tylko na wstyd, wstyd, zresztą, wtórny i nie obowiązujący na dłuższą metę. Wstyd dlatego, że czynności nasze są źle zsynchronizowane, że krzątamy się wokół wydarzenia jak wokół osi, każde z nas swojej własnej, a wiadomo, choćby z uprzednio opisanego układu, że osi bywają także poziome. Albo więc załkać donośnie, albo zmusić drugą stronę do zaprzestania. To już może lepiej wybrać pierwsze, bo tu taka porządna osoba, z dziurą w sercu wielkości stuwattowej

żarówki, a do tego jeszcze ptaszki ćwierkają w pudełku, wskazując jakoś niejasno na moją winę za całą tę przykrość. Odwróciwszy wzrok od własnej ręki zaczęłam nią wodzić sumiennie po kruczych splotach płaczącej głowy, a Ciocia cała spowita była w porządność jak w suknię, trochę niemodną, lecz z dobrej pochodzącą firmy. I mimo to nie umiałam zadośćuczynić mojej dopiero co powziętej decyzji: czy moje trwały w nieczułości. Co zrobić? Może przemówić! Wszak spojrzenie nie łatwiej rozplywa się od słów. Przybierając, tak jak umiałam najściślej, owe pielęgniarские tony, których łagodność tyleż pychy co li-tości wnosi do reżyserii, usiłowałam dostroić moje kondolencje do dawnych — jakże już dawnych! — do tych głaszczących a cichych ukojeń grajfirowych Cioci, podawanych z pobłażliwością świadczącą o tym, że w Ludowym Kraju nie takie rzeczy się widziało. Więc patrząc w przestrzeń smutno i roztropnie, robiłam wrażenie świadomej wielu konsekwencji, jakie za sobą pociąga przyjsie na świat człowieka. Mówiłam:

— Już Ciocia po powrocie tak zrobi, żeby jak najmniej bolało. Już ja Ciocię znam. Już Ciocia pocieszy, tak jak mnie z tymi myszami. Bo Ciocia ma taki talent do pocieszania, taki dar — zaryzykowałam — od Boga. Niech Ciocia pomyśli: ja sądziłam, że to co innego, ale Ciocia nie mogła spać, Ciocia jedna! I właśnie Ciocia rozumiała, i Cioci uwierzyłam, zaufałam. O, proszę patrzeć, jeszcze łapka stoi pod tapczanem. No, niech Ciocia spoj-rzy, uśmiechnie się. No! No! Bo Ciocia jest taka dobra, kochana, taka porządna!

Zamierzony cel został osiągnięty: wymowa, jak było przewidziane, trysnęła na Pokój łzami z mych oczu wpa-trzonych w dal. Z miejsca przestały mnie też razić szloch-y Cioci, wzmożone powyższym przemówieniem; mogłam się schylić i już bez zażenowania, porzucając (wraz z czyn-nością głaskania jej głowy) i smutek, i roztropność, i zna-jomość życia, przytulić się twarzą do jej twarzy, tak że nie było wiadomym, czyje łzy na czyją twarz kapią. Bło-

goślawiona chwila! Przecież byłabym jeszcze przynajmniej raz wspomniała o dobroci, może po dziś dzień bym tak stała, brązowniczo, hołdowniczo głaszcząc i piała o porządności, gdyby nie własne łyzy, to znaczy, gdyby mnie one nie tknęły, że to może za dużo, zbyt rześście, nie-taktownie. Wszystko jednak i tak ma swój kres: Ciocia nagle miast nowe łyzy ronić, zaczęła stare połykać, zwolna przy tym prostując pochyloną dotychczas głowę oraz zgarbiony dotychczas korpus, jedno i drugie nadal co prawda spowite, bo jeszcze, jeszcze ciągle Ciocia była porządna, jeszcze chwileczkę, sekundę zaledwie... aż tu raptem:

— Ależ ja nie wrócę — powiedziała w przyptywającym teraz błyskawicznie olśnieniu, podczas gdy otwierały się na niej zatrzaski, pękały pętelki, pryskały guziki. — Ja nie mam po co wracać.

Szwy spruły się do ostatniego. Tocząc się wartko w dół, spadła z Cioci porządność; głowa, już jurna, wyprostowała się na dobre ponad karkiem. Oderwałam twarz od jej twarzy i gorączkowo poczęłam rozglądać się za dopiero co gdzieś na podłodze wałęsającą się cnotą.

— Straciłam już wszystko — szepnęła Ciocia mając na myśli co innego, zatem niwecząc moje zabiegi.

Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego Totuś zawsze telefonował z poczty. Cierpiętnictwo! Ładny mi podsłuch! To introligator jest mężem. A ona? Łapkami na myszy mnie chciała ociocić. Teraz z kolei wstydziłam się swego łzawego współczucia tak dalece, że nawet po chwili weń wierzyć przestałam: widocznie dałam się Cioci zasugerować, niczym ta głuchoniema suka u moich dziadków w górach, która, wtórując swemu rozszczekanemu towarzyszkowi li tylko ruchem pyska łapiącego powietrze, obnażonymi kłami i ciałem szarpiącym się wściekle na łańcuchu, myślała, że jej także głos z krtani wychodzi. Iluż to wiejskich włóczęgów wprowadziły w błąd czarnookie i zapchłone owczarki podhalańskie mojego dzieciństwa! A ja tu w Paryżu poddawałam się coraz żywшему gniewowi, choć na myśl o jego skutkach czułam, że ule-

gam mu zbyt pochopnie. Przecież to drobiazg — łągałam sama sobie. — To był zwykły przypadek, po prostu katastrofa samolotowa. Przecież gdyby nie ona, gdyby nie defekt w silniku, niedopieszczenie jednej drobnej śrubki, wynikłej, kto wie, z roztargnienia zakochanego inżyniera lub z niedobranego małżeństwa podrzędnego mechanika, wszystko byłoby nadal w porządku: Ciocia — zacna, ja — nieodporna.

Zadecydowałam więc odwrót z dopiero co przyjętych pozycji. Rozejrzałam się znów po podłodze, zrazu rozłożyłam ręce, ale coś tam jednak spostrzegłam, więc do roboty! W chwalebnym chyba wysiłku pracy u podstaw zaczynałam od dessous'ów, i dalej podawać Cioci podwiązki, pończochy. Niech się ubiera, bo dosyć tego dobrego. Nie wypada siedzieć w negliżu, zwłaszcza jej. Mało tego: słowami również usiłowałam zagrywać racjonalnie.

— Ależ Ciociu — krztusiłam — niech Ciocia sobie przypomni, co mi zawsze mówiła: że jest rzeczywistość, nasza rzeczywistość, to znaczy wasza rzeczywistość. Za nią przecież Totuś złożył życie w ofierze. A jeśli nie rzeczywistość, to przynajmniej Tola, biedna Tola, którą Ciocia tak kocha, która Cioci potrzebuje teraz. A jeśli nie Tola, to ostatecznie mąż — ciągnęłam bezwzględnie, próbując tym sposobem jeszcze ją przekonać, żeby wszystko pozbierała i spowiła się na nowo; udawałam przy tym, że nie dosłyszałam; sugerowałam, że można się jeszcze wycofać lub w najgorszym razie przeskoczyć, a ja przyrzeknę, że jeśli mimo wszystko dosłyszałam, to zapomnę, ale, niestety, już nie śmiałam Toli nazwać Ciocią, a ponieważ, jak gdyby na potwierdzenie nieodwracalności wypadków, jeden z ptaszków nagle w kuchni zatrzepotał z wrzaskiem, stanęłam twardo po stronie tamtej. Tolę pocieszyć! Tolę pogłaskać po włosach! Jeszcze w myśli co prawda wyrzucałam zieloną kanapkę i kupowałam wygodny tapczan dla mającej u mnie pozostać na zawsze Cioci, a żeby zrobić miejsce dla jej rosnącego zbioru flakoników i słoików przeciw torbom, fałdom, kurzym



łapkomi, przeciw przekrwieniom, porom, zmorom, opróżniałam, również w myśli, jeszcze jedną półeczkę w łazience. Niemniej wiedziałam już na pewno, że nie ma zgody, że koniec z myszkami, z kwiatkami, kłapa z monogramami i barszczem, zrywam z eciem i peciem, nonsens Kochanie, do kosza szantaż, kizi mizi na podwórze, do kubłów, które z takim łoskotem wypróżniają co dzień o świecie francuscy urzędnicy państwowi, na śmietnik nasz biedny Kraj... Teraz wojna!



Wojna — to łatwo powiedzieć. W kilka dni zaledwie po opisanych wyżej wypadkach stać mnie było już tylko na potępienie wszystkich chwil mojego życia, nie tylko tych, które po przyjeździe Cioci nastąpiły, ale i tych — a było tego sporo — które go poprzedziły. Istnienie wydało mi się tak opresyjne, że na ulicy, przy huku rozjuszonego wichru, żałowałam, że spadające gzymsy, fragmenty dachów, okiennice wraz z klamkami i szybami — jedna nawet z całym, do niedawna jeszcze pokazującym język dzieckiem — nie we mnie mkną na targ po kalafior trafiały, tylko zawsze obok.

## VI

Rozdrażnione tymi wydarzeniami powietrze jak histeryczna kobieta to pieniało się czupurnym wichrem, to znów stawało nagle w mroźnym bezruchu. Ciocia przyzwyczajona co prawda do niższych, bo Krajowych, temperatur, a przebywająca ponadto w półoficjalnej żałobie, pozwoliła Bożemu Narodzeniu przebiec niezauważenie, czego, zresztą, nie omieszkła zauważyć.

— Nie pójde nawet na pasterkę — żaliła się. — Pierwszy raz w życiu mi się to zdarza.

Spojrzałam niechętnie na stojące bezładnie w zlewie nie umyte z obiadu naczynia i wstałam ostentacyjnie od kuchennego stołu.

— Nie. Co ja mówię? Nie pierwszy — opamiętała się Ciocia. — Pamiętam w pierwszym roku okupacji...

— Też był straszny mróz — wtrąciłam.

— Skąd ty to wiesz? — spytała Ciocia zaskoczona.

— Wiem, bo i mnie było zimno, zwłaszcza że w górach. Z przedwojennych kamaszy wyrosłam i nie można było kupić nowych. Suczka zdechła właśnie wtedy, chyba od mrozu, ale i tak była głuchoniema.

— Ej, co wy tam możecie pamiętać? Dzieci! — zapłonęła Ciocia. — U nas na wsi była obława i Totusia aresztowali. Tola poszła na pasterkę. Ja nie! — dodała z męczeńską dumą. — Nie byłam w stanie. — Zaczęła

liczyć na palcach. — A może to była druga zima wojenna. — I rozpłakała się.

— Druga, Ciociu, na pewno druga — podchwyciłam, ale w gruncie rzeczy nie chciało mi się jej pocieszać i zajęłam się naczyniem.

Ona pobiegła raptem do Pokoiku, wyciągnęła spod kanapki walizki, w których zaczęła rozgrzebywać nie wiadomo co. Poszłam więc do Ośrodka pełna nadziei, lecz gdy wróciłam pod wieczór, zastałam Ciocię w dalszym ciągu zajętą rozgrzebywaniem w walizkach. Uznałam zatem zajęcie to za wyzute, niestety, z pierwiastków nadziejotwórczych i zabrałam się do robienia kolacji, na wszelki wypadek postnej.

— Daj pokój — burknęła, gdy w przystępie odświętności, a z braku kwiatów, do których (co tu się dziwić?) Ciocia nie miała głowy, postawiłam dla dekoracji parkę kurcząt w koszyku na naszym wigilijnym stole w Pokoiku. Wydierały się do lampy myśląc, że to słońko świeci. Ćwierkaniu nie było końca, ale Ciocia nie ożywiła się wcale.

Dopiero zaproszenie na Sylwestra, otrzymane nazytuz pocztą, wyrwało Ciocię z rozgoryczenia.

— Pójdziemy — wyrzekła ochotco, przewracając w dłoni karton naśladowujący paletę z dziurą na kciuk, pokryty wesołymi, kolorowymi napisami. — Jestem przesadna: trzeba powitać Nowy Rok. — I rozpłakała się.

W sylwestrowy wieczór, gdy Ciocia wystrojona już w opływającą na biodrach jasną szatę, ściągała przed lustrem nabrzmiałe policzki i z wklęsłych ust robiła dziób, zadzwonił telefon.

— Nie kupiłem tamtego mieszkania — mówił Olgierd.

— A to szkoda — odrzekłam. — Wydawało się takie dobre!

— Zabrakło mi jednego miliona. Ale teraz trafia mi się inne. Mam je zobaczyć zaraz po Nowym Roku.

— Daj Boże! — odparłam i dodałam: — Idziesz na Sylwestra?

— Pójdę po prostu do Loni, bo co mam robić? A ty?

— Mnie, a raczej nas — poprawiłam się — zaprosił ten malarz, ten, no wiesz który...

— Tak. Świetny pomysł! — powtórzył Olgierd. — To pozdrów go ode mnie.

— Dziękuję, na pewno pozdrowię. No to szczęśliwego Nowego Roku.

Gdy wyszłam z Pokoju, Ciocia przerzucała znów walizki, które teraz już całymi dniami stały otwarte przed kanapką.

— Co narzucić? — dogadywała.

Telefon, przywykły widać do ponowności, zadzwonił.

— Wiesz co? — mówił Olgierd głosem, któremu usiłował nadać ton przypadkowości. — Rozmyśliłem się. Nie pozdrawiaj go.

— Kogo? — spytałam. „Po co on się przejmuje? Przecież i tak nigdy nikomu pozdrowień się nie oddaje”.

— No, tego malarza.

— Dobrze, dobrze. Bądź spokojny.

Ciocia niezdecydowanym ruchem wyjęła z jednej walizki jakiś baniasty kołnierz z soboli, zarzuciła go sobie na dekolt. Opatulone ponadto w futrzane płaszcze, poszłyśmy na przyjęcie tak wcześnie, że Gospodarz mógł sam się zająć ściąganiem z Cioci popielic, a ze mnie karakulów.

— Jakież zaszczyt! Mamy gościa spoza Żelaznej Kurtyny — mówił łapiąc Ciocię za obie ręce, by szybko przedstawić ją kilku starszym paniom, które podobnie jak my przyszły za wcześnie.

Za wysokim barem rozciągającym się półkoliście przy wieszakach Gospodarz otwierał — bez huku, światowo — pierwszą flaszkę szampana. Nie opodał stał długi korpus męski na krótkich nogach i opowiadał rosłej brunecie coś, co z takim samym gestem i grymasem opowia-

dał innym. Sprzedawał tanio, mimo że bruneta, będąc Wenezuelką, i to, oczywiście, młodą (inne nie pokazują się zimą w Europie), mogła sobie na wiele pozwolić i kupowała wszystko: od pejzażyków brzegów Sekwany do pejzażyków umęczonych dusz błakających się na tychże brzegach. Byłabym jej i mój sprzedawała, byłabym wykorzystywała jej niejasne ciążoty do jakichś tam ciążot, do lęków niemal metafizycznych, do rodzących się buntów, być może społecznych — wszystko wypisane wzdłuż oczka puszczonego na złotawej pończosze — gdyby nie moje lenistwo. Wciągnąć ją? Nie wciągnąć? Rzucić nieznacznie kilka strategicznie dobranych wyrazów zalatujących niepokojąco Ludowym Krajem: historia sztuki, towarzyszo, cybernetyka, ławizna? Czy też wysłuchać jej dotychczasowej sumy wzruszeń w postaci narzeczonego, który książką pt. *Cztery sumienia* — złożoną z następujących rozdziałów: sumienie wenezuelskie, sumienie łacińsko-amerykańskie, sumienie ogólnoamerykańskie, sumienie ogólnoswiatowe — zdobywał rozgrzeszenie dla swoich przedsiębiorczych rodziców, wzbogaconych migiem, podobnie jak rodzice brunety, na ziemi naftą i nudą płynącej. Narieczony pozostał w ojczyźnie i zaczynał podobno *Sumienia* od końca, a ja, bojąc się końca Wenezuelki w Paryżu, postanowiłam już tylko słuchać, choć wkrótce zwierzenia wyczerpały się. Długi korpus komu innemu z kolei opowiadał to samo, bruneta przywarła do ściany z tą swoją kruchą wenezuelską młodością. Złocisty blask jej pończochy załamywał się na spuszczonej oczku. I tak ją sobie zapamiętałam.

Gości napływało już teraz sporo, a w miarę powolnego mijania ostatnich kwadransów zgrzybiałego naszego roku zaczęli się sypać hurtownie. Przybyłych wcześniej traktowano bezlitośnie, i mnie dostało się kilka kopniaków. W niszy pod antresolą odetchnęłam na widok intelektualistów leżących na tapczanach i wrzucających niedopałki do puszek po farbach. Nie byłabym zniosła jeszcze jednego Sylwestra przesiedzianego na osiemnasto-

wiecznych mebelkach; dziś, ostatecznie, stoją już podobne w poczekalni każdego dentysty, podczas gdy my wzruszamy się secesyjnymi. Uciekłabym z przyjęcia, na którym gospodarze raczą starannie dobranych gości już tylko muzyką oratoryjną Bacha i wyjątkami z „Opery za trzy grosze”.

Tu rej wodziła lumpenburżuazja i na szczęście buczał Czajkowski, którego, zresztą, jakiś młodzik bez okularów usiłował przekrzyczeć lekturą z *Nędzników*; wymachiwał przy tym oprawnym egzemplarzem przed krótkim nosem wolnej Amerykanki, która, znajomość świata i ludzi poruczając Shakespeare'owi, wołała powtarzać z uśmiechem *how different is man from man*, miast sama coś nowego wymyślić.

Tutaj, nareszcie, wypróbowałam obronę metodą zaczerpniętą z kawiarni GOOD LUCK. Mój emigracyjny status sprawił, że uczyniłam to nieudolnie, trochę nieśmiało, ale wysiłku nie szczędziłam. Szkoda, że nie mogli mnie obserwować Futur, i Glec, i z chorym zębem Macio, kiedy z zapałem klarowałam, że wszystko w życiu jest bzdurą, zrazu murzynowi z Ameryki, który w języku włoskim pisywał nowele, ale stale mieszkał w Montpellier; potem demonicznej Gaby w czerwonych pończochach, która z dumą twierdziła, że jest kobietą na wskroś złą i namawiała mnie, żebym wobec tego stuliła pysk i wyrywała gdzie pieprz rośnie; łysemu pantoflarzowi z ciężkiego przemysłu, który młodą aczkolwiek znudzoną żonę nazywał *darling*, a znał jeszcze prócz tego trzy słowa po angielsku, razem o cztery więcej, niż ona; w końcu nawet samemu Gospodarzowi, którym zachwyciała się Ciocia, dlatego że nie był snobem i nie nosił brody, choć jakby mu się tak bliżej przyjrzeć, to jakąś tam, bardzo skromną, przecież miał. Ale Ciocia nie przypatrywała się bliżej nikomu.

W zabawie uczestniczyli także ci, którzy pod pozorem, że na Sylwestry się nie chodzi — bo kto słyszał, żeby się bawić na rozkaz Grzegorza XIII? — dali się

jednak tym razem (jak co roku) zaciągnąć. Snuli się teraz po pracowni patrząc z góry na odbijającą w tym tłumie parę poetów — grubą babę z świetlistym beretem na głowie i byłego jej męża, obecnie kochanka, znacznie młodszego od niej człowieka z świetlistym krawatem u szyi. Ogłaszali swe tomiki prywatnie w nakładach nie przekraczających dziewięćdziesięciu egzemplarzy.

Wszystko oglądałam, podziwiałam bogactwo doznań, zazdrościłam wyszukanej psychiczności, apoteozowałam pokrewieństwo dusz tak silne, że aż podobieństwem zdało się, studiując z aprobatą amerykańskie szczegóły. A potem jacyś durnie oskarżają mnie o antyamerykańskie sentymenty. Cóż za nonsens! Ujął mnie szczególnie tokański nowelista nowojorskiego chowu w niszy pod antresolą. Przy każdym słynnym nazwisku, jakie nieznacznie padało z tapczanów, niczym ciała zbyt ciasno na nich ułożonych gości, stukał w blat niskiego stolika, aż dzwoniły kieliszki, i pohukując dźwięcznym basem uzupełniał wywód imieniem, falując przy tym od śmiechu. Samuel, Jean-Paul i Albert, a nawet dawniejsze, bo Franz i Fiodor, ba — Emanuel i Ernst Theodor Amadeus, nie mówiąc o Wiktorze odczytywanym, jak się rzekło, na głos — spadały czarną pięścią na stół jak pieczęć na wyrok. Tak oto wśród wybuchów śmiechu egzaminował Murzyn swą murzyńską pamięć z chwytności historii białej cywilizacji i podobał mi się bardzo.

Ponadto w niszy pod antresolą, nad mozołnie na poduszkach ułożonymi głowami, wisały na grubych, wykrzywionych gwoździach palety oblepione farbą, głównie białą. (Czyste palety też były, ale używane jedynie jako tacki do roznoszenia kieliszków z szampanem). Na przeciwległej ścianie, wysokiej i zakurzonej, przypominały o sercu i źródłu, o źródle i powadze, o znoju i jestestwie naszej geometrycznej epoki trzy ogromne białe obrazy: na pierwszym od lewej strony przebiegał mniej więcej poprzez środek łuk w kształcie i kolorach tęczy — więc może tęcza; na drugim tenże łuk widniał znacznie wy-

żej, bliżej prawego rogu, zatem widocznej jego części było już mniej, niewidocznej należało się domyślać z podziwem. Nie darmo rzekł poeta, że słodką jest muzyka, którą słyszymy, lecz słodsza jest ta, której nie słyszymy. Na trzecim obrazie już tylko niepozorna kropka w samym rogu na górze potwierdziła moje zapatrywania — bo przecież zawsze byłam zdania, że najlepiej jest nic nie robić, albo w każdym razie bardzo mało. Kropka w dodatku dowodziła wzorowej ewolucji odbywającej się nieustannie w artyźmie naszego Gospodarza, który nawet w sylwestrowy wieczór uwijał się z paletą dokoła kciuka.

— A wie pan, że wszystko jest przemożną bzdurą, nieskończonym bezsensem? — zapytałam go.

— Ach tak? — powiedział — Ach tak? Nie wiedziałem.

W pośpiechu chwycił mnie za rękę i pociągnął ku masywnemu człowiekowi głaszczącemu się po krawacie i tak wymuskanemu, że wachał swój własny zapach i nie dopuszczał, aby do jego nosa docierał jakikolwiek inny. Masywny stał i wachał, i tak zajęty był wachaniem, że Gospodarza opuściło względem niego poczucie obowiązku pana domu, przegonił mnie dalej i przedstawił niejakię Złotoustę z brwiami wygiętymi odwrotnie, z którą gąski pasalam od lat. Wszyscy w pobliżu, łącznie z Gospodarzem, roześmiali się głośno, albowiem nie masz lepszego dowcipu nad przedstawianie sobie wzajemnie osób, które od dawna się znają.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekłam z powagą, równie nieszczerą jak chichy, którymi parskała ona. Te, zawstydzone i niepotrzebne, wkrótce osiadły na uśmiechu, z którym Złotousta dodała: — Zmieniłaś fryzurę.

Po jednej i drugiej stronie Żelaznej Kurtyny kobiety wymawiają te słowa z lekkim wyrzutem, jak gdyby same od czasu do czasu nie poddawały się fryzjerskiemu narcyzmowi, po czym szybko usiłują poprawić wrażenie pochwałą nowej kreacji. Tymczasem, wiadomo że każde nowe uczesanie uważa się za śliczne, pomstując przy tym



nieodmiennie na stare, które też kiedyś było nowe i śliczne. Jeżeli w braku nowej fryzury zaczepienie konwersacyjne utyka, można zawsze sobie poradzić mało angażującym komplementem: „Świetnie wyglądasz!”

Złotousta dysponowała godnymi zachodniego sklepu spożywczego zasobami i wyczerpawszy fryzurę, której przyjrzała się z tyłu oraz z obu boków, ponieważ były niesymetryczne, nie tylko zwróciła rozmowę na mój bardziej zasadniczy wygląd, ale by podkreślić zasługi Cio-cynych zabiegów domowych, zahamowała w biegu i zapewniła mnie:

— Wyglądasz znacznie lepiej.

— Lepiej? — zaniepokoiłam się.

— Lepiej, niż ostatnim razem. Wtedy — pochyliła się konfidencjonalnie — muszę przyznać, że byłaś bardzo mizerna. Nie chciałam ci sprawiać przykrości, dlatego nic ci nie powiedziałam. Wtedy też grali Czajkowskiego — nalegała Złotousta.

— Piotr Iljicz! — huknął Murzyn w głębi nisz. Jęknęły kieliszki, wśród nich także mój, pozostawiony chwilę przedtem na stoliku.

Skierowałam swe kroki ku kieliszkowi, lecz po drodze przyskoczył do mnie czteronożny stwór dwugłowy, szczerzący podwójnie zęby, wyciągający poczwórnie ręce. On i Ona. Oni! Małżeństwo! MY! Zrośnięci biodrami, skuci łokciami, przywarci do siebie, sklejeni, zesnuci poprzez fibrony, hemoroidy, wody porodowe, poprzez głowa mnie boli, spłacony dług i młodość się kończy, poprzez skocz do apteki, nie czekaj z kolacją, podrap mnie pod łopatką, nie tu, trochę wyżej. Żalił się kiedyś On, że co tydzień musi chodzić na zastrzyk przeciwalergiczny, bo w domu kurz, na który jest uczulony, Jej zaś nie chce się sprzątać. Więc kichał, ale potem wszystko zakrzepło. Dlatego wzrok ich padał zawsze balistycznie: z wnętrza na zewnątrz, przy czym wewnątrz ogrodzone było płotem misternie plecionym z odpadków współżycia, pod którym

leżały nie pogrzebane, rozkładające się trupy ciekawości i odwagi.

— Ja jestem figuratywny — kłaniał się Jej i Jemu brunet z wąsikiem.

— Tak tak — mówili. — Bardzo się nam podoba.

— A mój przyjaciel jest półfiguratywny — zachęcał brunet wskazując na brunecika bez wąsa, który także zaczął się kłaniać.

— Też nam się podoba — uśmiechali się pilnie na zewnątrz.

— A nasz kolega, o ten tam, co wymachuje rękami, jest abstrakcyjny — rozpałał się figuratywny.

— O? Co to, to nie! — rzekli MY sznurując usta.  
— To nam się nie podoba. — Dwie głowy wykonały nagły ruch przeczący.

Figuratywny opowiadał mi nieco później smutną historię swego zęba mądrości. W ogóle zauważyłam, że ludzie chętnie opisują koleje swych zębów mądrości, rzadko kiedy z *happy end*'em. Przestałam słuchać; zdjęta naturalną potrzebą, jęłam wzrokiem, niby od niechcienia, szukać drzwi. Nie mogłam sobie co prawda konkretnie uzmysłować chwili wejścia do pracowni — zdążyła mi Ciocia wtedy jedynie przypomnieć, żebym Gospodarza od Olgierda nie pozdrawiała, co spełniłam, po czym Ciocia rozpierzchła się — ale to wejście mogło się odbyć tylko za pomocą drzwi, chyba że, jak wszystko inne na świecie, także było iluzją, chyba że rzeczywiście całe życie jest snem. Ale jakim cudem mogliśmy wszyscy znaleźć się w pracowni, jeśli nie posiadała ona drzwi?

Nie dawałam za wygraną: puściłam się na przełaj od niszy poprzez spiętrzone ciała. Później kluczyłam wzdłuż ewolucyjnych wyobrażeń trzykrotnej tęczy, może nie tęczy, i znów zawracałam. Wypadło mi wśród tych wędrówek zabłądzić do środka innej, mniejszej niszy. Była tu niegdyś sadzawka, ale podobno raz ktoś do niej wpadł i szybko ją potem zasypano. Do czego prowadzą postępy

snobilizacji! Na ścianie mniejszej niszy wisiła teraz białoczarna fotografia „Frasobliwego anioła” Ernesta Barla-cha, na podłodze zaś, w miejscu gdzie przedtem pływały tropikalne ryby i sunęły niepokalane nenufary, siedział kot. Koty, jak wiadomo, należy wielbić za ich niezawisłość i zamykanie do higieny, za ich cynizm, egoizm i sadyzm. Natomiast, nie wolno lubić psów, gdyż niemądra ich zależność od człowieka uczy nas wiary w ród ludzki — sentyment niehigieniczny — zaś je same skazuje na neurasteniczne poczucie winy. A w Europie, rozumie się, neurastenia jest obecnie niemodna — to dobre dla robotników lub w najlepszym razie dla Amerykanów — my współcześnie uznajemy tylko krzepę.

I trzeba trafiać, abym z takimi refleksjami wychodziła z mniejszej niszy, omal zapominając o potrzebie, która mnie aż tam zagnała, i abym wychodząc potknęła się o tego, którego sobie wyśniłam, wymarzyłam, tego, który zastąpić mi miał wszystko, dać zapomnienie, wybaczenie, uzasadnienie i cel, tylko dlatego że był na przyjęciu jedynym mężczyzną, który, jako mężczyzna, spodobał mi się troszkę. Jedno spojrzenie, jeden gest i już ręka jego powędrowała do wewnętrznej kieszeni marynarki, a moja do torebki; wyciągaliśmy nerwowo notesy adresowe. Po chwili drżącymi palcami pisałam chaotycznie nazwę ulicy, moją nazwę, numer łuszczącej się kamienicy; rysowałam krzywo i niespokojnie kontury pierwszego podwórka i drugiego; „pierwsze piętro” — gryzmoliłam, podczas gdy on swoje pisał. Jeszcze spojrzenie, jeszcze gest, i już wiedzieliśmy, że mamy czas, dużo czasu, życie całe, które będzie snem, więc po co zdradzać przed tym obojętnym tłumem kielkujące nasze uczucie? Zostawić, niech podchodzi, niech hoduje nadzieję wzruszeń — zarezerwowane na później jak stolik, zamówione na wieczność jak grób. Toteż o północy, w ciemności, przy chwackich okrzykach na cześć nieubłagane dochodzącego do skutku 1963-go roku, jak wszystkie brzemienne w projekty, jak wszystkie nowego, kto inny rozpląszczał mi twarz spierzchnięty-

mi od dymu i wina wargami, kto inny wbijał mi palec pod łopatkę i pomaszerował dalej.

— Pani pozwoli, że złożę pani jak najserdeczniejsze życzenia szczęścia, zdrowia, pomyślności w Nowym Roku — kłaniał się przede mną uniżenie jeszcze kto inny, starszy pan w binoklach, gdy zapalono w pracowni światła.

W tej chwili spostrzegłam Ciocię. Stała z dala od niszy, a rozmarzenie jej oblicza miało na celu rewindykację porządności. „Nie ma głupich” — myślałam — „budzać to my...” — jakkolwiek w rezultacie, od chwili utraty porządności, Ciocia wywoływała u mnie najczęściej reakcje infantylne, które, swoją drogą, wzmagaly się i utrwały również poprzez moje rozćwierkane rozmowy domowe z piskletami:

— Umyć nóżkę kulce? O tak, no już się nie lepi kupecka, tak lepiej. A kogutek, cio to? Od maciochy? No chodź, kogutku, łapki myć, no chodź, ty małe, śliczne, tulkusowe!

Tak przeszkolona stanęłam przed Ciocią z prostotą i rzekłam:

— Ciociu! Siusiu!

Ciocia nie dosłyszała. Patrzyłam w jej twarz usianą zmarszczkami i myślałam, że godniej mieć już wszystko za sobą, na podobieństwo tych wąskich warg wpadających w głąb ust jak krater. Moje własne usta, opęczniałe późną młodością, nie umiały się wytłumaczyć ze swej nieuzasadnionej wybuchowości. Ciocia, natomiast, wedle zwyczaju nie przypatrując się bliżej nikomu, rozmawiała swobodnie z wysokim Francuzem o szpakowatych skroniach, zastąpionym niebawem przez kłaniającego się pana w binoklach, który aż tutaj zawędrował z tym swoim:

— Pozwoli pani, że złożę pani jak najserdeczniejsze życzenia szczęścia, zdrowia, pomyślności...

— Pomyślności? — przerwała Ciocia. — *Oh là là!* Cóż to za życzenie dla nas, którzy jesteśmy *les nouveaux pauvres!*

Uchodząc w naszym biednym Kraju za osobę o pierwszorzędnej znajomości francuszczyzny, nie zawsze mogła sobie pozwolić — choć tym razem jej się udało — na wyrażenie tego, co czuje lub myśli naprawdę. Dlatego niekiedy zadowalała się formowaniem myśli ni przypiętych ni przyłatanych, lecz prawidłowych pod względem gramatycznej formy i tradycją uświęconego użytku. — *Oh là là!* — dorzucała do woli.

Wysłuchana we własne popisy językowe uroniła Ciocia, na szczęście, kilka uwag o dobrodziejstwach płynących z komunizmu dla pewnych zacofanych europejskich krajów. Uwag wypowiedianych, zresztą, francuszczyzną bardziej wątpliwą od Ciocinej. Z pobłażaniem mrużyła oczy na łysego Tebańczyka, któremu świeciła się tłusta cera, kiedy wspominał komunistyczny swój udział w walce przeciw greckiemu królowi. Miał w owym bohaterским okresie głowę pokrytą kędzierzawą czupryną oraz wują, który potem przed represjami zwycięskiego rządu schronił się do Jeleniej Góry i posyła stamtąd do tej pory paczki z konserwami mięsnymi swej żonie w Salaminie. Myśl Cioci pobiegła do Jeleniej Góry, ale nie zabawiwszy tam długo, wróciła skwapliwie na swoje miejsce.

— A żona pana? — rzuciła badając brokatowy ubiór szczupłej niewiasty o grubych okularach, krzywo opartych na podstawce rysiego nosa.

— Amerykanka! Mieszkamy obecnie w Hiszpanii, ponieważ Natalie nie lubi swojego kraju. Tam biją Murzynów i popierali antykomunistyczną akcję w Grecji — wyrecytował łysy. — Ale proszę mi powiedzieć, czy jest jakaś różnica między polskim językiem a rosyjskim?

— Nie, nie ma żadnej — odrzekła Ciocia z goryczą — oprócz tej, że polski znam, a rosyjskiego nie znam i nie chcę znać.

Tymczasem, chłopaczek z wielkim aparatem fotograficznym uwiązany na szyi podchodził ku nam wolno, zdejmując po drodze gęsto i równomiernie wszystkie sylwestrowe widoki. I naszą grupę łapał w obiektyw z

rozlicznych nachyleń, to krzywiąc głowę, to znów ją prostując, podskakując żywo raz w przód, raz w tył. Nie domyślaliśmy się oczywiście, że w aparacie nie ma żadnego filmu i że chłopaczek nie pokaże się więcej; w najlepsze stroiliśmy miny do fotografii, udając przy tym, że wcale ich nie stroimy, tylko że przeciwnie, one już dawno ustroiły nas. A tu pstryk, pstryk — bez amunicji, jak w działaniach wojennych na niby. Szkoda, bo Wymarzony nieznacznie się wsunął w pole widzenia aparatu, a jest się tą sentymentalną smarkulą, co to bez listów i zasuszonych fiołków, bez tego właśnie rogu na tej ulicy i ukochanej plamy z koniaku na jasnym fotelu, a nade wszystko bez fotografii... ani rusz.

Za to chłopaczek ruszył ze swym aparatem, pstrykając już teraz wśród dalszych obiektów, podczas gdy zakatarzony młodzian w welurach podszedł do Cioci i do mnie, machając pomietą chustką do nosa. Malarz ten, ponoć podrealista, kichał i siąkał, kaszlał i płakał, ale w końcu wydobył spoza siebie znikomą damę koloru lilowego, a z siebie kilka słów zagajenia:

— Pani jest Rosjanką.

Rosjanki w Paryżu — ba, na całym Zachodzie — mają nieodmiennie sześćdziesiąt lat, i ta nie różniła się od swych rodaczek. Jeszcze tak niedawno — rozważałam w duchu — miały wszystkie po pięćdziesiąt. Boże, jak ten czas leci! Pamiętam taką jedną, z którą wspólnie czekałam raz na windę w Ministerstwie Pracy. Kiedy po długim czekaniu gnuśna winda nadeszła i trzęsąc się jeszcze chwilę w miejscu stanęła przed nami jak wryta, pani weszła do niej stukając majestatycznym parasolem i, zasunawszy mi przed nosem żelazną kratę, rzekła z prawosławnym akcentem: „Sama pojedę!” Winda, stękając, posunęła z wysiłkiem na siódme piętro, unosząc znieważoną damę w siódme niebo ideologicznego wygnania, gdzie otrzymała pozwolenie na jeszcze pięć lat roznoszenia tacek z dymiącymi kotletami „à la Pojarski” przy akompaniamencie bałajek.

— Słyszałam, że wy z Polski — powiedziała znikoma dama podając Cioci rękę, którą tydzień przedtem krajała kapustę na świąteczne pierogi, a teraz Ciocine serce.

Ciocia westchnęła i opuściła głowę.

— Wy przyjechali w Paryż Jewropu uczyć się! — podjęła znowu znikoma dama z poczuciem nie tyle wta-  
jemniczenia, ile wyższości.

Ciocia skoczyła jak ukąszona.

— Ależ ja już byłam, ja już znam sprzed wojny, ja już się dawno nauczyłam — broniła się zawzięcie i roz-  
czuliła mnie mocno tą swoją przedwojenną legitymacją europejską, którą oglądał kto chciał, a przeważnie mało kto chciał. — Mój mąż był tutaj na placówce przez trzy lata. Mieszkalam przy rue La Fontaine — ciągnęła Ciocia płaczliwym głosem — tyle lat. Jeszcze stróżka pamięta.

Znikoma dama, zalana tym potokiem, odpłynęła w stronę niszy, skinąwszy głową trzykrotnie na pożegnanie. Zakatarzony, niesympatyczny jak wszyscy zakatarzeni, potoczył się jej śladem, ale Ciocia nieustraszenie krzyczała za nimi:

— Byłam u tej stróżki i ona płakała na widok moich popielic, tych samych co wtedy, pożółkłych i nie prze-  
robionych.

Popielice straciły blask, sobole wyleniały podobnie jak międzywojenna efemeryda, na której się wykarmiły. Przyparci do muru byliśmy lepsi już tylko od Rumunów, ale ta nasza lepszość ówczesna — to nasz dzisiejszy charakter, to nasz zdziesiątkowany wdzięk, to prostota postawy współczesnych westchnień i postękiwań, pewności, że coś jest szlachetne, a coś innego szlachetne nie jest. Nasz okup — to nasza fantazja dawnych konsumentów, a ratowani przez pocziwą Rumunię, ufaliśmy jednak czasowi, z którym przy zdwojonej fantazji, upartej dobroci, wezwalibyśmy na ratunek jeszcze kilka innych krajów, gdyby (niestety) nie wybuchła wojna. I to, zdaje się, nazywaliśmy dorobkiem. Przetrwaliśmy po lasach i sza-

fach, na mrozie i w naftalinie, by potem znów próbować, lecz Europa, jak zwykle niewdzięczna... ale co tu będziemy dużo mówić!

Tak mówiły sobole, które Ciocia szarpała nerwowo, aż zdjęty litością grubawy i niedbale ubrany historyk sztuki otoczył szczupłe ramiona Cioci wraz z sobolami swoim tłustym ramieniem i usiłując ukryć uniwersytecką swą rozedmnę mentalności, ściszył tubalny głos do szeptu.

— Pani ma kompleksy — rzekł naiwnie.

— Ależ nic podobnego! Przecież my nie możemy sobie pozwolić na kompleksy — rzuciła Ciocia swą śpiewkę, odstawiając kieliszek na parapet okna. Spoglądała nań ze smutkiem. — My jesteśmy twardzi.

— Twardzi ludzie mają najwięcej kompleksów — mówił dowolnie, krztusząc się własną inteligencją, historyk. Zaskoczony indagacją, swego twierdzenia na pewno nie potrafiłby uzasadnić. Natomiast, poklepał Ciocię po sobolach i dodał wesoło: — Ech, wcale nie jest tak źle z wami. Mojego kolegę sprzed wojny, krakowskiego profesora estetyki, nawet nie aresztowali w okresie kultu jednostki.

— Tak, ale nie pozwolili mu niczego ogłaszać drukiem do 1956-go roku — wtrąciła Ciocia, ożywiona poczuciem własnej informacji.

— To prawda! Ale nie aresztowali — rzekł historyk z perswazją, co miało zapewne oznaczać, że Polakom i ta łaska losu powinna była wystarczyć.

— Ciociu! Siusiu! — powtórzyłam przerywając rozmowę, która długo jeszcze mogła płynąć jałową swą falą.

Z przerwy, którą stworzyłam, skorzystał starszy pan w binoklach i stanąwszy przed historykiem wyrzekł:

— Pozwoli pan, że złożę panu jak najserdeczniejsze życzenia...

— No, to idź! — odparła Ciocia.

— Kiedy nie ma drzwi!

Ciocia, być może, nie pamiętała, że ja nie lubię, jak nie ma drzwi, a kiedy są, wolę, by były zamknięte, co



Ciocie, przywykłą do rozmachu amfilad, obdarzoną otwartą naturą, chwilami bardzo bolało.

— Przecież weszliśmy tu drzwiami.

— No właśnie!

Ciocia brodą wskazała na obraz przedstawiający trzecie stadium tęczowej podróży, bo palcem się nie pokazuje. Po chwili uchylałam z niedowierzaniem rzekomy obraz, który, rzeczywiście, okazał się wahadłowymi drzwiami, a kropka w górnym rogu muchą, która zresztą odleciała. W drodze powrotnej do pracowni, przechodząc w korytarzu obok wysokiego, zaplamionego lustra, zauważyłam, że z urody mojej, o której co prawda na przyjęciu mało kto co powiedział, nie było już śladu: szklął mi się nos, na czoło wyszły trzy poziome bruzdy. Została tylko sukienka, ładna, choć trzy razy w pościgu za modą skracana.

Wymarzonego już dawno nie było, a zawartość niszzy rozrzedziła się nieco, pozostawiając obecnie tu i ówdzie po kilkanaście centymetrów kwadratowych wolnego miejsca na tapczanach. Przysiadłam na jednym z nich nie siłując się nawet na ukrycie znużenia. Ziewałam w najlepsze nie troszcząc się ani o to, co Ciocia powie, ani o nos, który należało przypudrować.

— Chryste Panie! — szepnęłam machinalnie.

— Jezus — zawołał Murzyn hukając mi gromkim śmiechem w ucho.

Jeszcze raz pan w binoklach skłonił się ze swym serdecznym życzeniem, tym razem przed długim korpusem. Ten, już w płaszczu i szaliku, chwycił go za rękaw i, przekładając mu coś gorliwie ze znanym mi gestem i grymasem, pociągnął go przez artystycznie zakamuflowane drzwi na schody, gdzie i my niebawem potykałyśmy się w ciemności.

— Czy można paniom poświecić? — usłyszałam za plecami kameralny głos, świadczący o dobrym ułożeniu i cierpliwości.

— Załatwiłam ci tego szpakowatego Francuza —

szepnęła mi Ciocia konspiracyjnie. — Bardzo na miejscu.

Na schodach zrobił się półmrok. Zobaczyłam żółty blask latarki kieszonkowej i poczułam przy swoim ramieniu jakieś silne ramię. Wsparta o nie mocno, schodziłam sprawnie w dół.

— Czy można panie odwiedzić do domu? — rzekł kameralny głos, gdy byliśmy już na ulicy.

Po chwili siedzieliśmy w taksówce, Francuz w środku między nami, a szofer Algierczyk z przodu, przygadyjąc poufnie lecz niezrozumiale. Wkrótce zamilkł. Wewnętrzny mój nastrój określałam błogością, stwierdzając przy tym nie bez satysfakcji, że błogość wytwarza się nie pod wpływem szczęścia, lecz, wbrew pozorom, wynika ze stanów emocjonalnie bezdziejowych. W tej to błogości, a nadto w lekkim oparze alkoholu i pozornej zadumie, usłyszałam, że obok mnie ktoś łagodnie gaworzy. Nieco później zaczynałam rozróżniać słowa.

— Ludzie są dobrzy i mili w taki dzień świąteczny — mówił Francuz cicho i równomiernie. — Uśmiechają się jedni do drugich w czułej harmonii.

— Musi pan koniecznie przyjść na kolację — zawtórował głos Cioci. — Bardzo, bardzo pana zapraszamy — nalegała namiętnie.

— Tak tak, to pewne — ciągnął swoje Francuz. — Nowy Rok uwalnia ludzi od złośliwości, niecierpliwości, *la médiocrité, la mesquinerie*.

— Będzie pan musiał wybaczyć obskurną dzielnicę, łuszczącą się kamienicę — klepała Ciocia. — Dawniej mieszkało się w innych. No cóż? Czym chata bogata...

Taksówka stawiała co chwila, a szofer sarkał pod nosem.

— *La joie, la béatitude* — mruczał Francuz zapaśniętą.

Gdyby posłuchał głosu, który mu wtórował i zaproszenie przyjął, wtedy przy blasku świec podałyby Ciocia sześć dań wytwornej kolacji z taką miną, jakby tyleż i

takież co dzień jadła, pomimo dzielnicy i kamienicy. Przepuściłaby tylko świecom, bo o przedwojennych lich-tarzach opowiedziałyby na pewno. Francuz tymczasem usiłował torować sobie drogę do mojego kolana i po-wtarzał łagodnie swoje rzeczowniki żeńskie:

— ... *la clémence, la solidarité, la concorde*.

— Oh nie! — włączył się nagle do rozmowy nasz algierski taksówkarz wprowadzając z kolei trzeci wątek do noworocznej tej recytacji. — Jeszcze nie Concorde, bo taki wściekły ruch na ulicach, takie chamstwo panuje. Każdy chce być pierwszy, nikt nikogo nie przepuszcza. Więc wolno jedziemy — mówił dyszkantem. — Ale światło się zaraz zmieni, to się przedrzemy; przegonimy tych chamów przed nami i za chwilę będziemy już na Concorde.

— Tak tak, to pewne. Ludzie są lepsi, ludzkość łaskawsza — rozpływał się Francuz błyskając szpakowatymi skroniami.

Wreszcie złapał mnie za kolano, a ja zastanawiając się, co też Francuz drugą ręką robi, drgnęłam, tak że było słychać w zaległej niepostrzeżenie ciszy. Ale Ciocia, zawsze z dystansem, nie dosłyszała.

— Pan przyjdzie — kwiliła, gdy zajeżdżaliśmy przed łuszczącą się fasadę. — Pan przyjdzie *chez nous*. To taka nieładna brama, ale... — zawahała się, a potem już z wdziękiem — ... ale pan nie zapomni, pan zadzwoni pomimo wszystko.

Na to „pomimo wszystko” zamknęłam oczy. On z kolei drgnął, kolano puścił i zaczął płacić. Skończyła się *la clémence*, zwiędła *la solidarité*, zamierała żeńskość. W reakcji na zaproszenie, stojąc już na chodniku przed otwartymi drzwiczkami taksówki, do której zamierzał z powrotem wsiąść, kłaniał się, dziękował, pocałował w rękę. Jednocześnie twierdząc, że tak, że może, może na pewno, sięgnął *pomimo wszystko* znacząco po rzeczownik męski (i wtedy wiedziałam, że wszystko przepadło), *le plaisir*, który rzekomo odczuwał, a który ze znamien-

nym trudem przyjdzie mu ukrywać, gdy spotka go zaszczyt wyróżnienia tak dostojnym zaproszeniem i tak dalej, bardzo malownicze i tak dalej, nadzwyczaj pasjonujące, pomimo wszystko.

— Ach! Ach! — krzyknęła Ciocia. Para wychodząca z jej ust mieszała się zalotnie z parą Francuza, do której i ja, rozziwiana, dorzucałam kłębami swoją.

Rozebrana, lekko obwisła i mocno szczotkująca swe bujne włosy, Ciocia mówiła siedząc potem na swojej kanapie w ciemnym mieszkaniu, gdzie znowu spaliła się stopka.

— Widzisz, tacy Francuzi mi się podobają. Tacy byli, gdy mieszkalam na rue La Fontaine. Ach! Ach!

Spojrzałam na jej kolano. Ach! Ach! gdyby kolano mogło przemówić! Błyskało co chwilę, nieme, przez otwór w szlafroku, a mówiła tylko Ciocia.

— Zobaczysz, że zadzwoni. To są świetnie wychowani ludzie. Ja się na tym znam.

— A jeśli nie zadzwoni — zapewniałam ją — to nie będzie winą Cioci. Przecież go Ciocia tak prosiła, błagała, prawie na kolanach. Ja, zresztą, też na kolanach, to znaczy na kolanie; chciałam powiedzieć kolanami, kolaniem, coś tam... — zrobiłam dwuznaczny ruch ręką — mnie w kolano, a raczej za kolano. Rozumie Ciocia?

Właściwie, co rozumiała Ciocia? Dokąd wędrowały jej myśli, tak dzielnie zakrzątnięte wokół mojej przyszłości, skoro z własnej zaczynały rezygnować, przynajmniej na odcinku Rzeczywistości? Jakiż atawizm zaprzętał jej ambicję, podczas gdy czarne pukle, wyzwolone z plastikowych szpilek i grzebieni, przerzucane szczotką to w lewo, to w prawo, najeżone suchym porankiem, naelektryzowane noworocznym mrozem, ciskały iskry w kierunku mrocznego ruroskłonu?

— Ciociu, ten Francuz jest erotomanem — starałam się Ciocię ostrzec, zapalając jednocześnie wyjętą z szuflady świeczkę, którą tam zawsze obok proszków uspokajających trzymałam w pogotowiu.

Ciocia odrzuciła włosy na plecy gestem oburzenia.

— Co to znaczy erotoman? *Explique-moi*, bardzo proszę — rzekła urażona z udanym zaciekawieniem, ponieważ w jej pokoleniu to się inaczej nazywało.

— Erotomani — zaczęłam — erotomani, *mon Dieu*, zachowują się jak, no jak by to Cioci powiedzieć, no jak pederasci. I odwrotnie: pederasci zachowują się jak...

— Cóż ty wygadujesz? — wybuchnęła Ciocia.

No, i co? Jakże Cioci wytłumaczyć, że w garsonierach tych panów nie ma ani jednego krzesła, tylko same kanapy, na których leżą stopy poduszek różnych kształtów i w rozmaitych formacjach. Trzydzieści flaszek alkoholu stoi rzędami w barze pod gramofonem, z którego wydobywa się Schütz, Vivaldi, Rameau i Mozart (Wolfgang Amadeus), ale ten już od biedy. W pokoju oświetlonym od dołu trzeba od razu się położyć lub pozostać w pozycji stojącej, a sypialniana wnęka jak ołtarz, ku któremu reszta pomieszczenia zmierza, spoczywa na podwyższeniu i wytapetowana jest lustrami. Na klamce drzwi łazienki wisi długa zamszowa rękawiczka damska, oczywiście czarna. Lokator, miękki i roztkliwiony, bardzo delikatnie i z unizonym pokłonem, podaje stojącej lub leżącej kieliszek, po czym przystępuje do mówienia komplementów, bo — słyszy Ciocia? — są jeszcze mężczyźni mówiący komplementy. W kalendarzyku zapisuje sobie daty tajemniczych niedyspozycji swych rozlicznych gości po to, by układając pieczołowicie spotkania na miesiąc z góry każdą noc mieć zapewnioną. Tym sposobem, wesołym i beztróskim, choć wiele czasu zabierającym, panowie ci sami wciągają się w rytm obrotów ciał niebieskich, a biorąc ciała w obroty pożądają innych coraz żarliwiej.

Na myśl o kalendarzyku wyciągnęłam z torebki swój i chroniąc się pod skrzydła własnej, bardziej od Cioci-nej realnej nadziei, zajrzałam do drugiej jego części, zawierającej alfabetyczny indeks adresowy. Przy furkającym świetle syczącej świecy rozwiąła mi się przed oczy-

ma owa nadzieja, gdy pod literą „W” zamiast adresu Wymarzonego, skreślonego jego drogą ręką, znalazłam własne me pismo, nazwisko i adres wraz z koślawym rysunkiem podwórzy prowadzących do przybytku pękających rur. W gwałtownej emocji cudownego spotkania, czyżbyśmy zapomnieli wymienić notesy i w swoich własnych umiejscowili dla każdego z nas widocznie nie dość samotną własną topografię. Czyżby?

Życie poszło dalej, bo nie umiało inaczej, a szpakowaty Francuz ani nie przyszedł, ani nie zadzwonił *chez nous*, bo prawdopodobnie zapomniał. Pomimo wszystko.

## VII

Zapomniałam i ja. Pod koniec lutego raz jeszcze pewnej nocy wspomniałam, choćby dla kontrastu, noworoczną przejażdżkę taksówką, a to dlatego, że zachorował kogutek. Turkusowe piórka poprzylepiały mu się żałośnie do drżącego i jakby nagle skurzonego korpusu; słał się na łapkach mytych przeze mnie co dzień, padał dziobem naprzód uderzając się raz po raz o metalowe pręty kojca. Nie ćwierkał i nie opierał się, jak dawniej, moim pieszczotom, szczebioty zaś odbierał z żalem w rozgorączkowanym oku i tylko w sercu krył jeszcze obojętność.

— Może weterynarza? — bąknęłam do powracającej z odczytu Cioci, wskazując jej dramat rozgrywający się na łodówce.

— Może — zainteresowała się Ciocia.

I na tym sprawa została zawieszona. Tymczasem kurka, której amarantowa krasa do niedawna nadawała wygląd prowincjonalnej sentymentalistki, zdradzała teraz — niczym nowoczesna kobieta — całkowity brak zrozumienia dla niemocy swego towarzysza: deptała mu po łapkach, popychała dziobem bezradny korpusik, bezwstydnie zdrowa i pękata. Rano siedziały już zgodnie na żerdzi, kogucik jak byczek, kurka jak gdyby nigdy nic — rozświergotana parka, nieświadoma miłości, która jest skarbem, i młodości, która przemija.

— Zlikwiduję je nieodwołalnie w piątek — mówiłam wieczorem do Olgierda — a rosół, którego się po nich spodziewałeś, można, ostatecznie, zjeść u Zylberberga. Co prawda moi sąsiedzi...

Nie zdążyłam: Olgierd mówił już o nowym mieszkaniu, podczas gdy Ciocia nawoływała z Pokoiku:

— Grzaneczki stygną, Kochanie!

Likwidacja kurek w niczym nie przypominała innych likwidacji, namiętnie praktykowanych w dzieciństwie a w późniejszym wieku wstydliwie przemilczanych, czasem nawet przed samą sobą. Skrzydełka i nóżki muchom wyrzywałam, lanie szereg razy sprawiałam bez przyczyny łażącemu się potulnie owczarkowi. Wstyd! A budka ślimaka, oko kukułki, piórko u tyrolskiego kapelusza głównego trenera polskich skoczków narciarskich — wszystko ofiary otrzymanej w darze od Basi procy. Nieładnie! No, i ta pchła złapana pośród sutek suczki, wpuszczona do makowej główki przez otwór specjalnie wydrążony śrubką, potem szczelnie żywicą zaklejony. Teraz żal!

Otóż po prostu odniosłam ptaszki z powrotem do sklepu, gdzie za okupem, przywozącym na myśl wiano wpłacane przy oddawaniu córki do klasztoru, przyjęto je na dalsze wychowanie. Wkroczyły do kurnika z śmiertelnie obrażoną miną, o tyle większe i lepsze od swych nie sprzedanych przed Świętami współczesnych, że te spozierały na nie obecnie z podziwem. „Życie jest snem” — powiedział w analogicznych okolicznościach pewien hiszpański książę, nieświadom głupstwa, które popełnia podszuwając się pod polskie obywatelstwo. Ja, natomiast, mówiłam po powrocie do domu:

— Wśród swoich będzie im lepiej.

Niestety, Ciocia na widok pustego kojca jednak załała się łzami. Dzień 20-go grudnia stanął jej żywo przed oczyma; nie omieszkała wyrazić słowami tego procesu podświadomych skojarzeń, co z kolei wprowało mnie w stan zakłopotania, podobny wszystkim stanom prowokowanym u mnie potokami Ciocinyh łez.



Zważywszy, iż tego samego dnia Ciocia zdarła ostatnią parę butów, a ta była kupiona na styczniowych wyprzedazach,

— bo wasze buty mają tak delikatną skórę, bo przewidziane są dla pań, co to z auta wprost do lokalu i z domu do auta, w aucie, autem się cenią;

zważywszy, iż znów stłukła jajka wywijając siatką w wąskiej klatce schodowej,

— bo wasze jaja mają tak delikatną skórę, bo przewidziane są dla pań, co to kuchtę po jajka, żeby z nimi jak z jajkiem, a jak nie, to na kuchtę, kuchcie, o kuchtę krzyk;

zważywszy, iż toruńskie pierniczki, wysłane jeszcze przez Totusia na Gwiazdkę, teraz dopiero nadeszły, twarde i pokruszone w nieforemnym pudełku, odartym ze znaczków pocztowych i pogniecionym,

— bo nasze pierniki są takie stare, bo...

... zważywszy powyższe, los zawyrokował, iż:

*po pierwsze*, w przeciągu jednej doby rozboli mnie ząb, i to nie byle jaki, bo *prima molaris*;

*po wtóre*, w przeciągu dwóch dób wybrzuszenie rury znów się posunie na tyle, żeby było słycać trzeszczenie, już nie tylko po nocach, a pęknięcie ściany znów stanie się widoczne.

— Stawi się, stawi na pewno — mówił zaalarmowany telefonicznie Rurolog. — Jutro między piątą a szóstą. Proszę czekać.

— Ależ panie, życie stamtąd uchodzi — nalegałam dla większego efektu.

— Tak tak. Między piątą a szóstą — zapewniał mnie Rurolog, a że przez telefon wszystko zawsze brzmi bardziej przekonywująco, byłam dobrej myśli.

Na domiar, jeden z przyjaciół Olgierda (skąd go znał, Olgierd nie powiedział) był dentystą tak doskonałym, że i bez zdjęcia roentgenologicznego umiał dokładnie określić istotę wewnętrznego rozkładu, nie tylko takiego, który objawia się bólem, ale nawet innego, zazwyczaj

groźniejszego, który bólem wcale się nie objawia. Z miejsca mnie pocieszył, oczywiście także przez telefon.

— Jeśli boli, to dobrze — powiedział. — Ale ja jestem bardzo zajęty.

I zamówił mnie nazajutrz na piątą. Ciocia co prawda przyrzekła solennie, że oczekiwanie Grajfra weźmie na siebie, niemniej z nieufnością:

— A jaki to stomatolog, Kochanie? — zapytała.

Nie na wszystkie pytania Cioci umiałam odpowiadać. Zresztą, wchodziłam obecnie w nową fazę: i ząb się naprawi, i rurę. Ta ostatnia sprawa zdawała się nawet zyskiwać na pierwszej. Wierzyłam bowiem, jak zawsze w porywach optymizmu, że działając poza mną Grajfer prześliźnie się gładziej, trudność rozwieje się sama, a ja wrócę niejako do gotowego. Było to coś z gatunku wiary w cuda, krzewionej nie bez pomocy drobnych oszustw. Jak wycygać od wypadków łaskę? Bardzo prosto: wmówiwszy im, że własną myślą przebywa się poza ich obrębem, w nagrodę za tę stoicką postawę żądać od nich samorządnego wyprostowania się. Wprawdzie Ciocia, której raz wyłuszczyłam tę chytrą moją życiową technikę (była wtedy zresztą mowa o czym innym, co ze względu na swój babski charakter nie nadaje się do przytoczenia), wprowadziła do argumentu, oczywiście przeciwnego, i Daladiera, i Chamberlaina, i Strusia. Nie porozumiałyśmy się, ponieważ niewiele wiedziałam o tych panach.

— Jak można nie czytać gazet? — kwiliła Ciocia.

Okazuje się jednak, że wszystko można. Można, na przykład, usiąść w dentystycznym fotelu, rozdziawić usta i czekać, aż lekarz nachyli się, zajrzy do środka wpychając między szczęki przyrząd zakończony ostrym hakiem, potem cofnie się nagle jak oparzony, złapie za głowę, wykrzywi usta i zacznie płakać.

Podawałam mu papierową serwetkę, którą na początku on mnie wepchnął do ręki.

— Dziękuję — powiedział, potem ocierał oczy. — Otworzyć szerzej, proszę — rzekł po chwili.

Dentysta obracał mi teraz głowę to w prawo, to w lewo.

— Zamknąć, ale zostawić otwarte — komenderował. Spełniłam rozkaz.

— Ten sam zgryz. Ten sam siekacz — zaczął skandować dentysta, spokojniejszy nieco, choć widoczne było, że tłumi zdenerwowanie. — Odsłonięcie górnego kła i spadek. Niesłychane! — krzyknął. Pożgał kilkakrotnie w głębi u góry, uderzając przy tym, niestety, w *prima molaris dolorosa*. — Ustawienie zębów mądrości. W ogóle cały łuk szczęk, zwłaszcza górnej. Identyczne! — zawołał.

Czułam, że stało się coś niekorzystnego dla mojego cierpiącego zęba, ale trudno było odgadnąć, z której strony tym razem spadnie nieszczęście. Dentysta żgał obecnie na drugim krańcu szczęki u dołu, sięgając zęba mądrości. Odetchnęłam.

— Fatalne, prawda? — szepnęłam, gdy wysunął mi przyrząd spomiędzy warg. Lampa świecąca mi w oczy z bliska sprawiała, że mrugałam.

Zanim uderzył w ponowny szloch, zdążył jeszcze zgasić lampę. Przestałam mrugać i obserwowałam dentystę w skupieniu. Jedną ręką zakrył oczy, drugą opierał się o poręcz fotela, a ciałem jego wstrząsały spazmy. Ileż to łez, nie swoich, wyzwałam w ostatnich czasach? Zbyt często sprawiałam komuś przykrość, domyślając się jednak nieśmiało, że na tym chyba polega ratowanie siebie samej. W wypadku dentysty, natomiast, czułam się zupełnie niewinna, a przy tym cierpiąca. Toteż bezzwłocznie poczucie niesprawiedliwości zaczęło najeżdżać na tereny zaintrygowania. W międzyczasie dentysta usiadł na wysokim taborecie tuż obok mnie, a patrząc mi w oczy, znów nieco spokojniejszy, zapytał:

— Czy pani też pochodzi z środkowej Europy?

— Też — odparłam potulnie. — Ja wiem, że to źle...

— Z miejsca się domyśliłem — przerwał mi zapalczywie. Był dumny i robił teraz wrażenie człowieka szczęśliwego. — Ha ha ha — zaśmiał się, po czym kilka łez spłynęło mu znów po policzkach. Był w średnim wieku, pucułowaty, łzy rozlewały mu się niesymetrycznie po szczecinie niedbale ogolonej brody. — Niech pani sama osądzi — wyrzekł z pewną pedanterią i rączy zeskoczył z taboretu.

Przez kilka minut jego nieobecności zdążyłam pomarzyć o tym, co jednocześnie działo się w domu („Będzie dobrze, będzie dobrze” — szeptało mi coś radośnie do ucha), i o tym, co było przedtem, o środkowej Europie, o mnie w niej i poza nią („Będzie źle, będzie źle” — szeptało). Jeden z trzech korzeni chorego zęba wdarł się pod oko wężykiem ostrego bólu; w dziąsle zapulsowało. Dentysta stał przede mną z zaczerwienionymi białkami wielkich popielatych oczu i z pożółkłym gipsowym odlewem dwóch szczęk złączonych po bokach metalowymi zawiasami. Pokłapał owymi szczękami kilkakrotnie, delikatnie uderzając dolną o górną. Tak kłapią szczęki odpustowych pajaców na sznurku, lalek brzuchomówców i jeszcze czyichś, o których dawno temu była mowa, nie pamiętam ani kiedy, ani gdzie.

— Proszę zwrócić uwagę na podobieństwo — mówił podsuwając mi pod oczy odlew. — Mało tego: identyczność!

Patrzyłam na podsuwany mi pod oczy zbyt blisko przedmiot tak, jak się patrzy na pokazywaną fotografię żony, dziecka lub teściowej, domku z ogródkiem, domku bez ogródka, lub widoku z domku na ogródek, tzn. patrzyłam z powierzchowną, grzecznościową aprobatą. Nawet Ciocia uważała, że jestem, jak na moje pokolenie, dosyć dobrze wychowana, „choć wyrzucona z siodła, z niejednego pieca jadałaś”. Oj, jadałam, jadałam, czasem nawet z apetytem, a jeśli tatrzańska *Kinderstube* nie poszła w alpejski las, zawdzięczałam to chyba krótkiemu zaledwie pobytowi w Wengen, po którym szybko po-

chwycił mnie w swe lakierowane paznokcie Paryż. Powiedziała więc z taktownym uśmiechem, znamionującym zaciekawienie, dyletanckie znawstwo, a przede wszystkim życzliwość:

— Bardzo ładne. Od razu widać, że udane, nawet gdy się nie zna. Ileż ekspresji — zaryzykowałam — w tym... w tym... wyszczerzeniu.

— Tak pani sądzi? — podniecił się dentysta z całym widoczną satysfakcją, ale rychło zabrał się do wyjaśniania szczegółów i prawił dalej rzeczowo: — Niech pani spojrzy na podstawę kła — mówił szybko z wesołym uśmiechem na obliczu otartym z łez. — Górne kły ustawione płasko, szeroko, z dużym odsłonięciem. — Kłapnął. — A tu siekacz pierwszy górny, lewa.

Spojrzałam przez omyłkę na siekacz dentysty, ale on prędko chwycił mnie za palec wskazujący i przytknął go do gipsowego odlewu.

— Nie nie nie. Tu tu tu. Proszę zaobserwować — kłapał gorliwie — lekkie cofnięcie, trzy ćwierci milimetra zaledwie. Jest! — zawołał triumfalnie, z ukosa podglądając moje usta, znowu zamknięte i otwarte zarazem. — To niecodzienne podobieństwo! A łuk szczęk! Niech pani spojrzy — wpychał mi do ręki lusterko, w które zaczęłam się wpatrywać, to otwierając, to zamykając usta, szczerząc zęby, żeby dojrzeć linię ustawienia górnych siekaczy i płaskość kłów. Marszczyłam przy tym nos. Byłam ohydna w lusterku, przypuszczalnie także w rzeczywistości (ach, ta nieszczęsna rzeczywistość). Rura objęła krańce mej wyobraźni, podczas gdy entuzjazm dentysty dochodził do zenitu. — Mało tego — krzyczał. — Układ i zgryz!

Znów kłapie. Pajac, brzuchomówca, na rubieżach pamięci ledwie znajoma twarz, jakiś profesor, bodajże sanskrytu — wszystko to razem wyrzuca rurę precz. W machinalnym rezultacie i ja zaczynam rytmicznie kłapać własnymi szczękami.

Ząb boli, a my kłapiemy — ja jednym okiem zerka-

jąc wciąż do lusterka, drugim na szyderczy uśmiech zdo-  
biący teraz twarz dentysty, zaś oczy duszy, niezdolne do  
objęcia całokształtu sytuacji, na razie przezornie zamy-  
kam.

Wtem dentysta rzuca mi odlew na kolana, po czym  
wybiega z gabinetu bocznymi drzwiami, które zostawia  
otwarte. Myśl znów wyrywa się do Cioci, do Grajfra,  
do domu, gdzie, być może, rozstrzygnęła się ta część  
przyszłości środkowej Europy, która ze mną była zwią-  
zana. O zachodniej nie mówię.

— Mamusiu — słyszę nagle głos przebijający się  
przez szlochy. — Mamusiu, Mamusiu — dociera coraz  
donośniej — zobaczyłem szczęki Heleny.

W tej samej chwili drzwi zamknęły się cicho i nie  
dosłyszałam reszty. Słabe echa skowytu dochodziły mnie  
jeszcze, gdy dziewczyna w białym czepku i kitlu, zapew-  
ne asystentka, weszła do gabinetu głównymi drzwiami.

— Pan doktor bardzo przeprasza — powiedziała. —  
Pan doktor już dzisiaj nie będzie ordynował.

— To ja przepraszam, bardzo przepraszam, strasznie  
mi przykro — bąkałam wstając niezgrabnie z fotela, któ-  
ry dentysta zapomniał obniżyć. W rękę trzymałam gip-  
sowy odlew, a lusterko odłożyłam na stolik.

— To my przepraszamy — rzekła dziewczyna kła-  
niając się lekko.

— Nie nie, to ja — pospieszyłam z ukłonem nieco  
głębszym.

— Pani wybaczy — odparła asystentka.

— No, oczywiście — zawołałam. — To znaczy, nie  
ma czego. Wręcz przeciwnie. Ja nie chciałam. Bardzo mi  
przykro — bełkocząc zbliżałam się do dziewczyny.

Zdjęłam z szyi serwetkę, którą ode mnie odebrała i  
wrzuciła do kosza na śmieci.

— I to — dodałam wyciągając przed siebie odlew  
szczęk Heleny.

— Ach, dziękuję pani — ucieszyła się. — Mój Boże,  
byłabym zapomniała. To byłoby straszne!

Wzięła przedmiot w dłoń i przykryła go pieczętówką drugą dłonią.

Na schodach wyciągnęłam własne lustro, w którym odbił się mój po proletariacku spuchnięty policzek. Później mówiłam podchodząc do siedzącego w GOOD LUCK Macia:

— Widzisz? I na mnie przyszła kolejka.

— Jęknął Kasprowy Wierch — dorzucił Macio podając mi rękę. — Mnie usunęli zęb mądrości i mam spokój. — Twarz miał jeszcze mniejszą, niż normalnie, chyba z powodu ubytku jednego zęba, nieistotnego, jak utrzymuje mylnie lekkomyślna większość. — Bożolaka? — zasugerował.

— No — odparłam.

— A zresztą, co słysząc? — zapytał Macio, gdy usiadłam.

— No nic — rzekłam. Pierwszy łyk czerwonego wina smakował mi bardzo. — Tam u mnie wszystko jest na dobrej drodze. Ten z Grajfresem był i już chyba poszedł. Pod moją nieobecność.

I wdałam się w dłuższe wywody uprzednio zastosowanej techniki.

— Bardzo słusznie — mówił Macio poważnie. — Ja też już dawno postanowiłem, że nie będę szczęśliwy.

— Dlaczego? — zagadnęłam od niechcenia.

— Bo mi się nie chce. Dlatego! — odparł Macio i zaczął się huśtać na krześle.

— A jeśli czasem nadarza się okazja? — nalegałam.

— To też nie — stwierdził bez namysłu. — Zresztą, nigdy się nie nadarza. Ponadto, wróć chyba do Polski.

— Ty też?

— Jak to też — zawołał Macio. — Czyżby Ciocia...

Nie śmiał wspomnieć Artysty, ponieważ był taktowny. Zresztą, to było — według wyrażenia, którym chętnie posługiwali się bywalcy GOOD LUCK — dawno i nieprawda. Zorientowałam się, że Ciocia stawiała się koz-

łem ofiarnym wszystkich moich rozmów, a w razie potrzeby — również i rozmyślań.

— Ciocia straciła szwagra — powiedziałam wymijająco, ze sztuczną wyniosłością.

— Dziwne — uśmiechnął się Macio sceptycznie. Jego małe oblicze wyrażało skupienie. „O ile łatwiej skupić małą twarz, niż wielką” — myślałam, podczas gdy Macio mówił dalej: — No bo szwagier. Szwagier, to dopiero w dzisiejszych czasach postać zasadnicza. Ale pomyśl: w okresie międzywojennym po każdej skrobance rzucali się na nową książkę Gide’a. Precz z ojcem i matką — podniecał się Macio — precz z domem, rodziną, ojczyzną, religią, a co dopiero ze szwagrem. Pojęcie, o ile w ogóle istniało, to chyba jedynie wśród proletariatu.

Słyszając takie słowo, z miejsca złapałam się za policzek.

— Boli? — zapytał.

Nie odpowiedziałam.

— No, tak. Po trzydziestce — zauważył melancholijnie — zaczynają się różne przypadłości. Nerkowe, nerwowe, zapalenie okostnej. Mój syn tego nie rozumie.

— Moja Ciocia nie ma dzieci — wtrąciłam.

— To normalne — odparł Macio. — Ja bym pewnie też nie miał, gdybym był Ciocią. Tylko ten szwagier mi się nie zgadza.

— Mnie też nie; za to mąż jest introligatorem — powiedziałam wyjaśniająco, choć pod względem struktury społecznej niezupełnie ściśle.

— A, chyba że tak — zgodził się Macio rozkładając ręce.

Zabieraliśmy się do odejścia. Szuranie krzesłami, kelner, rachunek, potem jeszcze pudełko zapalek, torba, rękawiczki, parasol (Gdzie parasol? Ach, nie było parasola!) — pełne ręce roboty.

— Ja ci jednak radzę — powiedział Macio na koniec — żebyś poszła do dentysty.

W kapeluszu, z ledwie zdjętymi popielicami, Ciocia



siedziała w Pokoju przy telefonie, gdy najkrótszą, mimo wszystko, drogą wróciłam pod wieczór do domu. Jedną ręką trzymała przy uchu słuchawkę, drugą gładziła te miejsca na kołnierzu futra, które nie były wytarte, oczami zaś witała mnie wesoło. W mowie jej było tyleż „proszę pani”, ile „proszę panią” — od serca do serca.

— No? — wyrzekłam, jeszcze zanim Ciocia skończyła rozmowę.

— Nie przyszedł, Kochanie — powiedziała ze swobodą, odrywając słuchawkę na chwilę od ucha.

Spojrzałam z wyrzutem na popielice, na kapelusz, na zabłocone czubki przeze mnie niedawno wyrzuconych butów, które znajdowały się na Cioci nogach.

— Nie, proszę panią — mówiła Ciocia znowu do słuchawki. — Właśnie nadeszła moja siostrzenica. Więc do jutra. No to, proszę pani, do widzenia!

Dłoń wraz ze słuchawką opadła na widełki i tam, długa, wąska, z cienkimi palcami, krótko mówiąc — rasowa, pozostawała jeszcze przedmiotem furkoczącego nieco i niespokojnie rozchełstanego, ciemnego spojrzenia Cioci. Drugą ręką Ciocia zdejmowała powoli kapelusz, po czym odrzuciła głowę w tył — to normalne po zdjęciu kapelusza. Jedna szpilka sterczała prosto, druga krzywo. Ciocia w końcu podjęła moje spojrzenie, nie lepsze od własnego, choć siłą rzeczy jaśniejsze (oczy, bowiem, mam bure), spłycone opuchnięciem policzka, na pewno mało efektowne.

— Byłam na poranku w teatrze — powiedziała wreszcie Ciocia. — Darmowy bilet — skuczała. — Przecież nie mam butów — asekurowała się dla równowagi.

— Brak butów i pękająca rura! — zawołałam gniewnie, bo byłam zgorzonna. — Też sobie Ciocia znalazła wartości wprost proporcjonalne! — ironizowałam.

— Odwrotnie, Kochanie, odwrotnie — zapewniła mnie powstając. Wypięła biodro. — O piątej byłam z powrotem. Ten z Grajfrem nie przyszedł. Jasne? —

Przerwała, spodziewając się po mnie daremnie reakcji. Więc powiedziała: — Czekałam. Czekam. Będę czekała! Sama widzisz, że czekam.

Kapelusz, płaszcz, bliskość telefonu, wystające szpilki — wszystko, istotnie, wskazywało na istnienie jakiegoś aktu czekania, ale jakże się w nim dopatrzeć szczegółów odwrotności, którą mu Ciocia przypisywała?

— Poza tym nie mam butów — dorzuciła z godnością, na co ja z wybuchem rosnącej już od dobrej chwili nienawiści:

— A mnie boli ząb!

— Totuś zginął! — stwierdziła Ciocia nie podnosząc na razie głosu.

— Ściany pękają mi w domu! — ryknęłam z całych sił.

— Cenzura, podsłuch, sublokatorzy.

— Rura wybucha — krzyczałam już na całego.

Wojna. Stałyśmy na przeciw siebie jak dwa jelenie gotowe do ataku, Ciocia nieco pewniejsza siebie. Może dlatego odstąpiła pierwsza.

— A ja do ciebie z sercem, Kochanie — rzekła przybierając łagodniejszy kształt. Biodro wysunęło się znowu. — O piątej. Byłam o piątej. Przysięgam — mówiła. — Pomimo butów.

— Co będzie? Co będzie? — rzuciłam całkiem złamana i, w zastępstwie Cioci, zalałam się łzami.

Ja szlocham, a Ciocia prawi:

— No widzisz, widzisz.

Zniosłam ciężar ręki, którą mi na wszelki wypadek położyła na ramieniu, ale zrobiłam to też na wszelki wypadek: ostatecznie miałam na nogach porządne buty. Pod ich to adresem mówiła teraz Ciocia mechanicznie:

— Do Lourdes, do Lourdes! Jedna doba w naszej rzeczywistości. To by cię uleczyło!

— Ależ co Ciocia wygaduje? — obruszyłam się.

— Tak? Taaak? — zaperza się Ciocia. — Co ja

wygaduję? Ja? Jaaa? — krzyczy. — To zamień się ze mną — krzyczy. — Na moim miejscu się znajdź! Spróbuj troszkę! Pokosztuj! — krzyczy. — Zamień się, zamień. Zobaczysz! No! Nooo! — krzyczy. — Chcesz się ze mną zamienić? — krzyczy.

Ja milczę. Ciocia przestała krzyczeć; zdejmuję jeden but i pcha mi go pod oko tak blisko, jak dentysta gipsowy odlew.

— A może byś się tak ze mną zamieniła? — nalega świszczącym szeptem, podczas gdy ja przypominam sobie, że już raz przedtem, gdy była mowa o Lourdes, przed śmiercią Totusia, proponowała mi Ciocia zamianę.

Ludzie często mówią, że chcieliby się zamienić z kimś innym, chyba nie tylko dlatego, że ten rodzaj zamiany jest niemożliwością — a oni zawsze pożądają skarbów nieosiągalnych — ale też i dlatego, że ludzie w ogóle dużo mówią. Zamienić się z kimś! O *sancta* Cioci *simplitas!* Założywszy nawet, że czynność zamiany zdołalibyśmy przeprowadzić, powstałby niechybnie brak świadomości owej przeprowadzki, choćby z przyczyn czysto technicznych. *Ergo*: zamienić się oznacza to samo, co nie zamienić się. Tak rozmyślałam, kombinując, kombinując, z żalem co prawda nad butami, ale z buntem przeciw porankom teatralnym. Do tego doliczyć proszę ból zęba, sylwetkę Cioci na bosaka wieszającą popielice do szafy, kurz na stoliku, kurz na podłodze, kapę na tapczanie zmiętą. Uczucia moje — trzeba to zrozumieć — były mieszane.

— Pal sześć — powiedziałam rezolutnie. — Ciociu!

— Co, Kochanie? — zapytała stłumionym szafą głosem.

— Zamienić się? Proszę bardzo! — powiedziałam wyzywająco. — Zamienić się? Owszem. Jak najbardziej się zamienić — powtarzałam.

W myśli zakotłowało: Aa-a, Sputniki 2. Jakaż jest ta ciocia Tola? Szarobure obydwu... Zawiało hałnym. Po tem lato. Polska: z niskiego kuchennego pułapu zwisa

lep na muchy, mucha bzyka, jest także mucha w kwaśnym mleku. Zapach kopru i jeszcze jeden zapach. Stało się: postanowiłam się z Ciocią zamienić. Oj, łatwizna!

I tak między Ciocią a mną nastąpiło zawieszenie broni.

— Cybalgina — powiedziała i wręczyła mi kopertę. — *Concierge* oddała mi list dla ciebie, Kochanie. Jakaż brudna ta nasza *concierge* — dodała Ciocia ocierając rękę o spódnicę.

— *Nasza!* — myśle sobie i czytam: „... *nasza... nasze... naszemu... nasi... naszymi... naszej... nam...*”, układając na stoliku pierwszy po niepokojąco długiej przerwie list od mojej amerykańskiej przyjaciółki. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości: *Thais* wyszła za mąż, a gnuśny znak pożycia ubrała w formę *pluralis matrimonii*.

... *widzimy, że znowu się przysmujesz — czytam, a Ciocia tymczasem krząta się w Pokoiku. — Uważamy, że sylwestrowy Francuz n8e był Ciebie wart, skoro się ni\$ zgłosił. Zresztą, jesteśmy pewn8, że zwalczysz tę okoliczność, a może już do tej pory zwalczyłaś. Nasz\$ odczucie sytuacji jest następujące: wstępujesz na lepszą drog\$. Musisz się 8ntensywnie zajmować wszystkim, co Cię otacza. My jesteśmy bardzo aktywni, dzięki czemu aktywniej także nasze\$ szczęści\$. Musisz i Ty być aktywną. A propos, pros8my Cię o przestanie nam pocztą lotniczą flakonu perfum „L&Interdit”, dwie uncje. Napisz. Całuj\$my,*

*Thais*

P.S. Cóż to za burżuazyjny nawyk, żeby p8sać na papierze listowym z nadruki\$m. Z NADDRUKIEM??? Przy takich krętych schodach i tak uroczym podwórk? I adres nie ten sam! Czyżbyś się przeprowadz8ła? To może i dobrze, ale czemu na l\$wy brz\$g? Moja droga, my uważamy, że żaden szanujący się człowi\$k nie ma prawa do wizytówek, srebrnych l8chtarzy, ani papieru listowego z nadrukiem. Pamiętaj o „L&Interdit”!

Co do lichtarzy można się było ostatecznie zgodzić. Jeżeli jednak chodzi o papier listowy, który tyle politowania wzbudził u Thais, podarował mi go jeden z wyznawców mojej ruchomości nieruchomościowej, Olgierd we własnej osobie, i to jako prezent na odżałowaną już pamięci mieszkanie, jakie przed poznaniem Thais, a tym bardziej pana Zwierciadło, zajmowałam w charakterze lokatorki na froncie kamienicy o białych twarzach w białych okiennicach białych murów białego Paryża. Jak przystało na osobę rozrzutną, która mało zarabia, dużo wydaje i jeszcze więcej niszczy, miewam i ja swoje napady drobnych praktyczności. I cóż w tym złego? Nawet zamożna pani Wrażeniowa wyznała mi raz, że po tańsze tkaniny jeździ aż do hurtownika Szwankfusa. Lonia z oszczędności tylko jedną chusteczkę papierową marki „Kleenex” zużywa dziennie do starcia szminki, tuszu, pudru, i jeszcze nos nią wyciera. Gdy przeznaczenie przy pomocy pana Zwierciadło („Lepiej kupić mieszkanie na własność, bo szkoda pieniędzy na czynsz” — powiedział) zawyrokowało, że życie moje pociągnie się w innych ramach, które zaznacza się — tak przynajmniej do niedawna się wydawało — jedną miłością, z tych wielkich, mój żal przypadkowego skąpiradła nad papierem z nieaktualnym nadrukiem kazał mi zbyteczne arkusze używać, zużywać. Zużyć. A teraz tłumacz prawowiernej mieszkance Greenwich Village, że ja, ja, która rozbijam osiemnastowieczną ceramikę, pasjami wypalam papierosami dziury w sukniach od Carven, złote Schaffhauseny wyrzucam wraz ze śmieciami do podwórzowych kubłów, za gotówkę kupuję kosztowne miski, koguty i kury, swetry marki Léonard oraz jeszcze kosztowniejsze przyjaciółki, że ja właśnie na papierze sknerzę. Do niedawna podkładałam arkusze z nadrukiem amarantowej kurce i turkusowemu kogutkowi pod coraz to większe kupki, o których w naiwności swej, przez Ciocię nieodżałowanej, moje ptaszki myślały, że też są pożywieniem. Szpary w tanich, bez serca, po francusku sfabrykowanych oknach, przez które wieje rozpa-

czliwy obiektywizm, też papierem listowym zatykam. Nawet listy na nim piszę. I taka oto jest geneza mojej harmonii z tym, co Thais zowie światem Kafki.

Zresztą, po co aż tak się usprawiedliwiać? Powiedzmy, że wszystko nieprawda. Przypuśćmy, że gardzę nieporządkiem, oślimi uszami, bohemą. Założmy, że wielbię stemple, nadruki, koperty większe, mniejsze i żadne, Kocham ołówki zastrugane na kształt taranu, centralne ogrzewanie, bieżącą wodę i kalkę, nade wszystko kalkę, przez którą — zawzięcie, niepojęcie — urzędnicy pocztowi wypisują numerki, literki, pętelki, i jest sens w życiu. Gdyby Thais wiedziała, ileż to ja posiadam różnokolorowych kartotek, spinaczy, skówek, ileż razy na brudno I, II, III etc. do X, ile gumek, popielniczek i zieloną kredką oznaczonych wstawek, choćby do tego, co w tej chwili — pod setką upajających Bic'ów, Parkerów, Watermanów, Quinków, Solvexów, Rubafixów — robię, to by zdębiała. Nie darmo przybyłam do Francji, matki rady stanu i stanu bezradności, w wieku... młodym.

— Świetnie — pomyślałam — nie ma jak poczta, niech Ciocia się krząta — i korzystając ze sposobności zakupu „L&Interdit”, wysłałam z domu pomimo wiatru i słoty, obwiązana chustką i opatrzona parasolem o połamanych żebrach.

W perfumerii wionęło celowością. Od razu poczułam, że postępuję prawidłowo. Smukła sprzedawczyni o powiekach wymalowanych na biało stąpała pachnącym krokiem po puszystym dywanie.

— Ależ oczywiście — wdzięczyła się — opakowanie może być, i gruby sznurek, tak żeby pani mogła iść prosto na pocztę. To taki kłopot — gwarzyła owijając szescian sporego pudełka różową bibułą — wracać do domu, szukać papieru, sznurka, nożyczek. A tak, to prosto na pocztę, i już.

— Prosto na pocztę — powiedziałam.

— Właśnie, prosto ze sklepu na pocztę, żeby pani nie miała kłopotu.

— Nie nie — zastrzegałam się — ja nie będę miała żadnego kłopotu.

— No, właśnie — potwierdziła sprzedawczyni. Obwijała teraz różową bibułkę niebieską bibułką. — Żadnego kłopotu nie będzie.

— Nie będzie, rzeczywiście.

— Nie będzie, nie będzie — radowała się sprzedawczyni. Dwudziestosiedmiomilimetrowym paznokciem koloru zorzy polarnej przecięła arkusz pakunkowego papieru, którym bandażowała bibułki. — A może panią naperfumować? — pytała zachęcająco, wiążąc sznurek ciasno dokoła pakunku.

— A może — odparłam stojąc przed ladą ze spuchniętym policzkiem, nie schowanym pod chustkę, która dla niepoznaki też była spuchnięta, podczas gdy woda ściekała na puszysty dywan wzdłuż połamanych żeber parasola i burych, nie krochmalonych moich rzęs. Natomiast, w ostatnim praniu dusza została lekko usztywniona. Więc dorzuciłam: — Proszę bardzo.

Deszcz już nie padał, gdy wychodziłam ze sklepu. Wiedząc, że na pobliską pocztę, będącą pocztą główną, zdążę na pewno, ponieważ zamykano ją dopiero o dziesiątej, wstąpiłam jeszcze po jarzynę na zwijający się już o tej porze targ. Potem w chustce na głowie i z mokrym, niezgrabnym parasolem o połamanych żebrach w ręce, tulącej ponadto „L&Interdit” oraz naręczę fasolki szparagowej, owinięte w wilgotną i dziurawą gazetę, stałam długo i poważnie ze spotkaną przypadkowo Złotoustą na rogu przed odlewem nogi o krwawych żyłakach. Moja znajoma kończyła rozmowę wyginając odwrotnie brwi:

— ... lepiej. Na Sylwestrze wyglądałaś bardzo mizernie. Nie chciałam ci sprawiać przykrości, dlatego nic nie powiedziałam.

I nie domyślałam się jeszcze wówczas, zbierając z chodnika spadające strączki fasoli, że jeśli do tej pory niczego nie powiedziała mi Złotousta, to w przyszłości tym mniej mi powie.

Na poczcie odwrotnie: ja byłam górą, a to z tej prostej przyczyny, że w kolejce przede mną pokłóciły się dwie nieznajome, z których mniejsza utrzymywała głośniej niż większa, że była pierwsza. Ponieważ, na domiar, mniejsza była obciążona paczką większą od paczki nieznajomej większej i nie przestawała krzyczeć o wiele głośniej od tej ostatniej, wszystkie pozostałe osoby w kolejce, włącznie ze mną, ironicznymi uśmieszkami rzucanymi to w stronę mniej obciążonej, to między sobą, to znów na sufit urzędu pocztowego, od dawna nie odmalowany, dowodziły, że twardo stoją po stronie większej nieznajomej, i to pod pozorem, że będąc na miejscu mniejszej, postąpiłyby zupełnie inaczej, tzn. z nieporównanie bardziej wspaniałomyślną godnością. Inaczej — przynajmniej w moim doświadczeniu — postępowała jedynie Ciocia.

— *Homo homini lupus* — mówiła ze zgorszeniem w podobnych wypadkach, sama znajdując się poza zakresem przysłowia, i tego, i wielu innych.

Jakby na dowód powyższej refleksji, pod wieczór następnego dnia przyszedł malarz, zawezwany przez uczynną Ciocię.

— Widzisz? Nie będzie znać — mówiła Ciocia radośnie, wpatrując się w przytulone do drabiny wąskie biodra przystojnego bruneta.

— Tym razem — potwierdził malarz — pokryłem ścianę i sufit farbą plastikową od spodu, olejną po wierzchu, a na koniec, zamiast gomlaki, pociągnę werniksem. Nie będzie znać.

Nie było też znać seplenienia w jego mowie. Zażenowana jednak obecnością bardzo ruchliwie krzątającej się Cioci, nie poruszyłam ani tego tematu, ani jemu pokrewnych.

— Może herbaty panu zrobić? — pytała malarza, podczas gdy on już nakładał werniks.

— Dziękuję, nie, bardzo mi się spieszy — rzekł schodząc z drabiny. — Mam od jutra cały kompleks do



odrobienia. Ogromny blok domków urzędniczych. Duża praca.

— Toteż i zarobek będzie dobry — zasugerowałam.

— Tak tak — odparł radośnie. — Już upatrzyliśmy sobie dwupokojowe mieszkanko, z kuchnią i łazienką, większą niż u pani. Spodziewamy się drugiego dzieciaka.

Po zapłaceniu rachunku za odmalowanie ściany spostrzegłam, że malarz, krocząc wzdłuż korytarza, nie zakłósał ani razu biodrami. Ciocia odprowadziła go aż do drzwi wyjściowych, od których po ich zatrzaśnięciu na woływała:

— No widzisz, Kochanie. Już po krzyku. Nie będzie znać.

Stała w progu kuchni, podczas gdy ja stawiałam wodę na herbatę. Mój spuchnięty policzek ukryty był przed wzrokiem Cioci. O stomatologu przypuszczalnie zapominała.

— Czy z rumem, Ciociu? — zapytałam, gdy sagan zaczął gwizdać.

— Ależ nie! Ciepło się robi. Tylko z cytryną. Ach! Ach!

Słyszałam potem wyjeżdżające spod kanapki walizki: Ciocia wybierała się do teatru. Po jej odejściu połknęłam pół zawartości flakonika Cybalginy i nawet nie umywszy zębów, położyłam się. Z miejsca zapadłam w sen, który spędziło mi ze świadomości echo przeciągłego, nieregularnego zgrzytu. Po chwili drugi zgrzyt spędził mi go z powiek. To Ciocia wracała z teatru. W gasnącym co minutę świetle klatki schodowej dobierała się do drzwi.

— Zbyt krótki jest czas trwania naszej *minuterie* — mawiała w przystępach szczególnej łaskawości względem mojej nieodpornej natury.

Nocą, zniechęcona do kilkakrotnego przyciskania jarzącego się guzika automatycznej instalacji świetlnej, znajdującego się nad ostatnim stopniem schodów, a więc o trzy metry od drzwi, Ciocia wołała zmagać się z trud-

nościami w ciemności. Toteż spośród trzech kluczy — bardzo do siebie, jej zdaniem, podobnych, które jej powierzyłam w październiku — wybierała zrazu klucz od dolnego zamku, aby otworzyć nim górny, jakkolwiek od pierwszej wizyty Rurologa — dla szybszej możliwości ewakuacji mieszkania w razie ewentualnej katastrofy — górnego zamku przestało się używać. Ciocia wiedziała o tym, ale widocznie nie wierzyła w wiszącą nad mieszkaniem groźbę. Następnie kluczem od bramy próbowała odemknąć dolny zamek. I nic. Dopiero za trzecim zgrzytem wiedziałam, że Ciocia właściwym kluczem trafiła w otwór zamku, usłyszałam, bowiem, stuk cienkich obcasów wzdłuż korytarzyka. Ciocia, mianowicie, kupiła sobie nowe buty.

Gdy światło w szparze drzwi zgasło, a z Pokoiku zaczął, zrazu nieśmiało, przedzierać się odgłos miarowego chrapania, zrozumiałam, że w nabrzmiałym dźwięku, tam gdzie od wielu dni chwiała się *dolorosa*, nagle coś pękło. Gorzkawa ciecz wypełniła mi usta. Połknęłam ją ze wstrętem i poczułam natychmiastową ulgę. Po chwili, przykładając głowę z powrotem do poduszki, wiedziałam już na pewno, że ząb powoli przestaje mnie boleć i że za chwilę zasnę. A gdyby tak się zamienić? Widziałam się już w objęciach cioci Toli.

## VIII

W poczekalni panował ten rodzaj ciszy, który — nawet gdy jest przerywany czy spostrzeżeniami o charakterze opisowym, czy przykładem natury informacyjnej, czy też pytaniem odartym z sensownych konsekwencji — nie przestaje być ciszą. Ludzie czekali, inaczej niż w poczekalniach lekarzy, niemniej czekali.

— Czy pani do wydziału wizowego? — spytał grubej blondyny, czytającej *Życie Warszawy*, stojący pod oknem koło stołu mały brunecik ze szpiczastym nosem.

— Do paszportowego — odparła podnosząc nieco koci, nie licujący z jej tuszą, popielaty wzrok.

— Ja też! — skoczył ucieszony. — Ach, cóż bym dał za to, by znów móc poczytać *Życie Warszawy* — mówił i nie wyglądał na takiego, który by wiele dał. Robił wrażenie zasiedziałego w Paryżu właściciela konsularnego paszportu, który jedynie nowego światopoglądu nie zdążył jeszcze kupić, bo wszystko inne już miał: beret granatowy, dopiero co zdjęty z głowy; jasnoszary Burberry, zbyt ciasno ściągnięty paskiem; teczkę z sztucznego krokodyla, podejrzanie wypchaną, którą przed rozpoczęciem rozmowy wywijał na znak nieprzyzwyczajenia do kolejek po urzędach, a którą teraz położył na stole przykrytym beładnie czasopismami na użytek zagraniczny, po czym ochotczo przysiadł się do blondyny.

— Skąd pani ma *Życie Warszawy*? — zawołał, podczas gdy na ławce z drugiej strony stołu toczyła się między Chińczykiem w okularach a flegmatycznym Indochińczykiem cicha rozmowa w języku czeskim.

— Prenumeruję — odrzekła blondyna.

— Ja też zaprenumeruję — obiecywał brunecik przemierzając szpicem nosa półkole, by sprawdzić, czy obecni dosłyszeli jego słowa i powołać się może na nich jako na świadków swej — jak później dopiero to doceniłam — lojalistycznej zgrywy. — No cóż! — dorzucił nostalgicznie. — Zna się francuski. *Życie* wciąga. — Westchnął.

— Rozumiem — rzekła blondyna, ale nie westchnęła.

W rogu przed szcękającym kaloryferem szeptał jakiś siwy pan. Dwie babiny siedziały sztywno pod ścianą z owiniętymi w papier paczkami, miast kobiałek, na kolanach. Koło mnie rysował się wypukły profil zmęczonego brzucha, z którego poprzez otwory w głowie usadzonej na czerwonym i mocnym, przysłowiowym niemieckim karku, wydobywało się sapanie wraz z niecierpliwym bulgotem gardłowych spółgłosek.

— Ghhh! — rzucił mój sąsiad w pewnej chwili. — Czy długo, ghhh, się tu tak czeka?

— Długo — powiedziałam z pogardą dla otoczenia, udając chwilowo, że jestem Francuzką.

Tymczasem jeszcze jeden klient wchodził po schodach i słychać było jego skrzypiące buty. Wszyscy, nawet Azjaci, umilkli. Ortopedycznie inteligentny, nowy i młody nasz towarzysz powędrował, skrzypiąc, po poczekalni i przypatrywał się wiszącym na ścianach wycinankom łowickim, basztom Barbakanu i fajce z cybuchem, otoczonej bezzębny uśmiechem poronińskiego gazdy. Wreszcie bez słowa usiadł na samotnym krześle opodal stołu i wiercił się przez chwilę. Gdy wyciągnął paszport z wewnętrznej kieszeni marynarki, przed oczyma obecnych mignął pękaty biały krzyż, lecz jemu, nieświadomemu wy-

wołanego tym sposobem wrażenia, nonszalancko drzemało pod powieką szwajcarskie obywatelstwo. Takiemu to łatwo — pomyślałam w zastępstwie Cioci, brunecik zaś, jak na zawołanie, zaczął deklamować niby to przed blondyną ale, właściwie, na użytek całej po polsku rozumiejącej publiczności:

*Ojczyzno Tella! Tyś jest od natury  
Stworzona na kształt pałacu bogacza,  
Który znudzony jednością struktury  
Tęczowe skrzydła fantazji roztacza,  
A kędy stąpi i złotem zabrzęka...*

— Czy pan jest polonistą, czy co? — przerwała mu blondyna. Była zażenowana.

Brunecik zaśmiał się. Nagle, ni stąd ni zowąd, nie sprowokowana żadnym odruchem ze strony mego sąsiada, odezwałam się sama do niego tonem pocieszycielki.

— Ale o dwunastej przestają przynajmniej wpuszczać nowych petentów.

Niemiec spojrział na własny zegarek wskazujący za dziesięć dwunastą, podczas gdy zegar umieszczony na ścianie, pod królującym nad całym tym czekaniem białym orłem w czerwonym polu, ze wzrokiem utkwionym w schody, był już posunięty o pięć minut dalej w czasie, który — jak wiadomo — trwa, mimo że wszystko inne przemija.

— No to, ghh, już, *eigentlich*, dwunasta, ghh — powiedział Niemiec i sapnął. Poprawił okulary w metalowych, bardzo cienkich ramkach, poza którymi jego oczy wydawały się małe i na pewno piwniejsze, niż były w istocie. Przygładził rzadkie włosy.

— Pan, oczywiście, do wydziału wizowego? — znów zagadnęłam, a brunecik ze szpiczastym nosem rzucił na nas nosem.

— Ghhh! Ghe, ghhe. — Sąsiad wstrząsnął obfitym brzuchem, który po chwili wrócił do uprzedniego stanu zmęczenia. — Ja po wizę. Jadę na Targi Poznańskie,

*eigentlich*, z ramienia Wspólnego Rynku. Kompresory do centralnego ogrzewania — mówił już całkiem po niemiecku. — Ale też i trochę prywatnie — dodał i mrugnął piwnym okiem.

— *Ach so?* — wyrzekłam z ożywieniem, mierząc wyzywająco sam koniec szpiczastego nosa pod oknem. — *Na also!* — dodałam.

— No, bo ja — ciągnął mój sąsiad i żeby nie było wątpliwości, o kogo mu chodzi, wskazał ponad pękatym brzuchem zapadnięty obszar piersi, gdzie pod ciemną marynarką, wzorzystym krawatem, nylonową koszulą, słabo unerwioną skórą, niewinną warstwą ochronnego sadelka, wreszcie pod dzielnym pancerzem rozłożystych żeber, kipiała zapewne jego romantyczna dusza — pochodzę z Königsberg, ghgh, tak jak wielki niemiecki filozof, Kant.

„Grubi ludzie powinni być ograniczeni” — ważyłam na własny użytek — „gdyż tylko będąc ograniczonym można błaznować bezkarnie, błaznować zaś trzeba, jeśli się jest grubym”. — A na głos powiedziałam: — Emanuel.

— *Ja wohl*, ghgh. Jeśli dostanę wizę sowiecką, pojedę także do Königsberg. Chcę pojeździć trochę po rodzinnych stronach, które... *eigentlich*... — Machnął ręką. — Jest mi dobrze we Frankfurcie. *Eigentum* jest, a *Gemeinsamer Markt*, to *eigentlich*, wielka rzecz. Mam szwagra, sędziego w *Gericht*. Bardzo dobre stosunki. *Und Sie?*

— Ja? — powtórzyłam spoglądając na brunecika, tym razem ukradkiem. — Mnie też jest dobrze, *eigentlich*. Mam Ciocię...

— Ghgh, ghgh — ział gardłem Niemiec — ten orzeł — tu wskazał masywnym palcem na narodowy nasz znak. — Ja pamiętam, jeździłem przed wojną z ojcem przez Korytarz do Rzeszy, i potem też jeździłem, ghgh, ghghhe, miał na głowie koronę.

— Dawniej miał — przyznałam — to prawda. Ale jeszcze dawniej nie miał. Różnie bywało — wyjaśniałam

sąsiadowi — z orłem, z Korytarzem. — Co chwila zerkałam na kamienną obecnie twarz brunecika, lubo żywą i pojętną, gdy była mowa o innych sprawach.

— A pani co? — odzywa się wciągnięty już do rozmowy Niemiec.

— Jak to co? — pytam, choć wiadomo że chce się przekonać, czy jestem, *Gott behüte*, Polką.

— *Eine Polin?*

— Tak. Nie — odpowiadam. — To znaczy byłam kiedyś, jako małaletnia, a teraz już, *eigentlich*, nie, ale... — przerywam — ale czasem trzeba kogoś zaprosić stamtąd albo jakąś sprawę notarialną załatwić, wyciąg metrykalny z Zakopanego.

— Cakopane? Ghhh. Cakopane! — wygardłował Niemiec. — Znam. Ghhh. Dobry klimat. Byłem tam na urlopie zdrowotnym — rzekł i natychmiast na dowód zakaszłał, jakkolwiek kontury brzucha wskazywały raczej na coś innego.

— Kiedy to było? — szepnęłam wbrew woli, a ponieważ Niemiec przekroczył z pewnością czterdziestkę, zaparłam dech, mocno pragnąc nie usłyszeć w odpowiedzi roku np. 1943, co, *eigentlich*, usłyszałam.

— *Also*, była wojna — powiedział potem. — Ghhh. Nagle:

— Helmut Eigentlich — przedstawił się ostro, stając przede mną na baczność. Podał mi rękę i skłonił głęboko głowę nad uściśniętymi naszymi dłońmi, ale nie pocałował. Tak robią Niemcy. Gdy się wyprostował i pomacał palcami wszystkie kieszenie, robił wrażenie człowieka, który przeszedł przez życie nie zgubiwszy ani razu notesu z adresami. Mruknęłam coś, a Indochińczyk zaśmiał się flegmatycznie po czesku. Niemiec zmieszany usiadł i szepnął:

— Poczekam na panią w kawiarni naprzeciw. Jest jedna tuż obok tej nowoczesnej kamienicy.



Szyja, względnie kolega Szyja — bo, jak mi się zwierzył usłyszawszy nazwę mojego miejsca zatrudnienia, zbierał w swoim czasie stare monety, ale jeszcze przed pierwszą dewaluacją złotego oddał je na skarb Państwa, za co przypuszczalnie otrzymał wstęp do partii i dwupokojowe mieszkanie na Mokotowie wraz z pewną sierotą po sanacyjnym majorze, z którą się ożenił, następnie dyplom uniwersytecki oraz wyjazd na placówkę, najpierw do Budapesztu, gdzie w handlowym porozumieniu między konsularnym woźnym a niezdarnym przedstawicielem jednego z pomniejszych mocarstw kapitalistycznych wyniuchał zarzewie szajki szpiegowskiej i szybko, w nagrodę za wyczulony zmysł, osiadł na stanowisku urzędnika paszportowego w konsulacie paryskim, skąd go nie wyparł nawet mściwy początkowo okres względów i wybaczeń — otóż kol. Szyja ścierał ze swego biurka kurz, bo już niczego prócz kurzu na blacie nie było. Gdy weszłam do gabinetu, wrzucił do kosza jakąś klepsydrę, która wałęsała się na biurku; gdy odkryłam mu cel odwiedzin, schował do szuflady stosik listów przyniesionych zapewne do podpisu, a gdy wreszcie, nie proszona, usiadłam przed biurkiem, kolega Szyja chwycił duży kalendarz, otwarty na marcowej dacie owego dnia i już miał go wrzucić za listami. Zawstydziło go może moje swobodne założenie nogi na nogę — swobodne, zresztą, tylko pozornie, myślałam, bowiem, bezczelnie o tym, co też tam jeszcze w szufladzie znajdować się może. Pozostał przeto z ciężkim kalendarzem w dłoni, a drugą teraz właśnie zaczął odkurzać biurko, jednocześnie zadając pytania i wyznając swoje ze mną numizmatyczne koleżeństwo.

— Zajmuję się właściwie heraldyką — sprostowałam.

— A ojciec pani? — zapytał.

— Był matematykiem. Zginął — odrzekłam.

— Matka? — ciągnął urzędowo.

— Też zginęła — upierałam się.



Kol. Szyja, pełen nadziei, trochę nieśmiało odstawił kalendarz na biurko.

— Oboje zginęli? — zawołał radośnie. Nie wiedziałam jeszcze, co miał na myśli, ale mówił dalej rozpromieniony: — To pewnie dlatego chce pani wrócić do Ojczyzny. Odra i Nysa. Mordercy!

Pomyślałam o jednym z tych ostatnich: od dwudziestu minut czekał w kawiarni, a jeśli granicy na Odrze i Nysie nie uznaje — kombinowałam — tym bardziej będzie rozdrażniony opóźnieniem. Potem, patrząc na Szyję pośpiesnie, dodałam:

— Niestety! Rodzice zginęli kilka lat przed wojną. Byłam jeszcze mała. Mój ojciec miał pasję samochodów wyścigowych — wyjaśniłam z zażenowaniem — mimo że — dorzuciłam pospiesznie — na tak ekstrawagancki sport nie bardzo mógł sobie przed habilitacją pozwolić. — Raz kura mu wyleciała przed koła pod Obidową, a tam bita droga, jakieś kałuże. Zarzuciło. Wpadli w drzewo.

(Babka łuskała groch na ganku w chwili, gdy nadeszła złowroga wieść; potem długo tłukła głową o ścianę, a ja wyobrażałam sobie, że groch o ścianę, bo właśnie niedługo przedtem nauczyłam się tego powiedzenia od dziadka, który, zresztą, odnosił je do swoich wysiłków pedagogicznych wymierzanych przeciwko mnie. Tymczasem ziarenka grochu rozsypały się hałaśliwie po ganku. Tłumiłam w sobie odruchową chęć powstrzymania tych nielicznych, które potoczyły się aż pod balustradę, by potem cichutko spadać przez otwory na trawnik. W kurniku pod gankiem zawrzało.)

— Oboje zginęli. Ojciec natychmiast, matka w szpitalu — dodałam na koniec.

Szyja mieszał się w miarę jak podawałam skrótowo genezę mojej przeprowadzki z trzypokojowego mieszkania przy górnych Krupówkach do domku na hali. Pokiwał głową, po chwili rzekł:

— Ach, te polskie drogi! Teraz już mamy asfaltową szosę do samego Zakopanego.

— Dzięki Bogu! — odparłam z ulgą i prawilałam o dalszym ciągu mojego przedwojennego dzieciństwa.

— To pani chowała się u dziadka. A kto to był, ten dziadek na hali?

Dziadek co prawda bacą nie był, ale w jego domostwie (zwłaszcza po śmierci moich rodziców) ziemniaków jadło się dużo, prosiaków mało, a do Krakowa jeździło się z koszem oszczypków dla przyjaciół tylko na obchód Trzeciego Maja i pogrzeb Piłsudskiego w wagonie trzeciej klasy PKP, z którego na postoju w Suchej, z nosem przylepionym do szyby, wypatrywałam córki kolejarza, Basi, mojej koleżanki szkolnej, i machałam jej potem wesoło ręką pokrytą sadzą. Zamiast wytłumaczyć to urzędnikowi, upodobiłam się na chwilę do Cioci: naśladując jej entuzjazm dla wszystkich członków rodziny, wypływający, zresztą, wyłącznie z tytułu owego, niekiedy wątpliwego, członkostwa, krzyknęłam ochoczo, niepotrzebnie:

— Dziadek, proszę pana, był cudowny. Wprawdzie babka była jeszcze cudowniejsza, ale przysięgam panu, że dziadek był cudownym człowiekiem.

Szyja spojrział na mnie przerażony i szybko zmienił temat.

— I teraz pani żałuje ucieczki za granicę.

— Żałuję — odrzekłam pokornie — choć nie było to ucieczką. Po wojnie nadarzyła się sposobność, dziadek, stary już i niedołężny, owdowiał i wysłał mnie do krewnej w Szwajcarii. Byłam nieletnia, robiłam to, co kazali.

— Pani tak poprawnie mówi po polsku. Pewnie tęskni pani za Krajem — poddawał sumiennie Szyja.

— Krewna w Szwajcarii umarła — zastrzegłam się.

— Dobrze — zachnął się Szyja niecierpliwie — ale pytam, czy tęskni pani za Krajem rodzinnym.

— Wie pan? To trudno powiedzieć — odparłam szczerze. — Lwią część życia spędziłam na Zachodzie, a połowę tej części w Paryżu. No cóż? Życie wciąga —

mówiłam usiłując nadać sobie i wygląd, i styl, szpiczastego brunecika z poczekalni.

— No, to jeśli nie tęsknota i nie przyczyny natury politycznej, bo na polityce pani się nie rozumie — sugerował pracowity urzędnik. — A może się pani rozumie? — rzucił z nienacka.

Potrząsnęłam głową.

— Niech się pani zastanowi — naciskał Szyja. — Bo jeśli by się pani zainteresowała polityką, albo przynajmniej ideologią, to by było korzystne.

— Nie, proszę pana, nie da rady — powiedziałam i naprawdę poczułam się bezradna, bo jakże tu wytłumaczyć urzędnikowi, co mnie skłania do powrotu, skoro dotychczas nie mnie do powrotu, lecz powrót do mnie coś natarczywie skłaniało? — Rzeczywistość — dodałam. — Wychodzi na to, że ja także powinnam żyć naszą *Rzeczywistością*.

Szyja puścił moje wyznanie mimo uszu. Widocznie niewłaściwie wybrałam bezokolicznik, rzeczownika natomiast byłam pewna. „Nie warto być szczerą” — zawyrokowałam w duchu.

— No, to może względy rodzinne kierują pani chęcią repatriacji? Może pani chce się dziadkowi odwdziżyć opieką za opiekę? — chciwie zapytał.

— Dziadek umarł. Gospodarował do śmierci w swoim majątku, którego mu nie zabrali, bo niewiele tego było, ale gryzł się — a ja ugryzłam się w język.

— To może ktoś jeszcze jest z rodziny?

— Jest. Ciocia — odpowiedziałam niechętnie, nie chciało mi się otwierać tego skomplikowanego tematu. — Przebywa obecnie w Paryżu, jako mój gość.

Gdy na życzenie Szyi podałam mu imię i nazwisko Cioci, urzędnik wstał i począł przerzucać kartoteki umieszczone w ogromnych metalowych szufladach przy ścianie. Nie mogąc, zdaje się, utożsamić mojego gościa z żadnym nazwiskiem na liście przebywających we Francji obywa-

teli polskich, skrzywił się, pokręcił głową, zatrzasnął szuflady i usiadł znów za biurkiem.

— Nie ma — rzucił niedbale. — To znaczy, nie mogę znaleźć. Alfabet się nam niedawno pomieszał. — Miał zrezygnowany wyraz twarzy. Po chwili machnął ręką. — Wie pani co? Darujmy sobie Ciocię.

Tym samym względy rodzinne zostały odrzucone; krakowskim targiem stanęło na „osobistych”, które to słowo skwapliwie wciągnęłam do odpowiedniej rubryki na wręczonym mi przez Szyję podaniu o paszport. Szyi nie zdawało się zależeć na treści odpowiedzi, którymi wypełniałam dosyć zdawkowy formularz.

— My to i tak sprawdzimy — rzekł uspokajająco, a tymczasem kręcił się po gabinecie, otwierał wiele szuflad. Po chwili nawet się zasępił i stojąc na środku pokoju podparł brodę jedną dłonią, a drugą umocował na biodrze. Było widoczne, że myśli. Potem gniewnie mówił do kogoś przez telefon.

— Niech mi pani przyniesie zapasową pieczętę!... Jak to nie ma? Proszę poszukać... Co to za porządki! — zaczynał się unosić. — Nie podoba mi się — krzyknął na koniec i odrzucił słuchawkę.

W międzyczasie skończyłam wypełnianie podania i złożyłam na nim podpis.

— Podanie jest przyjęte — rzekł Szyja uroczyście — tylko... tylko... — jęknął i podrapał się w głowę — nie można znaleźć pieczętę, bo kolega wyjechał na kilka dni i zamknął swoje biurko na klucz. Tak że oficjalnie pani podanie zostanie przyjęte dopiero za kilka dni, jak kolega wróci.

Panował tu jakiś wesoły bałagan, polski chyba i dosyć sympatyczny (na który dziesięć minut później zalić się będzie nad kieliczkiem Côtes du Rhône spoglądający na zegarek pan Eigentlich z pruskiego Kaliningradu), jakieś rozprzężenie, którym ja, pomimo umiłowania porządku, czułam się w danej chwili podniesiona na duchu. Rubryka względów osobistych skłaniających petentkę do

repatriacji pęczniała na oczach, ale jeszcze przed wyjściem, martwiąc na myśl, że jedna marna pieczętka mogłaby — jak to najczęściej w życiu się zdarza — zmusić mnie do pozostania na zawsze w Paryżu, na wszelki wypadek powiedziałam:

— Tylko proszę pamiętać o moim podaniu. Proszę podstemplować... jak tylko kolega wróci.



Gdy obumierał marzec, a wyjątkowo mroźną zimę wyparło upalne lato, gdy twarzy Szyi nie mogłam już w żaden sposób wydobyć z majaków pamięci, może właśnie w godzinach, kiedy po powrocie kolegi odbywało się w konsulacie oficjalne przyjmowanie mojego podania, pędziliśmy po szosach na gaz, na pełny gaz. Samochód mój miał cztery cylindry, lecz rzadko się nim posługiwałam.

— Masz auto — mówiła często Ciocia. — Ile bym ja za to dała!

— Przecież sama Ciocia widzi — odważałam się czasem protestować — że nie często mi służy. Ruch jest zbyt wielki w Paryżu, ja zdenerwowana.

— A któż by się denerwował takimi drobiazgami? — odpowiadała wówczas Ciocia głaszcząc moją spuszczoną głowę, aż raz dodała z ochotą i determinacją: — Musisz zapomnieć o tych wszystkich Grajfrach.

— Ja wiem — odparłam spokojnie, argumentować mi się już dawno nie chciało — ale to nie zmieni ruchu na drogach, ani faktu, że nie można się samochodem poruszać.

— Nie można? Właśnie że można. Wszyscy doskonale dają sobie radę — mówiła. — Właśnie trzeba z tym skończyć i wybrać się do zamków nad Loarą na przyszły *week-end*. Wy, szczęśliwcy, nie pracujecie w sobotę. My jak dzikie osły, przez cały tydzień.

Ciocia wierzyła w to, co mówiła i ja, pełna zadumy nad przywilejem, jakim kaprys historii wyróżnił mnie,

dowierzałam Cioci. Niewątpliwie grube miliony Polaków wałkoniących się dniem, a wiążących koniec z końcem nocą, o których dwa lata wcześniej burzliwie opowiadał Artysta, zostały w końcu zagnane, na kształt dzikich osłów, do wyciodajnej, masodzielnej, ochoczopędnej pracy.

— Zobaczysz, Kochanie, jak dobrze ci zrobi wycieczka. Pojedziemy — plotła Ciocia geograficznie, tak jakby pojechać było lekarstwem i na geografie, i na wszystkim inne. A przecież, wprost przeciwnie: nie ruszając z miejsca łagodzi się dystanse, przytępia ostrze troski i jeszcze przy okazji na tego z Grajfreem się czeka. — Pojedziemy! Pojedziemy! — wykrzykiwała Ciocia.

I pojechaliśmy. Przy pierwszym zetknięciu z szeroką, nieuregulowaną rzeką, na widok schylonych nad nią znikomych brzoźek, Ciocia kazała zatrzymać wehikuł. Obwijając się szczelnie burym misiem, gubiła szpilki wzdłuż ścieżki wiodącej na brzeg.

— Ach, jak cudownie! Patrz na formację obłoków. Jakież to malarski krajobraz. Istny Corot! Nizina, dużo nieba, niktę drzewka. Ach! Ach!

Niktę były drzewka istotnie, i niktła szarzyzna krajobrazu, któremu nawet odbicia w wartko płynącej, groźnie sfalowanej wodzie Pan Bóg pożałował. Mnie było zimno, bo ogrzewanie wraz z silnikiem zgasło, Ciocia na dobitek, posłuszna swym nawykowi, zostawiła drzwiczki, jak wszystko, co na jej życiowym szlaku opatrzone było klamką, szeroko otwarte.

— Ty jesteś nieczuła na przyrodę — zawyrokowała niebawem Ciocia szczękając zębami u mego boku, podczas gdy ja wyprowadzałam samochód z powrotem na szosę. — To z twojej strony jakaś powierzchowność. Doprawdy — mówiła pół gniewnie, pół żartem — nie warto cię zabierać na wycieczki. Nic ci się nie podoba. O niczym nigdy nic nie powiesz.

— Bo się wstydzę, Ciociu, tak samo jak z tym Lourdes, co to na klęczkach powinnam chodzić. Ja sobie naj-

wyżej coś pomyśle. — I rzeczywiście pomyślałam, że jeśli sama Loara wywołała Ach! Ach!, to czego dopiero się spodziewać po zamkach, które strzegą jej brzegów? — Zresztą, Cioci z góry mówiłam, że ze mną nie warto wyjeżdżać.

— Przecież nie ma większej radości jak podróże. Autem, czy nawet koleją. Tyle się poznaje nowych ludzi, nieznanych krajobrazów, wspaniałych okazów sztuki i architektury — rozwijała Ciocia, całkiem trafnie, znany wszystkim z dzieciństwa aksjomat o pedagogicznych właściwościach przenoszenia się z miejsca na miejsce.

— A ja nie przepadam za podróżami — mówiłam wyzywająco, po europejsku, zaiste, zblazowana.

— Cóż ty wygadujesz, Kochanie? Pomyśl! Giotto w Padwie. Jak to zobaczyłam...

— A zgubiony parasol! — przerwałam brutalnie.

— A Forli w Watykanie! — licytowała Ciocia.

— A walizkę nadać! — podbijałam systematycznie cenę, zastanawiając się jednocześnie, co to są Forli i jak by je tu zniszczyć. — A bagażowego jak nie ma, tak nie ma — próbowałam po omacku.

— A dymiący Wezuwiusz w dali — pchała się Ciocia na południe, skandując spokojnie.

Tego było mi już za wiele. Zaczęłam terkotać jak katarzynka, uparcie i monotonna, daremnie usiłując dotrzeć do punktu kulminacyjnego:

— A walizka za ciężka! Mało tego: zgubiona! Niemców wszędzie pełno i pokoju w hotelu nie można dostać, a jak się już znajdzie, to Włosi hałasują i nie można spać. A zatkana umywalka. — Tu złapałam nieco tchu, zwolniłam tempo naszej jazdy i dalej w Ciocię od nowa z zemsty za kult jednostki, brak masła i podsłuch, za wszystkich sublokatorów, których od niej wysłuchiwać musiałam: — A zgubiony parasol!...

— A Lazurowa Grota — wtrąciła sucho, pewna wygranej Ciocia. Umiała do swej szermierki dobierać odpowiednio barwnej broni, a w prostolinijnej swej strategii

podążała sumiennie na południe. Toteż zdziwiłam się, gdy niespodzianie zawołała: — A grób Julii w Weronie, a Krzywa Wieża...

— W Etampes. Kilkadziesiąt kilometrów od Paryża — poddałam Cioci sądząc, że tym samym unieważniam jej kolejkę, choć co prawda, gdzie Rzym, gdzie Krym?

— No niech będzie bodaj w Etampes, jeśli już nie w Pizie. — Ciocia miała zwyczaj wyłuszczenia cudzego i obstawiania przy swoim.

Z Helmutem Eigentlichem nie spierałam się o nic. Maleńki samochód jechał szybko, tak jakby chciał nadrobić nieużytą energię i stracone w garażu miesiące. Podczas gdy wspominałam jego ostatnią, zimową jeszcze, eskapadę, ładowała się prawidłowo bateria silnika, wypoczęta i pusta jak moje serce. Wszystkiego było mało mojemu rozgħghghghghghghghghnemu towarzyszowi.

— Prędej, prędej, ghghghgheghe — pokrzykiwał, cały zasapany. — Rororo — mruczał, dorzucając do su-tej artykulacji jeszcze jeden gardłowy, nieco apoplektyczny dźwięk, jeszcze jeden z tych znaków, którymi kinematografia, literatura, ba, historia określają germańską, a więc koniecznie jowialną i nieco pedantyczną tuszę.

A tu trzęsie się brzuch, ułożony miękko po brzegach, wciskający się — na zasadach obmyślonych przez starożytnych fizyków — w wolne zakamarki przestrzeni, jaką do skąpej dyspozycji daje przednie siedzenie samochodu należącego do miernej pracownicy na naukowym etacie państwowej instytucji. Helmut odsuwa brzuch z niejakim trudem, by otworzyć okienko; wychyla twarz i znów, łaknący pędodajnego sportu oraz płynącej zeń radości, prosi o szybszą jazdę. Muszę, niestety, zwolnić, gdyż przejeżdżamy przez miasteczko, z którego południowy skwar wymiółł co prawda mieszkańców, ale trzeba się trzymać przepisów. Oto rue du Général Leclerc i place du Marquis, potem avenue Joseph Staline.

— Francuzi są konserwatywni — powiedziałam — zwłaszcza w małych fabrycznych miasteczkach.



— Rororo — wymamrotał mój sąsiad wciągając zacierwienioną, roześmianą twarz do środka samochodu. — Nie jest mi ani gorąco, ani ciasno i w ogóle nic mnie nie gniece — mówił z zadowoleniem. — Szybciej, szybciej, lubię pęd!

Jedziemy, a ja myślę: będzie obiad, czy nie będzie? Poza miasteczkiem jedziemy szybciej. Wyprzedzamy dwie furgonetki i samochód policyjny. Po prawej stronie spory tekturowy kucharz zaprasza gościnnym gestem na ośmiofrankowy posiłek. By nie wyjść na osobę łakomą, ani, broń Boże, głodną, zwalniał niepostrzeżenie, zaledwie o kilka kilometrów na godzinę. Daremnie: mój sąsiad macha przyspieszając ręką, którą wyciągnął przez okienko, by jak najwięcej przestrzeni uwolnić dla brzucha.

— Gh... prędzej — mówi i zaczyna gwizdać.

Pędzę. Wyprzedzam ciężarówkę naładowaną izotermami. Po lewej stronie mijamy osiedle, a w nim przystępny taras restauracyjny, ocieniony strzyżonymi na kształt kapturów, przedwcześnie zazieleniałymi platunami. Izotermi pozostały daleko w tyle. Będzie obiad, czy nie będzie?

— Ghghgh... rororo. Piękna pogoda i wietrzyk teraz wieje — komentuje Helmut Eigentlich. — Zbliżamy się do Fontainebleau.

Przymyka oczy, zdejmuje okulary, kładzie je na tańczącym brzuchu i przestaje zauważać mijane teraz gęściej coraz droższe restauracje. Nie będzie obiadu. Dojeżdżamy do leśnej rotundy.

Promienie niewiarygodnie złocistego, jak na dwuznaczną porę roku, słońca przedzierały się przez świeżą zielenń wczesnego listowia, gdy zapowiedziana w samochodzie ochoczość mego towarzysza wyrzuciła nas na łono królewskiego zabytku przyrody, po którym, dumając o cierpiącej Ojczyźnie, niejeden z listopadowych snuł się bohaterów. Jeden na pewno. Listowie szumiało, jak to

się zwykle pod wpływem wietrzyku w liściastych lasach dzieje. Byłam zajęta wypatrywaniem kosza na śmieci, do którego wolałam wrzucić opakowanie kanapki, dopiero co kupionej w budce i już chciwie spałaszowanej, niż pod dostojny klon nadarzający się właśnie. Trzeba było uważać w obecności przedstawiciela narodu będącego, zdaniem Cioci, bardziej od naszego higienicznym. Helmut smakował powoli swoją kanapkę, taką samą jak moja; papierek trzymał jeszcze w ręku, wraz z kocem, który nie wiadomo skąd się wziął.

— U nas szynka jest lepsza — powiedział Eingentlich.

— Najlepsza szynka była dawniej u nas — odparła-by Ciocia. — Dziś nawet o marną w Delikatesach trudno.

Ale ja nie odparłam nic. Chociaż z Francją jeszcze oficjalnie wiązały mnie uchodźcze papiery, czułam niejasno, że bronić jej szynki nie mam już obowiązku: stróżka w domu, stróżka w Ośrodku — wszystko dostatecznie dało mi się we znaki. Jeżeli zaś chodziło o szynkę ojczystą, tak ta, do której wdychała Ciocia, jak i — tym bardziej — ta, której opiewała często brak, zasadzała się u mnie w sferze wiadomości nabytych drogą informacyjną, za których prawdziwość nie byłam odpowiedzialna. Zresztą, zobaczyłam z daleka metalowy kosz. Z daleka i niepotrzebnie, bowiem Helmut, wpakowawszy ostatni kęs chleba do ust, zmiął papierek w kulkę wielkości piłki ping-pongowej i zgrabnie rzucił ją za siebie, po czym rozłożył koc na zalatującej smołą ziemi. Warto w tym miejscu przypomnieć, że rzeczywistość zaczęła się rozpraszać. Ponieważ, siłą rzeczy, znikły jednocześnie rozmaite przymyki dzierzawcze, które dla uproszczenia zwykliśmy z nią kojarzyć, łatwo zrozumieć, dlaczego to, co wkrótce miało nastąpić automatycznie schroniło się poza jej ramy. Bezkarność na ogół głównymi biega drogami, lecz jeśli niekiedy skręca na boczny tor, by w wątpliwej gęstwinie rozległej puszczy zapomnieć na chwilę o Europie, to chyba jedynie dlatego, że jak się rzekło, wyjątko-

wo mroźną zimę wyparło upalne lato. Toteż dobrowolnie i pojednawczo usiadłam obok Helmuta na kocu, o którego włochatą nawierzchnię zaczepiała się spacerująca poważnie mrówka upadając co chwilę pociesznie na nos.

— Ghghghe — rzekł Helmut i zdjął okulary, które zamiast na brzuchu umieścił przezornie w jednym z rogów koca, a brzuch swój zbliżył do mojego, co pewnie tylko dlatego nie wyglądało śmiesznie, że z ewentualnym wyjątkiem mrówki, tak czy tak pozbawionej poczucia komizmu, nikt dokładnie nie widział, jak się to stało: ani Helmut, wyzuty z okularów, ani ja, leżąca obecnie na wznak. Wpatrywałam się we wbity w niską gałąź, zimowy jeszcze, pasożytniczy pęk jemioli i jedynie kątem oka śledziłam mego towarzysza, który odpinał pierwszy guzik koszuli, potem drugi; krawat, ma się rozumieć, dawno już zdjął, marynarkę zaś, starannie złożoną, zostawił na tylnym siedzeniu samochodu, żeby się nie zmieła.

Mrówka, ciągle ta sama, przemaszerowawszy po przekątnej jedną czwartą koca, natrafiła na przeszkodę w postaci mojego przegubu, przez który, pozornie bez zastanowienia, jęła się przeprawiać, nie przewidując zapewne, że trudniejsze w dalszych etapach czekają ją wspinaczki. Jeśli poległa na skutek następnej fazy zbliżenia pomiędzy rozsapanym już teraz zupełnie na serio Helmutem a udającą pomimo wszystko zdziwienie mną, sama sobie winna. Dokąd się pchała i po co?

Nachylona głowa zakrywała obecnie gałązkę jemioli i pozwoliła mi stwierdzić, że gołe oko Eigentlicha jednak było piwne. Oko wkrótce zamazała gęstniejąca bliskość, w której rozjuszony świst oddechu, już nie tylko Helmuta, zagłuszył tykanie naszych zegarków. Odpięta koszula odchyła się od grubego karku ukazując wszytą wewnątrz pod kołnierzykiem etykietkę z rzeczowym napisem OHNE BÜGELN GLATT, niewinnie użytym w celach informacyjnych na bieliźnie, która naprawdę i bez prasowania jest wyprasowana. W tej groźnej, wiele innych

przypominającej, trójwyrazowej formie staje się hasłem nie tylko zwycięstwa przodowników gospodarczej Europy, które ta ochrzciła cudem, nie tylko sukcesem pękających Volkswagenów, najtaniej wyrabianych pneumatycznych korkociągów, najcieplejszych narciarskich skarpet, najdłuższych autostrad, nie tyle triumfem, który muskularną Gretchen z przylizanym włosiem przemienił w smukłego wampa o grubych, zalotnych wargach, ile... Litery rosną i potężnieją, wskakują na transparenty unoszone przez długą kolumnę prężnych żołnierzyków w głębokich hełmach na oczach, sztywno wyrzucających przed siebie nóżki. Maszerują od Łuku Triumfalnego przez Pola Elizejskie do placu Concorde, po którym rozplývają się zwolna. Płyną żołnierzyki, mnożą się transparenty. OHNE BÜGELN GLATT fałuje gęsto w polu mojego widzenia na dowód, że to, o czym myśli kobieta w takich momentach jest sprawą dowolną, najczęściej nie tą, która najokazalej na sercu jej leży: nylonowa koszula, z której niegdyś tak wesoło po upraniu kapąła woda na podłogę łazienki, ta jedyna koszula Artysty, zawsze czysta i gładka nazajutrz — to jedyne szczęście, które mi się udało schwytać na tym padole bielizny nie potrzebującej prasowania i mężczyzn nie potrzebujących kobiet.

Ostatni transparent opadł pozwalając w polu mojego widzenia zjawić się jemiele. Helmut obsunął się na koc, posapał jeszcze przez moment, a potem wydał to pierwsze westchnienie, które do rzeczy już nie należy, a które mężczyźni przywraca rozsądek: poczucie czasu, przeszerzeni i obowiązku.

Toteż, przypuszczalnie, z obowiązku zapytał mnie w drodze powrotnej:

— Ilu ty, *eigentlich*, miałaś kochanków?

— Czterech — odrzekłam nie bez dyskretnej pomocy palców.

— Czterech, włączając mnie?

— Nie. Włączając ciebie, będzie pięciu — sprecyzo-

wałam nie rozumiejąc jeszcze, dlaczego jego miałabym wliczać do rachunku.

— No, to nie jedź tak prędko — zaniepokoił się — bo się zabijemy, a nie trzeba pozostawać na nieparzystej cyfrze.

Tu należało się roześmiać, ale ja jedynie zwolniłam. Niebawem wyprzedził nas niewielki Opel z luksemburską tabliczką, błyszczącą w popołudniowym, szczególnie dokuczliwym słońcu, które nacierało na nas od tyłu.

— Duszo — biadolił Helmut. Brzuch nie trząsał się więcej; sztywniejszy i bardziej zadzierzysty, nie umiał już wcisnąć się w zakamarki przestrzeni, która, zresztą, nie robiła obecnie wrażenia wolnej. Brzuch wyraźnie uwierzał; przez otwarte okienko mój sąsiad rzucał posępne uwagi, których treści już nie pamiętam.

Przy wjeździe do jednego z fabrycznych miasteczek zgrzytnęłam raptownie hamulcami. Tleniona blondyna w ciąży, popychająca ciężki wózek w poprzek szosy, przeszła powoli, obrzucając nas oburzeniem. Spojrzałam na Helmuta, który odrzucił tę ofertę solidarności i krzywił się z niesmakiem.

— Mówiłem, żeby nie jechać tak szybko — powiedział.

Ruszyłam, a Helmut czyścił okulary chusteczką.

— Gorąco — wykrztusił nakładając okulary. — Ciasno w tym samochodzie.

Helmut zamilkł, a ja po raz pierwszy pomyślałam o Grajfrze, w następstwie czego bezwiednie dodałam gazu.

— Ależ nie tak prędko, *um Gottes Willen!* — zawołał Eigentlich zgorszony. — Proszę jechać wolniej: ja mam dzieci!

Wjeżdżaliśmy w wilgotną mgiełkę Paryża; byłam spocona, rozczochrana i głodna, spragniona przy tym wody i jakiejś retorycznej bodaj ozdoby, która by mnie zapewniła, że nic się nie stało, że na razie wszystko jest w porządku, a w przyszłości będzie jeszcze lepiej. Da-

remnie, gdyż Eigentlichen stać było jedynie na pożegnalne:

— No to może się zobaczymy... *in Posen*.

Krew uderzyła mi do głowy, ale gdy później sama odprowadzałam samochód do garażu, pomyślałam z przykrością, że sama sobie winna. Dokąd się pchałam i po co?

## IX

Po co? Po co na przykład u wylotu mojej ulicy, na rogu placyku, o kilka kroków od osnutej hortensjami kwiaciarni, chłopczyk w wieku przedszkolnym, z gwizdkiem w ustach, wywijał długą rumianą bułką, z tych co to we Francji są chlebem codziennym? Bułka w prawo — gwizdek. Bułka w lewo — gwizdek. Bułka pionowo: chłopczyk spojrzał na mnie badawczo, a zrozumiałwszy, że go obserwuję, uciekł na drugi róg placyku i tam począł znów bawić się w policjanta regulującego ruch. „Ten przynajmniej się nie nudzi” — pomyślałam i poczułam ostry ból zęba. To szybko jak na karę za przewinienie, którym to słowem określiłaby Ciocia moją zabawę z *Eigentlichem*. Ale za to ja byłam w porządku, bo czyż Niemiec i ząb nie znosili się nawzajem prawidłowo jak zbrodnia i kara?

— Pod Ulm, pod Ulm, pod Austerlitz — nuciłam miarowo, wchodząc po schodach, lecz do zęba, który w takt uderzeń moich obcasów w spróchniałe belki stopni wbijał mi trzy korzenie w oko, wkradła się jeszcze świadomość, że Ciocia i bez przypadkowych konsekwencji mojego bywania w polskim konsulacie góruje nade mną cierpieniem: straciła przecież tak niedawno kochanka, podobnie jak ona męczennika Rzeczywistości. Kto zaś jak nie *Eigentlich* męczenie to puścił w ruch?

Pograżona w obliczeniach dochodów i rozchodów sumienia przypominałam sobie jednak w ostatniej chwili poprzedzającej przywitanie Cioci, jednocześnie ze spojrzeniem rzuconym na kuchnię poprzez otwarte drzwi (ach, te otwarte drzwi!), że to przecież Ciocine Szekspiry, Ciocine szmiry, Kischka i Kupka, a nawet portret Berga przez Schönberga, powstrzymały rurę od odzyskania pierwotnego kształtu. Dlatego też powitałam Ciocię bez cienia pokory, umyślnie nie doliczając podania o repatriację do rachunku. I powiedziałam monotonna, śpiewnie, od drzwi Pokoiku, po którym buszowała Ciocia, a może tylko chciałam powiedzieć i odwagi zabrakło:

— Pod Ulm, pod Ulm — przyglądając się Cioci to zuchwale, to kokieteryjnie, a dłońmi przykrywałam sobie ostentacyjnie policzek.

— Cybalgina — orzekła Ciocia.

Tym sposobem wszystko, co myślałam i robiłam oraz wszystko, czego nie myślałam i nie robiłam — a tego było najwięcej — przestało się skupiać wokół Grajfra, lecz nie ma tego złego, co by na gorsze nie wyszło, skoro jednocześnie to pierwsze zaczęło coraz częściej przerastać moje możliwości. Na przykład, urwał mi się guzik od płaszcza deszczowego i natychmiast zginął, co wskazywało na stosowność odprucia reszty i kupienia wszystkich nowych guzików, następnie przyszycia ich, ale zwlekałam. Niebawem przetarła mi się sprzączka od zegarka, groziła przez jakiś czas zgubieniem zegarka, potem pękła, co zdecydowało o kupieniu guzików; ale dopiero gdy zatkał się na dobre zlew w kuchni, poszłam po nową sprzączkę, a z przeczyszczeniem zlewu trzeba było czekać na zaleczone ongiś kapanie kurka, który na razie, cudownie ocalały, zakręcał się szczelnie, i to z poufałym zgrzytem. W międzyczasie zakwitły kasztany, chudo i nędznie. Deszcz zlał je raz i drugi.

— Jak ten czas szybko mija! — wzdychała czasem Ciocia.

Kładłam się coraz wcześniej, a wstawałam niemal tak



późno jak Ciocia, wychodząc z założenia, że najlepszym stanem dla ducha, to leżenie w łóżku ciała. Dwie noce z rzędu śnił mi się szczur, trzeciej nocy nic; nazajutrz we śnie ukazał mi się już kot, a więc stanowczo wykazywałam postęp. Potem ząb rozrósł się do rozmiarów słonia, który nocami trąbą odpędzał sen jak natręta.

— Cybalgina — klepała wciąż Ciocia, aż pewnego dnia, zmieniając taktykę, rozsiadła się uroczyście na kuchennym stołku i, oczekując zakipienia wody w saganie, rzekła:

— A może by tak zadzwonić do Rurologa.

Po chwili wstała; gumową pompką operując w pełnym pomyi zlewie, rozpryskała ćwierć jego zawartości na siebie, drugie tyle na podłogę. Reszta brunatnej cieczy, zachłystując się i bulgocząc, spłynęła powoli i bulgotała jeszcze potem, Ciocia zaś rzuciła pompkę pod zlew i przytknęła ucho do rury.

— Coś tam bulgocze — powiedziała.

— To w zlewie, Ciociu — odbąknęłam — a trochę także w saganie.

Sagan rzeczywiście huczał wesoło, a ja myślałam, że gdzie te czasy, kiedy herbata była symbolem i że dłuższe przebywanie w Paryżu, a zwłaszcza perspektywa pozostania w tym mieście na zawsze, wyzwoliły Ciocię z ślepej wiary w zachodnie instalacje. Ale to tylko domysły, bo Ciocia przeczytawszy w lepszej epoce dziejów kilka stron na drażliwy temat sublimacji — a będąc ponadto, jak się rzekło, osobą dobrą — chciała mi zapewne Rurologiem Cybalginę zastąpić.

Proszki uspokajające, które ostatnio pomagały już tylko Cioci — i to, zresztą, samym swym leżeniem w szufladzie — wyczerpały na tyle swą skuteczność, że powrót do porządku nocnego przestał mi się wydawać prawdopodobny, a innych porządków, łącznie z dentystycznymi, zaniechałam przecież od pewnego czasu. Zresztą, byłam pewna, że tylko na tyle można Pana Boga oszukać,

ile się prześpi. Toteż nolens-bolens zamówiłam się ostatecznie do lekarza.

— A jaki to profesor, Kochanie?

— Nie żaden profesor — odrzekłam — tylko zwykły lekarz. Omnibus.

— A znasz go? — pytała Ciocia troskliwie.

— Z książki telefonicznej.

— To wy tak? Do pierwszego lepszego? Z książki? Pierwszy z brzegu?

— Oj, nie pierwszy, tylko drugi — zniecierpliwiłam się. — Pierwszy nie mógł, bo sam chory. Zresztą, dlaczego od razu w y? Nie my, tylko ja. Może inni postępują tak samo, albo zupełnie inaczej. W tym wypadku przecież chodzi zaledwie o receptę na proszki nasenne — rozgadałam się.

— Najlepsza jest Cybalgina — zawyrokowała Ciocia.

Na ścianach poczekalni wisiały litografie przedstawiające — głównie przy udziale gilotyny — sceny z tego właśnie okresu, kiedy ludzkość zastąpiła wystawanie w przedpokojach Ludwików wysiadzaniem na Ludwikach w poczekalniach. Nigdzie zresztą ewolucja historii nie rzuca się tak gwałtownie w akt siedzenia, jak w poczekalniach lekarzy, zwłaszcza dentystów (do których chodzenie zupełnie mi się przejadło), w mniejszym stopniu — internistów. Ale i tu, na niskich stolikach leżą numery sprzed kilku miesięcy, może lat, czasopisma geograficzno-podróżniczego oraz tygodnika poświęconego sztuce i architekturze, do których nie zagląda nikt. Czekający w milczeniu zaglądają sobie, natomiast, od czasu do czasu w oczy: albo buńczucznie, by tym sposobem utwierdzić w umyśle współczekających pewność swego pierwszeństwa, albo — w zależności od wypadku, który sam najsprawiedliwiej przebywa na swoim miejscu — pokornie oddać hołd pierwszeństwu pozostałych. Po nieokreślonym czasie wchodzi do poczekalni sekretarka i znacząco spoglądając na zegarek — komentarz ogólnej

dezaprobaty, mimo że przecież nie z własnej winy ciągle tu jeszcze siedzimy — zapala światło, które potem tli się 25-wattową żaróweczką pod pękatym, jedwabnym abazurem, zdobnym w aksamitkę koloru bordo. I wtedy dopiero przychodzi na mnie kolejka.

Wysoki lekarz w wieku, który Ciocia nazywała młodym, już od drzwi ordynacji, otwartych grzecznie przez siebie samego, ostrzegał mnie naiwnym stetoskopem, wystającym z kieszeni rozwianego kitla, że w medycynie nic się nie zmieniło od wieku, że dla pacjenta robi się w najlepszym razie mało, za co i tak ubezpieczalnia społeczna zapłaci.

— Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby pani mi poleciła jakieś skuteczne proszki — powiedział, gdy wyjawiałam mu cel wizyty. — Ja już w żadne nie wierzę. Mnie żadne nie pomagają.

Machnął ręką. Na palcu nosił pierścionek z sygnetem obrazującym trzy pierwsze litery alfabetu. Reszty się domyśliłam. Zaraz też stanęłam w obronie sprawy, która mnie tu przywiodła po dwukrotnym szczurze, po kocie, po słońiu.

— Przecież Lumidrek, Dormider, Pleksołup, albo Morfobucal. W ostateczności Ariadne aus Naxos. To szwajcarskie, bardzo dobre.

— Ech tam! — i znów machnął ręką. — Nie pomaga.

— No to może Sleep-a-hoy, albo Królowna Śnieżka. Jest też jeden szwedzki: Serenitas... Serenitatum, czy coś w tym rodzaju.

— Wiem: Serenis-Halversen — podrzucił lekarz. Usłyszałam nudę w jego głosie i rychło poczułam ją w zębie, który jak gdyby się uspokoił. Może nerw skończył sam od siebie, pomyślałam w pełni świadoma fatalnych następstw takiej doraźnej ulgi. — Wszystko na nic — upierał się lekarz. — Ja też nie mogę spać.

— Jak to? To pan doktor też? — zapytałam zdumiona.

— Też — odparł skwapliwie. — Mam różne kłopoty, zmartwienia. Ech!

A więc on się przyznaje, że on też! Niezwykłe! Lekarz cierpiący na bezsenność. Pożałowałam nieobecności Cioci, bo tu, po długim czekaniu, spadł mi znowu — tym razem w białym kitlu — dowód, że właściwie nie wolno się powoływać na rzeczywistość, która nie jest niczego dowodem. A jeśli czasem, przez przypadek, mimo wszystko dowodem się staje, to chyba tylko wtedy, kiedy na krótko przestaje być rzeczywistością. No, bo i cóż? Byłam u lekarza, i ten jednak coś w końcu wypisał. ABC sunęło po recepcie, potem po formularzu ubezpieczalni społecznej.

— Librium — powiedział podając mi papiery. — To teraz bardzo modne.

Natomiast Ciocia, którą nazajutrz wiosna wcześniej wyrzuciła z domu, powiedziała po powrocie ze spaceru:

— Tak pięknie zakwitły w tym roku kasztany. Nigdy tak tłustych, pełnych ich kwiecistych świeczek nie widziałam w Kraju, ani nawet tu przed wojną.

— No, widzi Ciocia — odparłam. — Postęp!

— Lubię wieżę Eiffla — ciągnęła Ciocia — w powietrze wtłoczoną własną sprawę każdego człowieka.

Wysoko mierzyła, ale i mnie w owo przedpołudnie cisnęły się do mózgu rozmaite egzaltacje: na przykład kurze pierze, które dopiero dwie godziny wcześniej wyrzucano bujnymi garściami na podwórko przez okno najbardziej spode łba patrzących moich sąsiadów, a mina ich weselała jedynie na widok niedzielnie przystrojonych, zawsze tych samych dwóch młodzieńców, przybywających jednak w sobotnie przedpołudnia na nasze podwórko. Stali tam z dwupalcowym gwizdem, z zadartymi głowami i z okrzykiem:

— Zum, idziemy! Zum, czekają! Zum! Zum!

Jeden z Zumów starszego chowu, po wychyleniu się przez parapet i odkrzyknięciu „hu!”, zbiegał łomotliwie z bardziej od moich walących się schodów wspólnej nam

kamienicy. Potem kroczyli już w triumfalnym szyku, Zum i ci drudzy, a przechodząc obok groty obrzucali ją zumowym światopoglądem, oczywiste bowiem było, że rej w tej trójce wodził mój sąsiad. Jeśli chodzi o drobne płatki kasztanowego kwiecia, jakże nikłe w porównaniu z podwórzowym pierzem, a w których wiadomo dlaczego Ciocia dopatrzyła się, jak w wielu zjawiskach tego miasta, tłustości, padały one na asfalt bardzo od mojej odległych ulic.

Nic przeto dziwnego, że przy tego rodzaju rozmowach z Ciocią dochodziło do pomieszania umysłów, naszych umysłów, a przecież najczęściej każdy sobie skrobał choćby szparagi, które właśnie potaniały na rynku, co nie uszło uwagi Cioci, wtłoczonej we własną sprawę każdego człowieka. A więc ja — łaps za koszyk i na targ. Nie spieszyło mi się wcale, szłam leniwym krokiem wzdłuż głównej targowej ulicy, wypatrując z dala co grubszych szparagów i pewnie dlatego mnie, osobę pozornie wolną od trosk — bo czyż człowiek zatroskany może tak wolno się poruszać? — chwyciła za ramię babulinka i tak prawi:

— Właśnie kupiłam pożywienie dla kanarka. Bardzo teraz drogie.

— Pani ma kanarka? — zawołałam. — Jakież to miłe!

— Drogie, powiadam — ożywiła zdanie w tym miejscu, w którym znieruchomiało. — Dałam 100 franków i wydali mi 30. Więc kosztuje 50.

— To znaczy, że zapłaciła pani 70 franków, które, zresztą — dodałam pod wpływem Cioci — nazywamy obecnie *centimes*. Siedemdziesiąt, to tanio bardzo. Sama miałam kiedyś ptaszki... co prawda nie były tak szlachetne, jak kanarki — zapewniałam babulinkę dodając jej tym samym prestiżu — ale siedemdziesiąt, to bardzo tanio, proszę pani.

— Nie siedemdziesiąt, tylko pięćdziesiąt kosztowało, bo wydali mi trzydzieści — spierała się babulinka wyj-

mując papierową torebkę z siatki, w której był też banan i główka zielonej sałaty. Tą ostatnią, jak mi oświadczyła, karmiła żółwia sąsiadki. — To taka sknera — dodała z ubolewaniem — że biedny zwierzak głodem przymiera. Ależ to czasy, moja paniusiu! — utyskiwała babulinka. — Cóż to się na świecie podziało? Jacy ci ludzie są! I taka drożyzna! 50 franków — zawodziła potrząsając torebką, rzeczywiście niewielką i nie całkiem pełną — za garść ziarenek, które kanarek w niespełna tydzień spala. Bo on dużo śpiewa. Dobrze, że choć torebkę dodają — zawołała po krótkim zamyśleniu, trwając nadal w jęklwym nastroju. — Dawniej, wie pani, przed tamtą wojną, i przed tą też, nawet papieru żalowali — rzuciła chowając torebkę z powrotem do siatki.

— No, to może jednak coś się zmieniło na lepsze — zauważyłam, przedłużając rozmowę, ale jednocześnie niecierpliwie spoglądałam na boki. — Zresztą, grunt że kanarek wszystko przeżył, i pani także.

— A ten banan, wie pani — podjęła babulinka — to dla mnie. — Zachichotała figlarnie. — Trochę mi szkoda i doktor zabronił, bo trawienie mam ospałe, ale lubię banany — oświadczyła, a chichot pozostał jej na twarzy w formie uśmiechu. — I ostatnią wolę już mam spisaną rejentalnie, a jakże!...

Jeszcze tak niedawno zamierzałam, jako właścicielka 47 metrów kwadratowych powierzchni miasta Paryża, jednego samochodu, dwóch futer i dwóch kur, sporządzić u adwokata testament. Myśl o pójściu do urzędu, bardziej jeszcze niż cyniczne pozbycie się ptaszków i przerozbienie starszego z dwóch futer na pelisę do płaszcza (dodać należy, że wbrew woli Cioci, która w futrzanych podbiciach zawsze upatrywała zły smak źle ukrywanego ubóstwa), ostudziła mnie w zapędach. Niech się głowią potem — myślałam nieraz, pomijając bezmyślnością to, że p o t e m coraz częściej wypadało na mnie zza rurokretów i że w zależności od jednego wydarzenia — odpowiedzi z konsulatu, na którą czekałam udając sama

przed sobą, że czekam na coś zgoła innego — tak kiedyś mnie przyszpili, że ani się spostrzegę, jak przemieni się w p r z e d t e m.

Kupiłam po drodze wiązanek konwalii, a więc postąpiłam tak, jak się postępuje w pierwszych dniach maja, po czym stanęłam przed szczególnie apetycznym straganiem warzywnym. Kto powiedział, że we Francji nie istnieją kolejki po artykuły spożywcze? Przypuszczalnie Cio-cia. Wpatrywałam się w ułożony jak drzewo w tartaku stos białych szparagów, czekając aż pani stojąca przede mną zakończy przeprowadzaną transakcję zakupu 750 gramów właśnie także szparagów. Waga, na którą sprzedawca położył kilkanaście dorodnych okazów królowej jarzyn, pokazywała 800 gramów, kupująca zaś krzywiła się w rozterce, gdyż smutno jej było rozstać się z sumą, którą wypadałoby dorzucić, gdyby lekkomyślnie zaakceptowała pokażniejszą niż potrzebna jej do obiadu ilość szparagów.

— Dorzucić, czy odjąć? — zagadnął sprzedawca robiący wrażenie prawdziwie zaangażowanego. Chwycił dodatkowy szparag w palce i trzymał go o kilka centymetrów ponad szalą, sprawiając, że wskazówka wagi zeskokczyła do 725 gramów, podczas gdy pani milczała. Sprzedawca odrzucił więc szparag na stos i wybrał cieńszy, który zgrabnym ruchem dołożył do ewentualnych jego przyszłych towarzyszy. Bacznie śledząc ruch rozhuśtanej wskazówki, która ustaliła się w końcu przy cyfrze 775, kupująca westchnęła; następnie zapytała, ile musi dopłacić, a usłyszawszy wyrok, jęła sobie całą sprawę przekładać w umyśle odwróconym do mnie profilem. Wreszcie otworzyła torbę, potem portmonetkę, następnie przegródkę zamkniętą na zatrzask i znacząco wydobyła spośród innych brzęczących monet wielkie, ołowiane kółko starej pięciofrankówki, które wytoczyła na rękę sprzedawcy. I poszła z tym swoim nadprogramowym szparagiem, podczas gdy ja rozpatrywałam możliwość, że chyba także na takich zapobiegliwościach wyrosła, zakwitła i

prosperuje wielkość wspólnej nam wszystkim ojczyzny, Francji, a prosząc sprzedawcę o całe kilo szparagów, wyrażałam w duchu życzenie, aby list, którego oczekiwałam, zawierał odmowną odpowiedź. Życzenie przelotne, bo Ciocia potem mnie kazała obierać szparagi, a konwalie wahała z taką rezerwą, że zrozumiałam, jakiej jeszcze by się przez dłuższy czas po mnie spodziewała wdzięczności za wzięcie na siebie trudu drugiego sprowadzenia Rurologa. Sama zaś zaraz po obiedzie dokąds pobiegła, zostawiając naczynia nie pomyte a walizki wysunięte.

— Ściana wygląda lepiej — zawyrokował Rurolog w sposób, jak na niego, zrozumiały. Kręcił się wolno po kuchni, spozierając na wszystkie strony. Coś sobie obliczał na palcach, kościstych i zrezygnowanych, które za pierwszym razem uszły mojej uwagi.

— Zrobiłam, co mogłam. Lepiej, prawda? — przeciągałam Rurologa na szalę dobrej myśli, ale on nie deklarował się na razie.

— Lepiej, lepiej — mruknął i złapał rurę kościstym i zrezygnowanym uściskiem w samo miejsce zgięcia, czyli dawnego spojenia. — Gorzej, gorzej — mruknął.

Spuściłam głowę na znak skruchy, wstydu i czegoś tam jeszcze, czego nie sposób było wyjaśnić samym spuszczeniem głowy. Rurolog, jakby zgadując, że nie sposób, stłumił nieudolnie wyrzut w głosie.

— Trzeba było czekać, warować. Przecież załatwiłem... Pierścieniem też można było... umorzyć na jakiś czas...

Spuściłam więc głowę niżej, zdziwiona, że Rurolog nadal przemawia osobliwie zrozumiałymi zdaniem.

— Kupiłam pierścień — wyznałam w końcu.

— Właściwie, nieważne — odparł Rurolog, a ożywając się dodał: — Ważne jest...

Był to znany mi zwrot, który dotychczas zawsze działał na mnie dodatnio. Wiedziałam, że Grajfer nie przejdzie przez gardło Rurologowi i byłam mu za to wdzięcz-



na; z drugiej zaś strony chciałam doń podejść w jakiś bardziej ruralny sposób i wspominając pierwotną diagnozę zaryzykowałam ze spokojem:

— Nie udało się odchlōnić, wie pan, tych wzakrotków. Nie moja wina, naprawdę. Niech mi pan nie bierze za złe.

Rurolog wyraźnie posmutniał.

— A ja myślałem — rzekł po chwili. — Panie zawsze załatwiają wszystko powierzchownie. Byłe ścianę odmalować, to grunt!

Milczałam, zamiast niełojalnie wypalić: „To nie ja!” i całą winę zrzucić na nieobecną Ciocię. Swoją drogą, dokąd ona znowu pobiegła?

— Ale ja rozumiem życie — powiedział Rurolog kojąco.

Odetchnęłam z ulgą. Więc jednak jest ktoś, kto rozumie. Na kol. Szyi wielkie wrażenie zrobiłby mój tak dogłębny kontakt z Zachodem, który — kto wie? — można by było potem wykorzystać dla bardziej istotnych celów. Wylatywałam myślą naprzód, czując że tu już wszystko było stracone. Potem przeraziłam się ważkich słów zawartych w moich szybko mknących lecz nie obrastających w treść myśli. Więc podczas gdy Rurolog rozwijał swe poglądy, ja, nie tracąc drogocennego, jak się go zwykle określa, czasu, szukałam właściwego sformułowania. Już w duchu składałam skomplikowane pytanie, gdy w końcu, zarzucając wszelką taktykę, zagadnęłam po prostu:

— A na kiedy przewiduje pan?

Zapewne przerwałam mu dalszy ciąg wywodu.

— Co? — powiedział i usiadł na stołku. Było widoczne, że wie, i co, i kiedy. — Biedne dziecko — dodał wzruszony. — Cóż pani powiedzieć? Nie pociągnie dłużej. — Westchnął.

— Ale jeszcze z kilka tygodni może — sugerowałam.

Rurolog zacisnął wargi, potem krótką sylabą przeciął wszystko:

— Dwa.

— Dwa — powtórzyłam.

— Dwa tygodnie, nie więcej — klarował z prośbą o przebaczenie w oczach. — Najwyżej dwa — mówił z rosnącym przekonaniem. — Nie twierdzę, że co do minuty.

Rurolog spojrzął na zegarek, co jest zawsze dobrym zajęciem, gdy się już niczego więcej nie ma do powiedzenia. Spojrzałam i ja na swój: dochodziła druga. Rurolog poczęstował mnie papierosem — też dobre zajęcie po spojrzeniu na zegarek. Postępowaliśmy prawidłowo. Nawet usiadłam na ulubionym kuchennym miejscu Cioci i natychmiast zaczęła ogarniać mnie Rzeczywistość. Rurolog, podejrzewając że tak właśnie być musi, znowu powiedział:

— Biedne dziecko!

Byłam przedmiotem współczucia — stan, który przez poczucie sprawiedliwości, a może też trochę dzięki nieobecności Cioci, uważałam za należny mi w tej chwili. Rurolog znów zgadywał me myśli:

— A ta pani, co tu była zeszlým razem, już wyjechała?

Teraz z kolei posmutniałam ja.

— Ach, panie! Tyle się od tego czasu zmieniło — zawołałam.

Rurolog popatrzał z ukosa na wygiętą rurę i pokiwał głową:

— Tak tak — szepnął. — Domyślam się.

Tej umowności było mi trochę za wiele. To już zakrawało na udział w jakiejś teatralnej scenie! Po co aż tyle symbolizmu, pierwiastka ostatecznie obcego mojemu stylowi? Nic tu przecież nie wykraczało poza granice wytyczone poznawalną rzeczywistością, moim od pewnego czasu polem działania. Zresztą, zawsze byłam wyznawczynią pełnego realizmu i gdyby nie nagłe pojawienie się w

mym życiu Cioci, cóż by Rurolog lub ktokolwiek inny miał w tej chwili do rozumienia, czy też do domysławiania się? Nigdy nie życzyłam sobie oderwanych, brzemiennej w znaczenie, krótkich fragmentów zdań, wypowiedzianych przez starych a prostych, kościstych ludzi. To pretensjonalne! Pseudo-anty-intelektualne. Trzeba z tym skończyć, a Rurolog niech sobie ostatecznie idzie, skoro niczym mi służyć nie może, jak tylko zrozumieniem. Zgasiałam rezolutnie papieros w przygodnej popielniczce, należącej już do Ciocinego zbioru posłańcowych muszli.

— Nie o nią wcale chodzi — powiedziałam z tak dwuznacznym machnięciem ręką, że nie wiadomo było, czy Ciocię czy też rurę mam na myśli. — Ona tylko zmusiła mnie do zajęcia stanowiska w rzeczywistości, a raczej w Rzeczywistości; odtąd wszystko już samo poszło.

I to nie pomogło: Rurolog i to zrozumiał, a na znak zrozumienia pokiwał znów głową. Posiedział jeszcze trochę. Po przemaszerowaniu korytarza, na odchodnym złożył swą kościstość na moje ramię. Bąknęłam coś w rodzaju:

— Rachunek... należne honorarium... za fatygę.

Rurolog roześmiał się, kościstymi palcami przetarł sobie najpierw czoło, potem oczy, i nos, i usta, i brodę, które kolejno nabierały wyrazu rezygnacji. W końcu rzekł wkładając kapelusz:

— Dziękuję, nie potrzeba. Czy pani myśli, że ja nie rozumiem, co to jest rzeczywistość?

Przez całą niedzielę tłumaczyła mi Ciocia znaczenie tych słów.

— Dobry człowiek — mówiła Ciocia z aprobatą. — Zawsze twierdziłam, że dobrzy ludzie są najlepsi. Wy tutaj, na Zachodzie...

I tak — do poniedziałku, kiedy stanęłam na pierwszym podwórku, nie umyta, nie uczesana, w spódnicy i żakiecie wciągniętych wprost na podkasaną koszulę nocną. Dwa psy z sąsiedniej kamienicy chrupały sine kości porzucone wokół kubłów, głośno mlaskały jęzorami

i merdały — jeden ogonem, drugi, w braku ogona, tą częścią ciała, z której wyrasta ogon, jeśli wyrasta. Prawda! — przypomniałam sobie — onegdaj latało pierze przed moimi oknami: sąsiedzi jedli kurczęta. Zanim jeszcze zdążyłam zapukać do drzwi granitowej groty, otworzyły się one od wewnątrz; wiedźmowata koafiura zawisła w półmroku i rozpoczął się głuchy lament.

— Patrzcie no, na co sobie pozwalają! — zawodziła dozorczyńni podając mi niewielką kopertę, na której z daleka rozpoznałam nadruk konsulatu i serce zabiło mi mocniej. — Patrzcie tylko, do czego zmierzamy — zawołała sprzymierzając się prowizorycznie ze mną przeciw brunatnym Zumom, mordercom kurcząt. Trwając w odwiecznym podwórzowym prowizorium, nie umiała ona dwóch różnych gatunków etnicznych nienawidzić jednocześnie. — Tych przeklętych poliglotów, to już na pewno nie ksiądz u św. Magdaleny chrzcił. — Dozorczyńni miała oczywiście na myśli troglodytów, ale na sam mój widok pomyliła w końcu gatunki. — Ach, biedna Francka! — jęczała.

— Biedna, biedna! — wtórowałam. — Bo przecież dość ciężka była zima, żeby oni tym pierzem śnieg robili w maju.

— Co tam pierze! — zachnęła się dozorczyńni potrząsając miotłą. — Kości poza kubłem. Śmieciarze nie zabierają tego, co jest poza kubłami. Psy przybiegają z całej dzielnicy. Niech pani patrzy, jak te kości są rzucone.

— ...kości są rzucone — powtórzyłam, machinalnie przyciskając odebraną z rąk dozorczyńni kopertę do serca bijącego coraz szybciej. — Naści — wyjęłam z górnej kieszonki żakietu srebrną pięciofrankówkę, którą dozorczyńni chciwie chwyciła w swe szpony.

— *Allez*, na panią przynajmniej popatrzeć się można. Jakby nie było, wygląda pani tak jak my i nawet łazienkę pani ma. Ale to tałatajstwo! — gderwała mieszkanka groty, a w miarę gdy oddalałam się ku memu podwórku i przybliżałam do krętych schodów, słyszałam jej głos

coraz słabiej. — Pani, przynajmniej, zachowuje się jak Francuzka, myśli jak Francuzka, pani...

Byłam jednak niepewna ostatniego twierdzenia dozorczyń, dopóki nie utworzyłam koperty. Rozdzierałam wolno jej gąbczasty bok; papier był wiotki, szarawy i (dewizy!) *made in Poland*.

„Niniejszym...” — czytałam przystając na stopniach, ale za to przeskakując wyrazy — „... że w ramach... i za pozwoleniem Wydziału... Ministerstwa Spraw... przychylnie... obywatelka zechce...”

— Zechce, zechce — mówiłam na głos wpadając z łośkotem do domu, niczym niektóre wydziały Ministerstwa Spraw w czasach, gdy nasza Rzeczywistość była, według określenia Cioci, opanowana... — Zechce — huczało mi w głowie, podczas gdy Ciocia przewracała się na drugi bok.

Teraz dopiero wiedziałam, że już od dawna, zamiast na Grajfra, czekałam jedynie na... przychylnie... obywatelka zechce.

## X

Od dobrej chwili siedziałam przed biurkiem kol. Szyi, wpatrzona w gotowy do odebrania, leżący między nami mój nowy ludowy paszport konsularny nijakiego koloru, czując że na nim również spoczywa wzrok urzędnika wraz z całą powagą jego satysfakcji.

— No, i co? Załatwiło się? — zagaik. — A nie mówiłem?

Nie, nie mówił, ale to już chyba wszystko jedno.

— Proszę podpisać ten dokument — rzekł podając mi pustą kartkę.

— Ależ tu nie ma nic do podpisania — zaprotestowałam. — To jest czysta, biała kartka papieru.

Szyja złożył ręce jak do modlitwy i popatrzył w sufit. Natychmiast zrozumiałam, postawiłam koślawo me imię i nazwisko u dołu arkusza i przypomniał mi się urząd hipoteczny, gdzie wszystkie papiery, które podawano mi do podpisania, były wypełnione literami po brzegi, ale ponieważ tamtych tekstów i tak nie rozumiałam, wychodziło mniej więcej na to samo.

— Człowieku — ryknął nagle Szyja powstając. — Co pani robi? Niech się pani zastanowi! — Złapał się za głowę i wykrzykiwał dalej: — To, co pani chce zrobić, jest szaleństwem. Jeszcze można się wycofać. Władze francuskie nie wiedzą na razie. Niech pani się zastanowi!

Tak, niech się pani zastanowi! — Przysiadł i w pozie nieco złamanej prawki: — Ja pani mówię, że lepiej tu, że Zachód przecież. I to Paryż! Na miłość Boską, Paryż, i kasztany kwitną. — Powstał, wyskoczył przed biurko. — Jezus Maria, kasztany kwitną — zawołał i chwycił mnie za rękę, podprowadził do okna i kazał patrzeć na kasztany.

Spojrzałam przed siebie, ale zamiast kasztanów zobaczyłam, jak na złość, po przeciwnej stronie ulicy nowoczesną kamienicę. Mała dziewczynka, może czteroletnia, siedziała w oknie na drugim piętrze i, wpatrzona w nas z uporem, pokazywała język.

— No, widzi pan — rzekłam ostentacyjnie i usiadłam na swoim miejscu.

Szyja spojrzał na mnie podejrzliwie, zreflektował się po chwili i z lekko obrażoną miną zaczął dumnie kroczyć w stronę biurka. Usiadł sztywno na krześle. Po chwili strach odmalował mu się na zbladłym obliczu; trzęsącą rękę położył na moim podpisie, który zaczął drżeć. Ja byłabym spokojna, gdyby nie kolana, wokół których zamknęły się ołowiane kleszcze. Na szczęście, siedziałam i pomimo krótkiej spódnicy, z tamtej strony biurka kleszczy owych nie było widać.

— Ale tam — Szyja nieznacznie odrzucił głowę na wschód — jak pani wróci — krztusił — to proszę o tych kasztanach specjalnie — przerwał — nie rozprawiać.

— Ależ nie, niech pan będzie spokojny. Ja będę tylko o dzieciach: że siedzą w oknach, nic nie robią, język pokazują.

— To to to! Dzieci! Świetnie! Język pokazują. Tak niech pani mówi — skoczył ucieszony.

A ja myślałam o kawiarni GOOD LUCK i o tym, że chyba tam się udam zaraz po wyjściu z konsulatu. Paszport nijakiego koloru będzie schowanym podstępnie w torbie moim prawem do bzdury, do nonsensu. Lecz o n i — snułam dalej z zadowoleniem — nieświadomi mojego dopiero co zdobytego prawa ich uśmiechów, ich

grymasów i kwasów, potraktują mnie raz jeszcze z po-  
błażliwą wyższością wtajemniczonych.

— Bardzo pani dziękuję — mówił dalej Szyja wy-  
lewnie. — Bardzo będę pani wdzięczny, bardzo, bardzo.  
Bardzo! — Po chwili znów się opamiętał i powiada: —  
Ale za to, że ja pani będę wdzięczny, to i pani winna  
być mi wdzięczna, bo — tu żartobliwie pogroził mi pal-  
cem — tak między nami, kasztanów, właściwie, nie było.  
— Palec nagle stanął w bezruchu. Szyja rozpromienił  
się odkryciem. — No tak. Tak jest. Zgadza się. Jakież  
ja jestem roztargniony! Bo przecież żadnych kasztanów  
nie ma! — i wskazując jako dowód wysoki prostokąt  
okna, dodał w uniesieniu: — I nie będzie. — Teraz  
groził mi palcem na serio i podsunął mi go tak blisko,  
że zobaczyłam ich dwa. Mnożyła się Rzeczywistość; za-  
czynałam rozumieć Ciocię. W strachu, który opuściwszy  
osobę Szyi ogarnął teraz mnie, odparłam:

— To prawda. Wcale się nie spieram. Nie ma kasz-  
tanów, nie było, nie mogą być kasztany.

— Nie o to idzie, że nie mogą być, tylko o to, że  
nie ma — perorował Szyja. — Rozumie pani? Bo to,  
że coś nie może być, jeszcze nie znaczy, że tego czegoś  
nie ma!

Słusznie. Mądrze mówił. Ja kapuję szybko, tylko mi  
trzeba długo tłumaczyć, jak mówią Francuzi. Widać jesz-  
cze nie wszystko wiedziałam i już postanowiłam nie faty-  
gować się do kawiarni, bo na razie nie było z czym,  
gdy nagle zobaczyłam rękę Szyi podającą mi paszport i  
usłyszałam jego głos, wyglądu natomiast nadal nie zdo-  
łałam dojrzeć.

— No, już dobrze. Pani jest rozumna.

„Jak rozumna” — pomyślałam — „to tylko do ka-  
wiarni!”

Podpisałam paszport i schowałam go do torby szep-  
cząc dziękczynne słowa.

— Szczęśliwej podróży! — mówił Szyja szeroką fra-



zają. — Nasz Kraj umie docenić bra... wure, chciałem rzec, bra... brak uprzedzeń, znajomość języków obcych, oblatanie, to znaczy odwagę, by podjąć nowe życie. Doświadczenia zdobyte na Zachodzie, wrodzona inteligencja, humanistyka. To wszystko u nas się ceni. Niech pani nie liczy na luksusy. Nasz Kraj zawsze był biedny. Z początku chyba, owszem, powitają panią z otwartymi ramionami, opowie pani to i owo, może się pani uda, ale w końcu trzeba będzie zabrać się do roboty. U nas praca, praca, praca (gdzie ja to już słyszałam?), wykonywanie w jaśniejącym blasku wspólnych celów i wspólnych nadziei uszlachetnia i popycha w kierunku lepszych stanowisk, ma się rozumieć, mentalnych (nie, tego nie słyszałam nigdy!). A gdy pani wreszcie zrozumie, dlaczego pani wróciła na łono Ojczyzny, nie będzie już odwrotu. — Znow zaczął grozić palcem. — Zrozumie pani również, dlaczego Ojczyzna w swym wspaniałym ludowym kształcie łaknęła tego powrotu i odwdzięczy się pani tak, jak tylko Ona potrafi. A co potrafi, wiadomo. Wystarczy trochę poczytać gazety...

Ze wszystkich krańców świata nawoływano mnie do czytania gazet. Dziękowałam jeszcze długo, żegnałam się obficie, serdecznie. A teraz — do GOOD LUCK!

Kawiarnia poczerniała jeszcze w ciągu tych trzech lat. Wśród ciemnych twarzy stałych już chyba bywalców bieleły jedynie polskie głowy przy jednym ze stolików, do którego podeszłam i rzekłam:

— No.

— No — odparła nieznana mi wyleniała niewiasta.

— No — powtórzyłam entuzjastycznie.

— No — zabrzmiało przy stoliku chóralne tym razem echo.

Glec i Futur patrzyli na mnie z niedowierzaniem, które wzięłam za podziw. Przysiadłam na kulawym stołku i z miejsca zaczęłam się na nim huścić podobnie jak Macio, który zresztą był nieobecny.

— No — zagaił Futur zwracając się do mnie swym

ostrym profilem. — Zaraz widać, że Artysta czasu nie tracił.

— I że miał pojętną uczennicę — dodał Glec krzywiąc usta.

— Czy pani dawno z Polski? — naśladując, chyba prawidłowo, niegramatyczność często w GOOD LUCK słyszanego zwrotu, zagadnęłam Wyleniałą.

— Przyjechałam na trzy miesiące, ale jestem już rok — dodała Wyleniała.

Ciocia także niedługo będzie mogła tak mówić — pomyślałam, a przypomniawszy sobie uwagę Gleca o mojej pojętności, zamówiłam co prędzej calvados i postanowiłam spoufalić się na tyle, żeby obecni dziwili się, jak można bez Krajowego paszportu być na tyle spoufaloną. Chodziło mi przecież o to, żeby zdobyć ironię nad ich ironią, i żeby ta moja polegała na ukrytym na razie przed ich wtajemniczonymi rozumami moim posiadaniu podobnego do ich, czyli ichniego paszportu. Przywołując na myśl aforystyczną metodę kawiarnianą sprzed trzech lat, rzuciłam więc na początek, niby od niechcenia, bardzo skromne:

— Formę wolno stracić tylko na sto procent.

Co nie wywołało głębszego wrażenia, przynajmniej na powierzchni. Futur ziewnął. Mignęła mi przed oczami granatowa otchłań jamy ustnej Futura. No, to wobec tego z innej beczki:

— Ach, jakaż piękna jest moja Mongolia! — zawołałam.

Niestety, Futur ziewnął po raz drugi.

— Brudnawo tu, że aż hej! — wybełkotał dając mi tym samym sygnał do rozpoczęcia odwetu i sposobność, żeby zaimponować, czyli zaiwanić towarzystwu.

— Ha, trudnawo! — odparłam po krótkim namyśle.

Obydwa panowie spojrzeli na mnie z nową dozą nie-dowierzania. Czyżbym nareszcie zaczynała łapać ton? A właściwie, tonik, bo trzeba wiedzieć, że ton to jeszcze nic, a nawet ton tonowi nierówny. Doszłam, jak widać,

bardzo daleko i nie chcąc się zdradzić z paszportem, by na razie jedynie we własnych oczach zachować wyższość, pozwoliłam sobie na lekki zwrot. Nabierali przecież zaufania, nawet gardzili mną już po trochu. Całkowity brak zainteresowania Wyleniałej moją osobą też mówił niemało o mojej nowej przynależności.

— Mam kłopoty z Grajfreem — wycodziłam, co prawda autoironicznie, ale jednak z pozycji przedrepatriacyjnych. Byłam wspaniałomyślna: pozwalałam im wierzyć w zbiorową wyższość, którą się szczycili, i traktować mnie pobłażliwie, mimo że z podpisanym paszportem w torbie miałabym prawo, tak samo jak oni, mówić lub milczeć, ziewać lub rozglądać się i nie zamawiać calva-dos'u.

— To jest dno — warknął Futur zniecierpliwiony. Wyleniała spojrzała na niego z dezaprobatą, podczas gdy ja, niezrażona, uśmiechnęłam się.

— Trzeba walczyć — mówiłam po chwili przekornie do Gleca. — Walczyć, walczyć — powtarzałam zainspirowana wspomnieniem Totusia. — Walczyć — wyrzekłam raz jeszcze i ani się spostrzegłam, kiedy poruszały mi się jedynie usta, a głos, który zapewne potknął się o próg prawdomówności w przedpokoju sumienia, stanął, czyli wysiadł.

— My walczymy — odparł Glec krzywiąc się flegmatycznie — bo m y — dodał z naciskiem — jesteście młodzi. A z tym Grajfreem uważać proszę, bo będzie znów czekając... czekając... czekając na... To łatwizna!

— No, to co? — oburzyłam się. — To co, że łatwizna? Niech będzie łatwizna, i dobre jest! — zawołałam. — Zresztą, to nie o *tego* Grajfra chodzi — powiedziałam jeszcze na odczepne lecz już z równi pochyłej — tylko o *tego* z Grajfreem.

— A, jeśli tak, to wobec tego w porządku — zastrzegł się Glec i w śmiech.

— Chyba należycie wyjaśniłam panu — zawyrokowałam z satysfakcją. — Gramatyka, proszę pana!

— Ech, co tam ze mnie za pan! — zachłystywał się Glec.

— Właśnie, właśnie, cóż z niego za pan? — zapytała Wyleniała, podczas gdy Futur spuścił ostry nos, machnął ręką.

— To jest dno — powiedział i rozglądał się po tarasie.

Przy sąsiednim stoliku jakiemuś czarnemu w tej chwili przewrócił się kieliszek. Czerwone wino lało mu się wzdłuż całego przedramienia. Nie było znać.

— Brudnawo tu, że aż hej! — powiedział Futur. — A zresztą, wszystko bzdura, bzdura. Ja nigdy nie będę w Paryżu — jęknął na koniec.

— Nie będziesz, nie będziesz. Nie stać cię na to — przytakiwała cierpko Wyleniała.

— Cynizm, liryzm, to my — komentował z grymasem Glec, podczas gdy z kolei Wyleniała zaczynała ziewać. „Cóż to za świetni ludzie” — myślałam. — „Brak im, właściwie, tylko pieniędzy”.

— A jak się pani podoba we Francji? — zagadnęłam znów Wyleniałą.

— *Ma foi*, tak sobie. Nic nadzwyczajnego — wzruszyła ramionami.

— Nie może być? Nie podoba się pani? — zawołałam ze zdziwieniem. Coś mi się tu nie zgadzało. Wszak albo się podoba albo nie, ale tak ruszać ramionami!

— Ona ma męża Francuza — wtrącił, krzywiąc się, Glec — co prawda od niedawna, ale już jej się wolno krzywić i grymasić.

Teraz zaczynało mi się zgadzać: dzięki decyzji pozostania we Francji na stałe, Wyleniała tak doskonałą była już Europejką, że miast bronić wątpliwą legitymacją w biało-czerwonej obwódce przynależności do tego bardzo małego i bardzo zarozumiałego półwyspu Azji — jak raz Europę określił Nehru — mogła bezkarnie mieszać go z błotem. Nie masz bardziej przekonującego dowodu autentycznej europejskości.

— Byliśmy zimą we Włoszech — spowiadała się nonszalancko z nudnego sposobu życia współczesnych Europejczyków. — Spotkałam się tam z Indonezyjczykami, z buddystami *Z e n* — dodała z emfazą. — Był też jeden Egipcjanin. To dopiero jest coś! *Ma foi*, Europejczycy są niemądrzy, niesympatyczni, *enfin* — podniecała się podnosząc wskazujący palec, — nie - este - tycz - ni.

— Boże, gdyby Ciozia nareszcie zaczęła tak myśleć! — pomodliłam się w duchu, a na głos dorzuciłam w pełnej świadomości spoczywającego w mej torbie paszportu: — Całe szczęście zatem, że my nie jesteśmy Europejczykami, prawda?

— O! Pani jest Europejką całą gębą — usiłował kąsać Futur, a nos wydłużył mu się ponad stołem.

Uśmiechnęłam się tajemniczo i już zamierzałam się zwierzyć rodakom z fałszywej ich o mnie opinii, gdy do stolika podszedł nieznany mi człowiek, przypuszczalnie nowoprzybyły z Polski, bo ubrany w samodzielną bluzę z rękawami do łokcia i dragonem w pasie. Sportowo ustrojony, limfatyczny ten typ rozpoczął rozmowę od następujących wyrazów:

*W góry, w góry, a wysoko,  
Lotem orła dalej w góry,  
Gdzie nie sięgnie ludzkie oko,  
Ponad słońca, ponad chmury,*

po czym usiadł i dorzucił:

— Chodźcie na Western. Idą dwa w dzielnicy ła-cińskiej. *Come on!* — krzyknął podrywając się.

Jacyż oni światowi! — dziwowałam się. Najmniejsze słówko dobre, byle w obcym podane brzmieniu. Chłonni są Polacy i wbrew temu, co sądzi Europa, przeraźliwie internacjonalni. Czyż na dowód polskich ambicji mieszania narodowych kultur, nawet na własnym gruncie, nie podał mi swego czasu Artysta przykładu bułgarskiego pieśniarza, wspaniałego bruneta z Sofii, który latem 1959

roku, na gościnnych występach w krakowskim Feniksie, śpiewał bezbłędnie przed ubraną w smokingi publicznością przedwojenne tango *Do you remember that night in Zakopane?* Wierzyć mi się nie chciało.

— Patrzcie go! Na Westerny chodzi. Nie bądź snobem, zdolny! — obruszyła się Wyleneiała. — Już ja wolę nowego Antonioni, skoro koniecznie trzeba iść do kina. — Westchnęła i w tym jednym odruchu przypomniała mi Ciocię.

— A gdzie Macio? — zapytałam nagle.

Wszyscy roześmiali się pogardliwie.

— Macio! — powiedział Futur. — Ech tam, Macio! — Futur machnął ręką. — To dno.

— Może już wrócił do Kraju? — spytałam rzeczowo. Z Maciem, gdy go nie bolał ząb, rozmawiałam chętnie. Lubiłam jego zgrzytanie szczękami i tę myśią jego, polską inteligencję.

Futur roześmiał się hałaśliwie.

— Do Kraju, czy nie do Kraju — rzekł, wyzywająco wzruszając ramionami. — I tak, i tak nie ma sensu. Pani nie zna synka Macia — ożywił się teraz Futur. — Synek neurasteniczny, bo papa inteligentny. Jeszcze w wieku przedszkolnym, chodząc po ulicy, pluł na przechodniów. Prawdziwą śliną spluwał, dosłownie. A potem, dziewięć lat miał bestia, kiedy pogryzł psa.

— Obsesje są dzisiaj w modzie — zasugerowałam.

— Może u was — szepnął Glec — bo u nas jest tylko moda na modę. — Wykrzywioną twarz umieścił pomiędzy dłońmi i tak trwał oparty łokciami o brzeg stolika. Podczas gdy wątpiałam o tym, co właśnie wyrzekł Glec, nowy w sportowej bluzie powiedział powstając z krzesła:

— Ja bym się tak może pani przedstawił. Jestem zdolny, dziennikarz z *Tygodnika*.

Wyciągnęłam nieelegancko rękę przez stolik.

— Bardzo mi przyjemnie. A jak się pan nazywa?

— Zdolny. Wojciech Zdolny. Przecież już mówiłem.

Futur z Glecem zabawiali się teraz we dwójkę.  
 — Pierwsza Brygada — rzuca Glec spode łba.  
 — Drugi Korpus — odpiera Futur.  
 — Trzeci... Trzeci Maj — szepcze Glec oglądając się tajemniczo dokoła.  
 — Czwarty do brydża — nieubłagane ciągnie Futur. Wyleniała śmieje się z cicha.  
 — Róbcie to po francusku — powiada. — Może byście się czego nauczyli przy okazji.  
 — Rób ty, jeśliś taka mądra — warczy Glec. — Widzieliście ją? Francuzka! Jeszcze zimą na samochód grosiki się ciułało. Po majtki aż na Montmartre się jeździło, bo taniej. Matczyną gorzałę u Zylberberga się opylało. — Zwracając się do zaostrego profilu Futura Glec dodaje: — Piąte przez dziesiąte.  
 — Szósty rok życia.  
 — Ależ to nic nie znaczy — wtrąciłam się.  
 — Cicho! Dla mnie znaczy — oburza się Futur.  
 — Siódme poty — wymawia cierpliwie Glec i zdejmuję łokcie ze stołu.  
 — Ósmy, ósma, poczekaj... — krzywi się na wzór Gleca Futur. — Ósmy? — Zastanawia się. — Mam: ósmy dzień tygodnia.  
 — Dziewiąta fala — ciągnie Glec niezmordowanie.  
 — Ależ to jest pojęcie międzynarodowe — wtrącam ponownie.  
 — Nieprawda: biblijne. Czyli polskie. W porządku — charczy Glec. — Dalej!  
 — Dziesiąta woda po kisielu — rzecze Futur i dumny jak paw rozprostowuje twarz. Pod wpływem tej wody po kisielu, mnie przychodzi na myśl Ciocia. — A teraz opiać. Wojtek, ty ze mną! Od początku — komenderuje Futur. — Pierwsza Komunia.  
 — Święta — dopowiada Glec.  
 — Głupiś! — unosi się Futur.  
 — Drugie przyjście — włącza się Zdolny.  
 Zapłaciłam, zdaje się za siebie tylko, i odeszłam.

Odeszłam na zawsze... ale nie roztkliwiajmy się, bo dużo jeszcze do załatwienia, czasu mało, jak to w Paryżu, a trzeba zdążyć przed wybuchem rury. Toteż dopiero wczesnym rankiem dnia wyjazdu, oznaczonego z Dworca Północnego na godzinę czternastą bez kilku minut, zdążyłam wpaść do biura podróży po zamówiony telefonicznie bilet kolejowy. Stałam w kolejce do kasy. Przede mną wysoki blondyn odbierał właśnie we frankach pieniądze za nie zużyty bilet powrotny do Łodzi. Z serią pokornych „*Merci beaucoup, Madame*” kłaniał się tyłem wystająco, ukośnie, i tym sposobem rękawem potrącał ustawiony obok okienka, nieaktualny już w tym roku plakat, polecający Francuzom spędzenie Pierwszego Maja w Moskwie. Plakat tańczył na wąskiej przestrzeni obok okienka, aż w końcu runął na podłogę.

— Witaj, majowa jutrzeńko! — powiedziałam jak gdyby do siebie, a potem, zwracając się do blondyna: — Niech pan podniesie to, co pan zrzucił.

Sama nie rozumiałam, co się ze mną stało, skąd to zadufanie, ta szarogęsiowatość. Czy to blondyn serią pięknych gracji podjudził resztki mojej europejskiej jeszcze śmiałości? Czy może paszport w mym ręku wyzwał polską już pogardę dla złotych, które ongiś tenże blondyn uzbierał na bilet do Paryża? Tak czy owak, byłam krytyczna dlatego jedynie, że blondyn postępował odwrotnie niż ja, a warto zauważyć, że krytykę bliźnich wywołuje zawsze odwrotność ich postępowania. Ale dlaczego byłam okrutna? Przecież odwrotność postępowania blondyna, nosząca tak jawne cechy niezgrabności, onieśmienia, całej tej polskiej męskości, szarej, kłaniającej się przed okienkiem, sama już dostatecznie zakłócała swemu twórcy dewizowy rachunek sumienia. Czy nie miał dosyć za swoje? Przecież wystarczająco mściłam się na Cioci i mogłam się była obejść bez tego dodatkowego kozła blond. Już zamierzałam porzucić okrucieństwo i dodać tonem ratowniczym: „... bo tu masa ubeków”, gdyby on, spoglądając na moje dopiero co kupione buty o niezdrowo



błyszczącej skórcie, nie zadrżał. Więc kompromisowo powiedziałam:

— ... bo nie można dojść do okienka — i przejechałam mu przed nosem konsularnym paszportem, który w locie miał kolor jeszcze bardziej nijaki, niż wtedy, gdy spoczywał w bezruchu na konsularnym biurku.

— Bardzo przepraszam — rzekł blondyn, chwycił plakat, postawił go z powrotem na miejscu i, kłaniając się tyłem, wyrwał w pośpiechu ku wyjściu. Miał w ręku samotny stufrankowy banknot — równowartość, bowiem, przeliczono mu, niestety, po kursie PKO — a drobne pospadały z brzękiem na posadzkę. Niektórym ludziom wszystko spada.

Podeszłam do okienka z godnością owej Rosjanki, co to drzwiczki windy mi przed nosem zatrzasnęła przed laty, a płacąc szerokim gestem za bilet do Warszawy, mściłam się teraz wyłącznie na Cioci, jako że blondyna już nie było. Na Cioci, która wstawiała ostatnio o wczesnej porze i sama wodę na kawę stawiała. Na Cioci, która przed wyjściem z domu po pierwszym śniadaniu oparła beztrudnie biodro o rozhuśtaną rurę, drugie zaś wypchnęła w przestrzeń — a komu by się chciało wczesnym rankiem wypychać biodro? Z torebką i rękawiczkami zawieszonymi na palcach zapowiadała mi zmywającej naczynia, że ma coś w mieście do załatwienia i wróci dopiero po obiedzie („Sama sobie ugotujesz” — przepraszała), by się przebrać przed pójściem do Teatru Narodów na popołudniowe nowogreckie przedstawienie. Trzeba wiedzieć, że Grecja, w przeciwieństwie do Węgier, Wschodnich Niemiec, nie mówiąc już o Polsce, wymieniona była w programie międzynarodowego festiwalu na liście państw Europy zachodniej, co dotyczyło, zresztą, również Finlandii, ale mimo to Ciocia nie interesowała się fińszczyzną. Na *Króla Lear’a* poszliśmy razem. Ciocia — pamiętam — szeptała mi do ucha treść przedstawienia:

— Widzisz, ci z lewej strony są źli, a ci tam w środku, co właśnie przedstawiają dekoracje, to są ci dobrzy.

Wtedy — a było to tuż przed otrzymaniem paszportu — rozumiałam jeszcze po trochu tego rodzaju rozgraniczenia. Toteż rozczulałam się Cioci znajomością angielszczyzny, której w skromności swej nigdy mi nie wyznała, podczas gdy ona pouczała mnie:

— To tak jak zbóje i żandarmi, szatany i anioły — szeptała ledwie dosłyszalnym głosem, by nie przeszkadzać sąsiadom — Moskale i Polacy.

Cóż by powiedziała teraz, gdyby wiedziała, skąd wracam? A wracając przystanęłam przed wystawą kwiaciarni. Unikałam zawsze kwiaciarni, w których na wystawach stoją ambitne hortensje o cukierkowych kolorach. Tym razem one właśnie mnie przyciągnęły: hortensje-pretensje, od rana wściekłe, bo ktoś zatrąbił, naśmiecił, botoitamto, cudzoziemcy, drożyzna, bojawiem, pewne swego miejsca na wiosennych stronicach kalendarza. Stoją na balkonie i w salonie, w ogrodzie przy pogodzie, i na cmentarzu Père Lachaise — dokąd zresztą też należałoby po raz ostatni pojechać, ale skończył mi się bloczek autobusowy, całego nowego kupować nie było warto, zresztą, srogo oceniliby moje postępowanie podejrzliwy konduktor, jako że nikt prócz wyjeżdżających na zawsze nie kupuje jednorazowych biletów, co wypada drożej. Stoją hortensje w donicach, wypełniając okna wystawowe drugorzędnych kwiaciarni, hortensje krzepkie, na przekór tym wszystkim, którzy ich nie lubią. I właśnie z wdzięczności za swobodę, która pozwala hortensji nie lubić (jeszcze trochę, a byłabym zamieniła jazdę pociągiem do Ojczyzny na pielgrzymkę do Lourdes na kolanach), stanęłam ostatecznie po stronie hortensji. Toteż kupiłam jedną dla Cioci, lazurową, co świadczyło z pewnością o mniejszej mojej do hortensji chwilowej sympatii, niż gdybym była kupiła różową. Trudno: nie miałam stanowczego charakteru, ani zdecydowanie rozwiniętej indywidualności.

Przeniosłam więc kompromisową donicę przez pierwsze podwórze — gdzie widząc mnie objuczoną, dozorczy-

ni wsunęła mi do kieszeni list i nie czekając na napiwek wycofała się do swej nory z dobrotliwym uśmiechem (dlaczego dobrotliwym?) — potem przez drugie i krętymi schodami na pierwsze piętro.

„Ostatni raz” — myślałam i prędko odrzuciwszy tę myśl, zaczęłam ją wprowadzać w czyn. Przypuszczalnie dlatego zadzwonił telefon.

— Nie wyszło z tym mieszkaniem — mówił Olgierd.

— No, trudno — odpowiadam. — Ale wiesz co? Ja chyba pojedę do Polski.

— Świetny pomysł! — woła Olgierd. — Trafia mi się inne...

— Na stałe — przerywam mu. — Ja wyjeżdżam na stałe — mówię powoli, skandując zgłoski.

— Świetny pomysł naprawdę! — zapala się Olgierd. — Droższe o pół miliona, które mógłbym jednak pożyczyć. Ostatecznie, rezygnując z urlopu... Halo? Słyszysz?

— Słyszę, mów dalej — mruczę objęta rezygnacją.

— Lonia jest tego samego zdania. Bo w końcu trzeba jakoś mieszkać... Wyliczyłem wszystko. Ładna dzielnica, niedaleko, hałas tylko po południu, a słońce tylko przed...

Kończyło się przedpołudnie. Była ładna pogoda, ale to nic. Nie było czasu nad niczym się zastanowić, bo w życiu, gdy jedno się kończy a drugie zaczyna, nie ma czasu na czas. Miałam trzy walizki, czyli o jedną więcej niż Ciocia; jednej brakowało uchwyty, ale to nic. Pakowałam zwinnie zawartość połowy szafy uratowanej przed garderobą mojego gościa. Jakże często zmieniała ona charakter przez ciągłe skracanie, poszerzanie (Ciocia mówiła, że zwęża), łagodzenie w ramionach, przeszywanie guzików, klap i pasków, a nade wszystko przez farbowanie. Ostatni raz! Z pozostałej do mojej dyspozycji szuflady w komodzie wyciągałam podwiązki, pończochy, piżamy, kombinacje, staniki — wszystko OHNE BÜ-

GELN GLATT i nowe (bo wiadomo że w Polsce...) — jeszcze szwajcarskie chusteczki i belgijskie koronki, angielskie trykoty i włoską portmonetkę, a potem już tylko serdak haftowany w ceglaste parzenice, skórzane kierzce i zakopiański piórnik. Naszyjniki z bursztynów, bursztynowe kółko, bursztynowe kolczyki, broszkę bursztynową i bursztynowe spinki włożyłam na siebie — „bo to też wszystko moje i ciężko zapracowane” — mówiłam głośno, litując się nad własną, zadyszaną i grzechoczącą osobą, aż z tej litości upadłam na fotelik. Ach, jakże dawno już temu sadzałam Ciocię w foteliku po raz pierwszy!

Wtem spostrzegłam na stoliku list wsunięty mi przed godziną do kieszeni dobrotliwym gestem. Poczęłam obracać w rękę zaadresowaną na maszynie kopertę o czerwono-niebieskim obramowaniu, myśląc, co też z niej wyskoczy: może fotografia ukazująca przedwcześnie urodzone niemowlę z rozdziawioną paszczką, z której wydobędzie się znane mi już ostrzeżenie, wzmocnione o jeden głos, zatem lepsze, jak wszystko co liczniejsze:

— Wszyscy troje uważamy, że musisz się przyszyścić 8 pokonać okoliczności...

A może Thais, już po rozwodzie, zapowiadała swój rychły przyjazd do Paryża samolotem, z klubem piłkarzy, bo taniej? Może wyczerpał się „L&Interdit”? Gubiłam się w jałowych supozycjach, chociaż właściwie, co mnie to wszystko obchodziło? List mógł nadejść popołudniową pocztą lub na drugi dzień rano, kiedy ja już mknęłabym co najmniej przez Alzację, lub nawet przez dalszy jakiś umęczony kraj. Wrzuciłam list jak do skrzynki do uchylonej szuflady w stoliku. Tam, pomiędzy bezpiecznikami i uspokajającymi środkami, będzie mu i bezpiecznie, i spokojnie oczekiwać fatalnych wydarzeń. Sama rzuciłam się dalej w pośpiechu. Rura, jak gdyby na przekór moim realizującym się planom, zachowywała się powściągliwie. Chciała, być może, mnie powstrzymać, ale nie ma głupich: jej perfidne postępowanie nie było niczym innym, jak ciszą przed burzą.

— Bujać to my — rzekłam, wyzywająco mierząc ją wzrokiem. Jednocześnie na kuchennym stole ustawiałam pyszną hortensję, która zdawała się mówić to samo a myśleć co innego. — Nie dam się pochłonać! Wolę żyć tam, niż tu umierać! — gniewnie odgrażałam się milczącej rurze, wyjaśniając zbyt *explicite* całą tę niefortunną perypetię. — Niech sobie Ciocia wierzy w Grajfra, jeśli chce! — krzyczałam zapominając, że Ciocia przecież bagatelizowała konieczność Grajfra, czym, zresztą, z całą pewnością skłaniała konieczność do coraz to większej natarczywości. — Wcale mi nie wstyd — mówiłam nadal pod adresem rury, stawiając rzędem walizki w wąskim przejściu korytarza — że nie umiem cierpieć i nie chcę umierać!



Była ładna pogoda, ale jak już mówiłam, to nic nie szkodzi. Przez szklany dach Dworca Północnego prostopadłe niemal promienie słoneczne kaleczyły zaśmieconą ziemię nadmiernym swym blaskiem, ale kto by w takiej chwili zawracał sobie głowę podobnym szczegółem? Niedaleko łańcucha, przy którym tym razem nie zamierzałam medytować, jako że mnie nie dotyczył, zebrał się niewielki, zdumiony tłum. Samotny gołąb miejski, na kształt Świętego Ducha zbłąkany wzdłuż jednego z promieni, dziobał i dziobał pomiędzy ludźmi. Zatroškany, podrywał co chwilę z furkotem swe marne skrzydełka, nie rozumiejąc wcale, dlaczego trafił na dworzec. Właściwie, mogłam go była śmiało nie spostrzec w tłumie, ale skoro to się już stało, nie usiłowałam nawet się oprzeć wnioskom o genezie śmiechu przezeń wywołanego, o rzekomym podobieństwie jego sytuacji, wyrwanej z gołębiego kontekstu, do mojej, wyrwanej i td... I znów mi się żal siebie zrobiło — stan ducha przedłużony, oczywiście, przez melancholię łańcucha — tyle, że w biegu za bagażowym, który bezceremonialnie unosił na wschód mój

doczesny dobytek. Bagażowi mają to do siebie, że przeskadzają w odbieraniu wrażeń, estetyzowaniu przeżyć, nawet w ronieniu łez. W chwilach zaplanowanych wzruszeń wyjazdowego napięcia pytają o wagon, o przedział, o numer miejsca, miejsce przeznaczenia, numer przeznaczenia...

— Pani do Moskwy? — zapytał mój, gdy go dopadłam od tyłu.

— Do Warszawy — powiedziałam, jak gdyby tłumacząc się z jakiejś słabej cechy charakteru.

— To wszystko jedno! — mruknął i ruszył dalej.

Rzeczywiście: w wagonie, który okazał się moim, a na noc przemieniał się w sypialny, Moskale, stanowiący większość, zapchali przedziały tobołami, skrzyniami i walizkami podobnymi do Ciocinych, a sami stali na korytarzu, bo rzeczy uważali widocznie za ważniejsze od ludzi. Piski, nawoływania, których nikt nie rozumie, jak to w pociągu przed odjazdem. Niektórzy kluczą, inni uśmiechają się do konduktora, który zamiast biec, zwyczajem konduktorów, z jednego końca wagonu na drugi i z powrotem, stoi przy drzwiczkach i każdemu pasażerowi pomaga wejść po schodkach. Mój przedział, jak wszystko co moje, odznaczał się odwrotnością: zamiast rzeczy, siedzieli w nim ludzie. Siedział dziad z babą, bardzo starzy oboje, pod oknem, obok nich Warszawianka, która tak w biodrach jak i na obliczu skupiła doskonale wymierzoną w proporcjach i nasileniu mieszanek paryskich smaków, dowodząc tym samym, że właśnie w Paryżu robi się z owsa ryż, jakkolwiek nie wiadomo po co.

Warszawianka wyraźnie ucieszyła się widokiem Paryżanki, której dopatrzyła się w mojej osobie i walizkach, względnie, którą dosłyszała, bo przecież znów na koniec musiałam rozprawiać z bagażowym. Gdy tylko usiadłam naprzeciw niej, wyciągnęła najnowszy numer tygodnika ELLE. Baba wyciągnęła z parcianego tobołka papierową torbę, a wypróżniwszy z niej zawartość, schludnie złoży-

ła torbę i schowała ją z powrotem do tobołka. Z podłużnych bułek, niedbale owiniętych w pergaminowy papier, sypały się jej na kolana przeróżne składniki nicejskiej sałatki. Tu okrusz jajka na twardo, tam rąbek pomidora; tu falbanka zielonego pieprzu, tam wreszcie płatek rzęzuchy z przylepioną doń drzazgą tuńczyka.

— A co to? — zapytał jakimś słowiańskim narzeczem Dziad wzięwszy z rąk Baby jedną z bułek. Zieloną oliwkę, która wytoczyła się ze środka, trzymał przed oczyma na odległość ramienia.

— A co ma być? — odrzekła tym samym narzeczem Baba. — Śliwka.

— Ej, jaka to śliwka! Mówię ci, że to nie śliwka — spierał się Dziad łagodnie. Widać było, że Babę kocha.

Warszawianka odchrząknęła. Czułam, że wzrokiem szuka porozumienia ze mną. Usta zakryła brzegiem ELLE i udaje, że ledwie powstrzymuje się od śmiechu. Czyż może być coś śmiesznieszego od ludzi, którzy nie wiedzą, co to są oliwki? Rozmyślnie zagrzechotałam bursztynami na znak, że my, Polacy, kochamy się w bursztynach.

— Śliwka jest. Śliwka, tylko niedojrzała — mówiła Baba uporczywie. — Jej Bogu, jaka śliwka! Zielona. Małeńka. Oj, ty mój Dziadu — dodała pieszczotliwie. — Jakże ty nie wiesz, co to śliwka!

I pogłaskała go po policzku dłonią zoraną czarnymi rowkami. Dziad streścił wszystkie zmarszczki w uśmiechu i podjął skwapliwie:

— No, śliwka! Ale niedojrzała. A jak niedojrzała, to lepiej nie jeść, bo od tego brzuch boli, moja ty Babo.

Więc wyrzucili oliwkę przez okno na Dworzec Północny i wgryźli się w nicejską sałatkę. Warszawianka parsknęła odrzucając ELLE, mnie odurzyła senność, a pociąg sapnął. Usłyszałam zgrzyt, potem drugi. To chyba Ciocia, wyszedłszy krętymi schodami, najpierw próbowała, jak zwykle, otworzyć dolny zamek kluczem od górnego zamku, którego, jak wiadomo, nie używało się,

odkąd groźba eksplozji zawisła nad moim domem. Nie szło. Następnie kluczem od bramy — dolny zamek. I nic. Dopiero za trzecim zgrzytem trafiła Ciocia właściwym kluczem w otwór zamku. Wybuch był mniej okazały, niż można się było po tylu miesiącach spodziewać. Jedno gwałtowne szarpnięcie i pociąg sunął po szynach równo.





# WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej goryczne (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ . *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
35. James BURNHAM .... *Rewolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane wirodżennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”, Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ). *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*
47. Tibor DERY ..... *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
50. Czesław MIŁOSZ ..... *Rodzenna Europa*

51. Gustaw HERLING  
GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-  
CHMIELOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspaniały świat poprawiony*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-  
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) . *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*  
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”.  
Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i  
Bolesław SULIK ..... *Palacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameriko! Ameriko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW ..... *Jest li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski. Cz I.*
73. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze*
80. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
83. (Jerzy MOND) ..... *6 lat temu... (Kulisy polskiego Październi-  
ka) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
84. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLICKI ..... *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.  
Zesz. 12)*
90. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*
92. — ..... *We własnych oczach. Antologia współczes-  
nej literatury sowieckiej.*

93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice.*
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje)*
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)*
108. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-y)*
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos*
113. Borys LEWICKIJ .... *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
114. Stanisław VINCENZ .... *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN .... *Olivia*
117. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)*
120. Mikołaj ARŻAK ..... *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER .... *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
122. Michel GARDER ..... *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
123. Piotr GUZY ..... *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
125. — ..... *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)*
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*
127. — ..... *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).*
128. Marek HŁASKO ..... *Piękni, dwudziestoletni*
129. Borys LEWYŃKIJ .... *Polityka narodowościowa w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”)*

130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KURON i K. MODZELEWSKI ..... *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16).
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10)
134. Wacław LEDNICKI .... *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?*
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ .... *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11)

**A C H E V E   D ' I M P R I M E R  
L E   7   F E V R I E R   1 9 6 7  
S U R   L E S   P R E S S E S   D E  
L ' I M P R I M E R I E   R I C H A R D  
2 4 ,   R U E   S T E P H E N S O N ,  
P A R I S   ( X V I I I <sup>e</sup> )**

**Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1967**

Dar  
W. Łodmiewska

Cena 13,50 F. (20% dol. 3,00)